

ALEK ROGOZIŃSKI



LUSTERCZKO, POWIEDZ PRZECIE

„Zostać bohaterem powieści kryminalnej? Zaskakujące i ekscytujące! Tak jak i książka!”
Rafał Maślak, Mister Polski



SERIA
RÓŻA KRULL
NA TROPIE



FILIA

ALEK **ROGOZIŃSKI**

**LUSTERECZKO,
POWIEDZ
PRZECIE**

FILIA

*Beacie Kozidrak za 25 lat uroczej znajomości
i 25 koncertów, które pewnie pozbawiły mnie 25% słuchu,
a i tak nie żałuję, że na nich byłem...*

OŚWIADCZENIE

Jak zwykle z całą Jasną Stroną Mocy (ostatnio wybrałem się na maraton „Gwiazdnych Wojen” i po dwunastu godzinach przebywania na innych planetach troszku teraz słabuję na umyśle...) stwierdzam, że wszystko to, co napisałem w niniejszej książce, nie ma żadnego związku z rzeczywistością. Wszystkie postacie są wymyślane – poza Rafałem Maślakiem, który żyje i nieustannie powoduje u mnie chęć zajrzenia choćby na chwilę na siłownię, Tomkiem, który jest znajomym nie tylko Róży Krull, ale i moim, oraz Anią Misztak, której kiedyś obiecałem, że wystąpi w jednej z moich powieści. A obietnic zawsze trzeba dotrzymywać, pamiętajcie! Aha, oczywiście wiem, że nie ma takiej imprezy jak Mister Polonia. Powstała ona w mojej głowie – podobnie jak opisane w książce morderstwa. I mam tylko nadzieję, że nie okażę się prorokiem i uczestnicy konkursów piękności nie zaczną się nigdy wzajemnie mordować w celu zdobycia tytułu. Bo gdyby tak się stało, to chyba bym sobie tego nie darował...

POSTACI

Róża Krull – znana autorka kryminałów, która postanowiła, że nic nie zmąci jej uciechy z nowego mieszkania, i szło jej to całkiem dobrze, póki w sprawę nie wmieszał się trup

Paweł „Pepe” Kwiatek – agent Róży, próbujący, z różnym efektem, nie dać się jej zwariować

Beata „Betty” Jankowska – menadżerka Róży obarczona przez nią zadaniem uwiedzenia w niecznych celach swojego własnego narzeczonego, co w sumie nie było zbyt trudnym zadaniem

Cecylia Jodelka – wpadająca powoli w dewocję pomoc domowa Róży

Rafał Maślak – pomagający w śledztwie były Mister Polski, w którym Róża za wszelką cenę starała się nie zakochać

Sergiusz Prokop – depresyjny młodzieniec, którego największym przekleństwem była uroda amanta filmowego i źle ulokowane uczucia

Martyna Mroziak – internetowa sympatia Sergiusza, której nedorzeczny upór doprowadził do licznych komplikacji natury kryminalnej

Jakub Perchuć – narcyz gotowy nagiąć każdą zasadę (i przy okazji swój charakter) dla zdobycia tytułu najprzystojniejszego Polaka

Sebastian Orłow – ofiara niecnych intryg swojej mamy, która uparła się, że nie spocznie, póki głowy jej jedynaka nie ozdobi korona Mistera Polonia

Manuela Orłow – mama Sebastiana, skrycie marząca o wizycie w „Dzień Dobry TVN” wraz z synem i o poznaniu Kingi Rusin, której była (psycho)fanką

Wasył Miruk – zakochany w sobie Ukrainiec, który po zdobyciu polskiego obywatelstwa, postanowił za wszelką cenę udowodnić, że jest o wiele bardziej atrakcyjny niż jego nowi rodacy

Roland Zdunek – wiejski casanova, uważający poradnik *Biomechaniczne aspekty ćwiczeń doskonalących technikę sportową* za najważniejszą książkę w historii ludzkości

Mariusz „Mario” Kosek – popularny bloger i youtuber, przed którym puder, bronzer, mascara oraz jego koledzy nie mieli tajemnic

Dariusz Nowicki – typ spod ciemnej gwiazdy, była gwiazda wybiegów, obecnie szef agencji modeli „Herkulesi i Apolla”, organizator wyborów Mister Polonia

Adrian Mędrzycki – psychoterapeuta, któremu trudno było uwierzyć, że po seansach u niego ktoś mógł wpaść na tak nedorzeczny pomysł jak popełnienie samobójstwa

Magdalena „Lala” Jastoń – dziennikarka stacji TelePol, a przy okazji była dziewczyna Sergiusza, niemogąca się zdecydować, czy dać ich związkowi kolejną szansę

Barbara Pająk – szefowa firmy, w której zatrudniony był

Sergiusz, specjalizująca się w kreatywnej księgowości i mogąca swoimi umiejętnościami wywołać rumieniec wstydu wszystkich ministrów finansów, którzy – jak wiadomo – robią to samo, tyle że na większą skalę

Maria Tycjan – restauratorka, która koniecznie chciała stać się sławniejsza od Magdy Gessler i nawet jej się to na chwilę udało

Ania Misztak – redaktor naczelna Największego Portalu Czytelniczego, która „przez przypadek” znalazła na pamięć życiorysy kandydatów na Mistera Polonia, choć oczywiście ta impreza „w ogóle jej nie interesowała”

Marek Krawczyk – ochroniarz, który licząc na łatwy zarobek, mocno się przeliczył

Klaudia Hutniak – diwa polskiej piosenki, która nie mogła się zdecydować, czy swoim występem na gali Mistera Polonia chce słuchaczy uspić czy ogłuszyć

Tomek – przyjaciel Róży, który wpadł na pomysł, że Rafał Maślak mógłby jej pomóc, nie przewidując, jakie wywoła to komplikacje

Krzysztof Darski – komisarz policji i narzeczony Betty, mający ochotę profilaktycznie zamknąć w mamrze wszystkich zamieszanych w sprawę, łącznie ze swoją ukochaną

PROLOG

Mężczyzna patrzył na ekran laptopa, bujając się w obrotowym krześle. Na jego twarzy widać było lekkie zaskoczenie. Palcami lewej dłoni wybijał miarowy rytm, uderzając w krawędź stojącego przed nim biurka. Prawą rękę miał zaciśniętą w pięść i trzymał ją tak, aby podtrzymywała jego przechyloną na bok głowę. Obserwując go, można było odnieść wrażenie, że niecierpliwie czeka na coś, co powinno się pojawić w komputerze. Nie była to jednak prawda. Mężczyzna raz po raz przebiegał wzrokiem wiadomość, którą otrzymał kilka minut wcześniej. W końcu oderwał spojrzenie od laptopa i z namysłem popatrzył na leżącą obok niego na biurku otwartą i przewróconą fiolkę z pastylkami, których część wysypała się na blat. Przestał stukać palcami. Przez chwilę zastygł w bezruchu, po czym, najwyraźniej podjąwszy w duchu jakąś decyzję, stanowczym gestem chwycił fiolkę, zgarnął rozsypane pastylki, wrzucił je do środka, zakręcił pojemnik i cisnął nim w kąt pokoju. Westchnął z ulgą, uśmiechnął się i położył prawą dłoń na touchpadzie. Najechał myszką na napis „odpowiedz”, kliknął w niego i zaczął pisać wiadomość, która mogła zmienić w jego życiu prawie wszystko. Ale, niestety, nie zmieniła...

Tydzień później mężczyzna już nie żył.

ROZDZIAŁ I

Zaproszenie na kolację

– Masz być na osiemnastą, to pomożesz mi jeszcze doprawić sałatkę jarzynową. – Róża przyciskała telefon ramieniem do ucha, w tym samym czasie próbując rękami opanować kataklizm, który zrobił jej się na głowie w wyniku użycia cudownej odżywkii, mającej według etykiety zamienić jej uczesanie w „ultramodną miejską fryzurę dla świadomych swojego seksapilu fashionistek”, i dochodząc do wniosku, że jej włosy przypominają mocno zaniedbany klomb. – Reszta potraw będzie już wtedy gotowa...

Po drugiej stronie panowała grobowa cisza.

– Pepe? Umarłeś tam czy co? – zirytowała się Róża, niepewna, czy aby w wyniku ekwilibrystyki, którą uprawiała z telefonem, przez przypadek nie rozłączyła się ze swoim przyjacielem. – Pamiętaj, żebyś koniecznie przywiózł mi tę przyprawę, co to jest dobra do wszystkiego i na wszystko, a ja nigdy nie pamiętam, jak się nazywa. Tę, co ma nazwę jak kura...

– Kurkuma. – W słuchawce rozległ się nieco przestraszony głos. – Róża... powiedz mi, że sama zrobiłaś tylko sałatkę, a resztę zamówiłaś w cateringu...

– No wiesz! – prychnęła Róża z oburzeniem. – Oczywiście, że wszystko przygotowałam samodzielnie. To w końcu moja parapełówka i chcę wreszcie błysnąć jako perfekcyjna pani domu...

– Raphacholin, espumisan, helacid... – Do ucha Róży dobiegło nieco niewyraźnie mamrotanie Pepe.

– Co tam pleciesz? – zdziwiła się pisarka.

– Patrę, co mam pod ręką w domowej apteczce – wyjaśnił uprzejmie Pepe. – Bo skoro sama gotujesz, to coś z tego mi się przyda. Przy twoim talencie kucharskim pewnie wszystko...

– Prosiak – powiedziała zimnym tonem Róża, dodatkowo zirytowana faktem, że palce lewej ręki uwięzły jej w splątanych na

amen z powodu upiornej odżywki kołtunie i nie za bardzo wiedziała, jak je uwolnić bez wycięcia znacznej części niesfornych kłaków, jakie rosły jej w miejscu, gdzie inni ludzie mieli normalne, miękkie i puszyste włosy. – Zobaczysz, doigrasz się! Wszyscy będą zdychali z zachwytu nad moimi potrawami...

– Zdychali – mruknął Pepe. – W to akurat wierzę.

– A ty dostaniesz miseczkę z solonymi orzeszkami, kubeczek z paluszkami i szklankę wody z kranu.

– A potem zarobię fortunę, opowiadając „Faktowi”, jakim cudem jestem jedynym człowiekiem, który uszedł z życiem z twojego przyjęcia. – Pepe słyszał z tego, że lubi zawsze mieć ostatnie słowo.

– Myślę, że nawet krewnych Popiela czekała bardziej miła niespodzianka, bo przynajmniej zanim się potruli, to zjedli coś smacznego.

– Chyba zaraz w ogóle cofnę ci zaproszenie – zagroziła Róża. – A jak się pokażesz w okolicy mojego bloku, to poproszę ochronę, żeby cię poszczuła psami.

– Już dobrze, dobrze. Po co się tak unosić? Na pewno przygotowałaś coś jedyne w swoim rodzaju – powiedział pojednawczo Pepe. – Pytanie tylko, czy świat jest gotowy, żeby to docenić? Acz z drugiej strony, tyle lat podglądałaś mnie w akcji, że już od samego patrzenia musiałaś się czegoś nauczyć...

– Poczekaj no, inaczej będziesz śpiewał z zębami husky’ego wbitymi w zadek! – mruknęła gniewnie Róża.

– Zawsze mówisz, że tam, gdzie inni mają tyłek, ja mam wklęsłe – przypomniał Pepe, faktycznie obdarzony posturą skoczka narciarskiego. – Akurat mi się przyda. A poza tym, odkąd to masz w swoim bloku ochroniarzy z psami? Wynajęłaś prywatnych?

– Psy wyprowadzają staruszki z bloku, a ochroniarze są w biurowcu, który mam vis-à-vis – wyjaśniła pisarka. – I zapewniam cię, że gdybym miała już komuś podpaść, to wołałabym ochroniarzom. Wyglądają na ciapy, w przeciwieństwie do tych bab, które chyba trenują, żeby się zaciągnąć do obrony terytorialnej. Na sam ich widok wróg pierzchnie, gdzie pieprz

rośnie. Znasz ten typ? To te, które na manifestacjach walą po łbach parasolkami. Niby chrome, umierające, cierpiące na wszystkie dolegliwości świata i pół kroku niepotrafiące zrobić, żeby się nie zasapać, a jak przyjdzie do walki o ostatnie wolne miejsce w autobusie, to po drodze stratują watahę kiboli...

Choć Róża nie mogła tego zobaczyć, Pepe kiwnął głową ze zrozumieniem. Doskonale pamiętał, jak swego czasu Zarząd Transportu Miejskiego w ramach oszczędzania na składkach i podatkach wpadł na rewolucyjny pomysł zatrudniania takich bojowych emerytek w roli kanarów. Nikt w całej powojennej historii autobusów i tramwajów nie był od nich bardziej skuteczny! Staruszki robiły naloty na pasażerów stadnie, siejąc wszędzie grozę i panikę. Wynikała ona, przynajmniej w przypadku Pepe, nie tyle ze strachu przed wysokością kary, ile raczej z niepokoju, że staruszki na wieść, że nie ma ważnego biletu, padną trupem na zawał, udar albo trafi je apopleksja.

– A ci ochroniarze są kompletnie do bani – kontynuowała pisarka.
– Wczoraj obserwowałam z balkonu, jak tuż pod moją klatką usiłują sobie poradzić z jakimś pijaczkiem. Najpierw próbowali go przepędzić, ale pijaczek stawiał opór i coś im wytłumaczył, więc zostawili go w spokoju. Na co on zdjął gatki i chciał sikać na środku chodnika. Więc znowu usiłowali go przepędzić, ale zrobił kilka kroków i przewrócił się na plecy, prosto w klomb. Tam są takie dopiero co obsadzone kwieciami rabatki. Właśnie w nich się umościł. Zaczęli się z nim szarpać, ale co go ustawili do pionu, to znowu leciał prosto w zieleń miejską. Widać było, że mu tam wygodnie. Najgorsze, że co i rusz spadały mu spodnie, a pod spodem miał czerwone majtasy. Poza ochroniarzami stała tam jeszcze jakaś dziewczyna, ale zamiast wezwać straż miejską albo policję, to tylko się gapiła. Ludzie to teraz są tacy jacyś nieużyści. I jak w końcu litościwie postanowiłam wyręczyć tę całą zgraję i zadzwonić po odpowiednie służby, to nie potraktowano mnie poważnie...

– Czemu? – zdziwił się Pepe.

– Jak już po stu sygnałach dodzwoniłam się do straży miejskiej i podałam adres, to zanim zastanowiłam się nad treścią komunikatu, powiedziałam, żeby przyjechali, bo tu w rabatkach leży żul w czerwonych gatkach. I ten pan, co przyjmował zgłoszenie, zrobił się od razu niemiły i powiedział, że oni mają od zarabiania roboty z prawdziwymi bandziorami i nie mają czasu na takie świruski jak ja.

– Czyli rozgryzł cię w kilkanaście sekund – podsumował Paweł, kiedy przestał rechotać. – A chippendale nadal roztacza swoje wdzięki w okienku?

– Żebyś wiedział – potwierdziła Róża, mimowolnie przybierając rozmarzony ton. – Wczoraj znów siedział w rozpiętej koszuli. Jakie on ma ciało...

– I ty to widzisz z takiej odległości? – zdziwił się Pepe. – Czy tylko sobie wyobrażasz? Przecież dzieli was kilkadziesiąt metrów, o ile nie więcej. Chyba że specjalnie na tę okazję kupiłeś lornetkę, ale wtedy nie tylko straż miejska, ale i ja zacznę cię podejrzewać o zaburzenia psychiczne...

– Jeszcze nie zwariowałam – fuknęła Róża. – Pewnie to kompilacja tego, co widzę, i tego, co podsuwa mi wyobraźnia, ale i tak lubię na niego patrzeć. Tym bardziej, że wciąż nie dowieźli mi telewizora i nie mam co robić!

– Myślę, że twój wydawca nie podzieliliby tej opinii. Przypomnij mi łaskawie, na kiedy obiecałeś mu oddać nową książkę?

– Na koniec przyszłego miesiąca. To jeszcze sporo czasu!

– I będzie tak jak zawsze – zawyrokował Pepe. – Panika, histeria, depresja, rozpacz, pisanie po kilkanaście godzin dziennie, wyciskanie siódmych potów, a potem lament i jęki, że popsuł ci się kręgosłup szyjny. Klasyka.

– On musi mieć wredną żonę... – Róża wołała nie wdawać się w dyskusję o swoim, faktycznie wołającym o pomstę do nieba sposobie pracy twórczej, i skierować rozmowę na o wiele wygodniejsze dla niej tory.

– Kto? Chippendale? – upewnił się Pepe. – Dlaczego?!

– Bo przesiaduje do późna w pracy – wyjaśniła pisarka. – Z reguły w całym budynku nie ma już żywego ducha. Wszystko pogaszone i tylko on siedzi nad komputerem.

– Może jest samotny? – podsunął Pepe.

– Nie sędzę... – zaprzeczyła niepewnie Róża. – Samotni chadzają do kina, umawiają się z przyjaciółmi, bawią się w klubach, a on tylko siedzi, stuka w klawiaturę i co jakiś czas odbiera telefon. Pewnie ta mała go kontroluje...

– Jaka mała? – pogubił się Pepe.

– Jego żona! – fuknęła Róża. – Mówię ci, to zimna, wredna, despotyczna zołza! Zatrzuwa mu życie. On na pewno tyra po godzinach, żeby jak najmniej z nią przebywać. Założę się, że w dodatku ona jest rozbestwiona i ma kosmiczne życzenia. Więc on tyra też po to, żeby je spełnić. Poza tym lubi przebywać w pracy, bo jak wraca do domu, to czekają go tylko wyrzuty, awantury i wiecznie nadęta baba z pretensjami i muchami w nosie...

– Widzę, że już dorobiłaś mu cały entourage – skomentował Pepe z przekąsem. – A jak znam życie, to facet pewnie dostał jakąś ekstrasfuchę, którą w pocie czoła stara się zrobić jak najszybciej, żeby wrócić do stęsknionej żony i dwójki dzieci...

– W mojej głowie tak to nie wygląda – zaoponowała pisarka, przechodząc do łazienki, nabierając wody w wolną dłoń i próbując sprawdzić, czy zmoczone kudły przestaną przypominać wnyki tudzież czy uda jej się odzyskać powoli już drętwiejącą drugą rękę, która w nich ugrzęzła. – Będę się upierała przy wrednym babsku...

– A on faktycznie jest taki przystojny? – zapytał niewinnym głosem Pepe.

– Jak Apollo Belwederski! – potwierdziła z ogniem w głosie Róża. – Albo Hugh Jackman!

– Zdecyduj się – poprosił Paweł, skonfundowany nieco rozbieżnością porównań. – Albo wygląda jak młody bóg, albo jak stary drwal...

– Żaden drwal! – zaprotestowała Róża. – Jest zawsze elegancko ubrany i w ogóle sprawia wrażenie bardzo zadbanego. Wysoki,

smukły, postawny, a do tego blondyn. Wiesz przecież, że mam słabość do blondynów...

Dopóki nie trafi ci się przystojny brunet... – pomyślał Paweł.

– Po prostu ciacho! – zakończyła entuzjastycznie Róża.

– Przypominam ci, że ostatni facet, w stosunku do którego użyłaś tego słowa okazał się psychopatycznym mordercą, który usiłował wykończyć wszystkie polskie pisarki...

Róża wydała z siebie okrzyk. Jego przyczyną nie były jednak słowa Pepe, ale ból, jaki poczuła, wyszarpując rękę z „miejskiej fryzury” i przy okazji wrywając sobie kilkanaście włosów.

– Tam zaraz wszystkie... – mruknęła. – Poza tym niektóre same się o to prosiły.

– Sama więc widzisz, że twoja intuicja co do facetów jest marna – dokończył Pepe. – Poza tym pamiętasz, jak utyskiwałaś, gdy jedna z recenzentek nazwała cię podstarzałą erotomanką? Zdaje się, że wystając na balkonie w oczekiwaniu na striptizy jakiegoś nieznanego faceta, dobitnie potwierdzasz, że miała rację...

Róża słuchała go jednym uchem. Była zajęta rozmyślaniami, czy jej włosy kiedykolwiek dadzą się doprowadzić do normalności i czy powinna je umyć, czy też raczej od razu iść do fryzjera, kazać się ogolić na zero, a potem ogłosić, że została polską przedstawicielką chińskiej firmy Ningbo Zhenhai Jingcheng Power Engineering, w której kobiety mają obowiązek każdego pierwszego dnia miesiąca upodabniać się do detektywa Kojaka.

– Stripiz robił tylko raz – sprecyzowała z żalem.

– Striptiz? Po prostu zmieniał koszulę! – prychnął Pepe. – A ty od tego czasu wystajesz na balkonie jak głodny pies przed witryną sklepu mięsnego. Naprawdę, weź się lepiej za pisanie i stwórz wreszcie coś, czego twój wydawca nie nazwie nowelką!

– Jak każesz! – powiedziała Róża i rozłączyła się, patrząc z niesmakiem w lustro. Jej włosy z jednej strony wyglądały tak, jakby polizała je krowa, a z drugiej tworzyły coś w rodzaju połączenia snopka siana z mopem. W całości zaś nadawały jej wygląd osoby chorej psychicznie, tuż po leczniczych

elektrowstrząsach. Pisarka przez chwilę kontemlowała ten straszliwy widok, po czym nagle spłynęło na nią olśnienie.

– Pani Cecylio! – zawołała. – Niech pani tu na chwilę pozwoli!

Z kuchni, znajdującej się na drugim końcu kupionego niedawno przez Różę mieszkania, wyszła drobna, siwiutka starsza kobieta. Na jej mocno pomarszczonej twarzy widać było niepokój. Cecylia Jodełka, zanim została pomocą domową pisarki, naczytała się o niej tyle, że idąc na pierwszą rozmowę, była pewna, że stanie przed obliczem nieobliczalnej wariatki, a przy okazji rozwydrzonej rozpustnicy. I choć Róża, z którą umówiła ją jej poprzednia pracodawczyni, zrobiła na niej doskonale wrażenie, a przez tych kilka dni, które spędziły razem, zdołała rozwiać znaczną część jej wątpliwości, starsza pani wciąż spodziewała się po pisarce jakichś szaleństw. W końcu prasa nie mogła sobie wszystkiego wymyślić! A w co jak w co, ale w słowo pisane, zwłaszcza w „Super Expressie” i „Fakcie”, starsza pani wierzyła prawie tak, jak we wszystkich świętych, których znała na pamięć łącznie z datami urodzenia, dziedzinami, którym patronowali, oraz rodzajami śmierci, w większości dość makabrycznymi, z powodu których opuszczali ten padół i przenosili się do zastępów niebieskich.

– Co się stało, pani Różyczko? – odkrzyknęła. – Jakiś kłopot?

– Niech pani przyjdzie i zobaczy, co mi się zrobiło z włosami! – poprosiła Róża. – Kompletnie nie wiem, co z nimi zrobić!

Cecylia wytarła ręce w fartuch i szybkim krokiem przemierzyła dzielący ją od pisarki korytarz, po czym popatrzyła na nią ze zgrozą.

– Święta Mario Magdaleno! – wykrzyknęła – Coże pani zrobiła?!

– Użyłam jakiegoś badziewia z Rossmanna i teraz nie wiem, jak sobie poradzić z tym siańskim – powiedziała z rozpaczą Róża. – Niech pani popatrzy, kępkę już wyrwałam, a reszta zaraz mi wyleci z rozpaczy. Może zna pani jakiś sposób na rozczesanie włosów?

– A po co to chodzić do Niemców?! – zgorszyła się Cecylia, która dzień wcześniej wysłuchała w radiu, że jej ojczyzna jest prawie

w całości wykupiona przez sąsiadów z Zachodu, co wcześniej czy później musi przynieść Polakom klęskę jak w czasie zaborów i nową niewolę. Teraz ową klęskę widziała na własne oczy w postaci zniewolonych niemiecką odżywką włosów swojej pracodawczynie. – Toż to ja znam o wiele lepsze sposoby! Nasze, polskie! Na mojej wsi nigdy nie używało się chemicznych środków i wszystkie miałyśmy piękne, grube, zdrowe włosy. Pani popatrz na moje! Siedemdziesiąt lat już skończyłam, a wciąż mogę wiązać warkocz jak nastolatka!

Ścisłe rzecz ujmując, Cecylia nosiła perukę, ale dla obrony ojczyzny przed Niemcem gotowa była nawet na kłamstwo. Ponieważ jednak Róża rzuciła podejrzliwe spojrzenie na jej głowę i królującą na niej burzę siwych włosów, starsza pani postanowiła uciąć autoreklamę i czym prędzej wróciła do meritum ich rozmowy.

– Zaraz temu zaradzimy – zapewniła przekonującym tonem. – Potrzeba tylko trochę oliwy z oliwek, ze dwa żółtka, odrobinę musztardy i jedną cytrynkę. Już idę do kuchni...

Róża, której podany sposób na rozczesanie włosów niepokojąco kojarzył się z przepisem na domowy majonez, poczuła się lekko zbита z tropu.

– Jest pani pewna? – zapytała zaskoczona. – To pomaga?

– A juści! – potwierdziła Cecylia. – A jak nie, to spróbujemy soku z rzepy i spirytusu. To zawsze działa!

Chyba na poprawę nastroju, zwłaszcza to drugie... – przemknęło przez myśl Róży. Pisarka postanowiła jednak zdławić swoje wątpliwości, bo na dobrą sprawę nie widziała innego wyjścia niż zaufanie doświadczeniu swojej gosposi. Tym bardziej, że przez kilka dni nauczyła się od niej wielu magicznych sztuczek, jak choćby tej, że srebro idealnie doczyszczają pasta do zębów, firanki, aby były śnieżnobiałe, należy wyprać w proszku do pieczenia, a na ból głowy trzeba wypić mocną kawę z dodatkiem soku wyciśniętego z połówki cytryny. Nie zaprotestowała więc ani słowem, gdy jej pomoc domowa najpierw przyrzadziła, a następnie wylała jej na

głowę dziwnie pachnącą, mazistą ciecz.

– No, po wszystkim – powiedziała szalenie zadowolona z siebie Cecylia, sięgając po ręcznik. – A teraz zrobię kochanieńkiej turbanik, bo to trzeba potrzymać na głowie w cieple co najmniej z pół godzinki, jak nie dłużej...

Pisarka popatrzyła na nią z mordem w oczach.

– I teraz mi to pani mówi? – krzyknęła prawie. – Za pół godziny to ja powinnam wyjechać na spotkanie w sprawie scenariusza do serialu na podstawie mojej książki.

– Oj, to niedobrze... – powiedziała z troską Cecylia. – Wcześniej ta mikstura nie zadziała. To może niech pani jedzie tak, tylko założy na głowę jakąś chustę. Tyle ma pani takich ładnych, w kolorowe wzorki, dopiero co wczoraj je porządkowałam...

Róża z miejsca wyobraziła sobie, jak przekracza progi Polsatu, woniejąc niczym bar przekąskowy w Pizza Hut, a w dodatku z narzuconą na turban marokańską chustą, prezentując się jak chora na wodogłowie, i aż się wzdrygnęła.

– Spróbuję odwołać spotkanie – powiedziała niepewnie, sięgając po telefon. – Albo chociaż je przełożyć. To sobie narobiłam kłopotu! Oni tam wiecznie nie mają czasu i ten termin ustalaliśmy przez kilka tygodni. Cholera by to wzięła...

Gosposia sprawiała wrażenie średnio zainteresowanej jej problemem i pochłoniętej czymś innym.

– A może przy okazji kochanieńka zrobi sobie maseczkę z tego białka, co zostało po jajkach? – zaproponowała. – Dodamy do tego łyżeczkę buraczków, na których robiłam barszcz. To się trzyma na twarzy tylko przez kwadrans...

Cecylia słynęła z gospodarności i bardzo nie lubiła wyrzucać jakichkolwiek artykułów spożywczych. Starą wędlinę zużywała do jajecznicy, lekko wyschnięty ser „odświeżała” za pomocą moczenia w zimnym mleku, a ze skłapciałych owoców gotowała kompoty. Róża była pewna, że kiedyś za pomocą jednego z takich kulinarnych eksperymentów Cecylia obie je wyśle na tamten świat.

– Taka maseczka świetnie działa na nieczystości na twarzy –

zareklamowała swój wynalazek gosposia. – A kochanieńka ma ostatnio sporo takich czerwonych dzióbków, zwłaszcza przy nosie...

Róża posłała jej oburzone spojrzenie, ale Cecylia nawet tego nie zauważyła. Zanim pisarka zdążyła zaprotestować, pobiegła do kuchni, przyniosła stamtąd miseczkę z przecierem buraczanym, zmieszała go z białkiem, po czym rozsmarowała jej owo paskudztwo na twarzy i, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona, cmoknęła z zachwytu. Róża westchnęła z rezygnacją, czując jak maź błyskawicznie zasycha jej na skórze, i przestraszyła się, że za chwilę będzie miała w związku z tym problem z poruszaniem ustami. Próbując w duchu wymyślić przekonujące kłamstwo usprawiedliwiające jej spóźnienie, i nie chcąc go wygłaszać przy swojej gospodyni, przeszła na balkon, uprzednio zapaliwszy tam światło. Oparta o balustradę przez chwilę rozkoszowała się tym, co przed sobą widziała. Osoba postronna, widząc rozanielony wzrok pisarki, mogłaby uznać ją za dziwaczkę, bo też i widok przed oczami Róży nijak nie tłumaczył jej cielecego zachwytu. Poza dwoma ciemnymi i niezamieszkałymi jeszcze przeszklonymi drapaczami chmur składał się on z niewysokiego biurowca, przed którym stały, zasłaniając jego dolną część, baraki dla robotników, zatrudnionych przy wznoszeniu jednego w wieżowców. Krajobrazu dopełniał zapchany po ostatnie miejsca parking oraz oddzielający go od baraków płot, ozdobiony graffiti z ogromnym napisem: „Tyłu masz przyjaciół, ile unieść umiesz piw”. Dla Róży cały ten widok paradoksalnie był jednak spełnieniem marzeń. Wychowana na wsi pod Warszawą, przez całe dzieciństwo śniła o tym, że mieszka w centrum stolicy. Kiedy więc po latach udało jej się owo marzenie zrealizować i kupić trzypokojowe mieszkanie naprzeciwko Pałacu Kultury i Nauki, oślepla na wszelkie wiążące się z tym mankamenty. Nie przeszkadzały jej ani obskurne baraki, ani paskudne wieżowce, ani nawet to, że wracając wieczorem do domu, codziennie mijała tabuny lumpów, przepędzanych przez straż miejską z Dworca Centralnego. Róża po prostu kochała to miejsce

i tyle! A teraz od kilku dni miała ku temu dodatkowy powód w postaci wypatrzonogo w biurowcu Adonisa.

Jak zwykle o tej porze prawie wszystkie pomieszczenia biurowca pogrążone były w ciemnościach. Wyjątkiem był znajdujący się na ostatnim, czwartym piętrze gabinet, w którym przesiadywał obiekt jej zainteresowania. Róża spojrzała za siebie. Salon jej mieszkania był pusty i oświetlony jedynie smugą padającą od strony kuchni. To oznaczało, że Cecylia wróciła do przygotowywania posiłków na parapetówkę. Pisarka oczywiście nie zamierzała się przyznawać do tego, kto jest autorem frykasów, które zaserwuje jutro swoim gościom, i przez moment rozkoszowała się wizją twarzy swojego agenta ogłupiałego ze zdumienia na widok serwowanych mu dań. W końcu skoro on może od kilku lat wykluwać jej oczy swoimi talentami przodownicy koła gospodyń wiejskich, to i ona raz może też zabłysnąć! A do posiadania gosposi przyzna się w jakimś bardziej dogodnym terminie, kiedy już wszyscy przyzwyczają się do myśli, że jest perfekcyjną kucharką. Zadowolona Róża w duchu uśmiechnęła się do swojej wizji, po czym z lekkim tylko poczuciem winy sięgnęła po lornetkę, którą – wbrew temu, co powiedziała Pepe – oczywiście miała pod ręką na balkonowym stoliku. Przyłożyła ją do oczu, starając się odpędzić natrętną myśl, że zamienia się powoli w psychopatyczną stalkerkę, i odnalazła odpowiednie okno. Obiekt jej niezdrowego zainteresowania wstawał właśnie od stołu. Róża, która już miała zacząć ustawiać ostrość w lornetce, postanowiła poczekać, aż przystojniak się ustabilizuje. Ten jednak przez chwilę powstał nad biurkiem, po czym zaczął przechadzać się po pokoju, przeciągając się z rękami splecionymi nad głową. Pisarka widziała jego sylwetkę i lekko rozmazaną twarz, a na niej jedną jedyną rzecz, która jej się nie podobała, a mianowicie krótką brodę. Róża nigdy nie potrafiła zrozumieć, po co faceci je zapuszczają. Nie dość, że większość przypomina wtedy leśne dziady, to jeszcze przy całowaniu drapie albo łaskocze. W dodatku osobnik z nadmiernym zarostem na twarzy kojarzył jej się ze świętym Mikołajem, niebudzącym w niej

żadnych erotycznych odczuć. Róża skierowała lornetkę nieco niżej. Broda broda, zawsze można zgolić, ale jakie ten facet miał ciało! Zarazem smukłe, umięśnione i perfekcyjnie proporcjonalne. Ideał! Nie jak jakiś kwadrat z siłowni, tylko pływak. O, tak, toby nawet pasowało! Pisarka w duchu dopisała mężczyźnie, do i tak już liczego spisu zalet, także zamiłowanie do pływania. Zdolny biznesman, szarmancki gentleman, wychowany w szacunku do kobiet i osób starszych, udzielający się w fundacjach charytatywnych, zaangażowany w działalność Greenpeace'u, Czerwonego Krzyża, kochający zwierzęta, ponadprzeciętnie inteligentny, obdarzony rewelacyjnym poczuciem humoru, odcytany, a do tego genialny kochanek i idealny przyszły ojciec ich dzieci, pasjonujący się szermierką, jazdą konną, a teraz jeszcze i znakomity pływak. Ta jego żona to jakaś debilka, że go nie docenia... Róża przez chwilę podumała nad charakterem domniemanej partnerki obiektu swoich westchnień, dochodząc do wniosku, że przystojniak na pewno został w ten związek wmanewrowany jakimś podstępem. Udawaną ciążą, wypadkiem, lichy wie czym... I że teraz jako gentlemanowi głupio jest mu się wycofać. Tkwi więc u boku kobiety, której nie kocha, każdego dnia coraz bardziej nieszczęśliwy. No, już ona znalazłaby sposób, żeby go pocieszyć...

Jesienny powiew wiatru uświadomił Róży, że stoi na balkonie w szlafroku kąpielowym. Poza tym pisarka poczuła, że białko na jej twarzy zaczyna wżerać się w skórę. Możliwości były dwie – albo po jego zmyciu będzie cudownie gładka i piękna, albo zacznie przypominać ofiarę oblania kwasem solnym. Na myśl o tej drugiej możliwości, pisarka zapragnęła czym prędzej pozbyć się kurzego świństwa i już miała odłożyć lornetkę na miejsce, kiedy zaobserwowała coś dziwnego. Przystojniak zrobił coś niecodziennego. Zawsze ślęczał tylko nad komputerem, co najwyżej przechadzając się co jakiś czas po pokoju, po czym gasił światło i wychodził. Teraz jednak, po tym jak skończył się przeciągać, podszedł do okna i popatrzył na jej blok. Róża uświadomiła sobie,

że nie dość, że dzieli ich niezbyt duża odległość, to jeszcze tuż nad jej głową znajduje się lampa, do której poprzedni właściciel mieszkania, najwyraźniej ekshibicjonista, ewentualnie niedowidzący, wkręcił jakąś cholerną, zapewne tysiadcwatową żarówkę. Róża pomyślała, że w jej świetle musi być widoczna niczym Statua Wolności. Oczywiście było w tym sporo przesady, ale Róży w tej chwili nie stać było na logiczną ocenę sytuacji. Przez głowę przemknęła jej co prawda myśl, żeby kucnąć, chowając się za balustradą, ale nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa. Zamarła niczym słup soli, czując, że nie jest w stanie wykonać żadnego ruchu. Jedyne, co może, to obserwować przystojniaka przez lornetkę, która nagle przyrosła do jej rąk i oczu. Adonis wolno przesunął wzrok po budynku. Róża wiedziała, że wkrótce jego spojrzenie dojdzie do jej balkonu, ale nadal tkwiła w bezruchu, czując się jak jakaś – zważywszy na upływ czasu w jej głowie – prehistoryczna skamielina. I wreszcie nastąpił ten przerażający moment, w którym zobaczyła w lornetce, jak spojrzenie mężczyzny kieruje się prosto w jej stronę! Nie widziała go na tyle wyraźnie, aby zobaczyć wyraz jego twarzy, ale oczyma duszy wyobraziła sobie, co właśnie pomyślał sobie na widok wariatki z lornetką w dłoniach. Ciekawe, czy za chwilę wezwie do niej policję? Mężczyzna przez chwilę patrzył w kierunku Róży, po czym otworzył szerokie i długie mniej więcej na trzy czwarte wysokości pokoju okno. Kiedy najpierw postawił lewą, a potem następnie prawą nogę na parapecie, Róża nagle uświadomiła sobie z przerażeniem, jaki może być ciąg dalszy jego poczynań. Mężczyzna przez chwilę stał w oknie. Nie patrzył już na pisarkę, ale gdzieś wysoko, ponad nią. Potem jednak na chwilę znów zwrócił głowę w jej stronę, wysunął rękę i wykonał taki gest, jakby chciał się jej ukłonić. Po czym nabrał głęboko powietrza, wypuścił je i... zrobił krok do przodu! To był ułamek sekundy, w czasie którego Róża poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Na chwilę zamknęła oczy, mając nadzieję, że to tylko sen. A kiedy je otworzyła i uświadomiła sobie, że była świadkiem samobójstwa,

wydała z siebie krzyk, którego nie powstydziliby się żadna bohaterka filmu grozy.

– O święty Frydolinie!

Wydawane przez Różę wycie zwabiło na balkon jej gosposię.

– Co się pani stało?

Pisarka przestała krzyczeć i zaczęła chaotycznie wyjaśniać, jaka scena rozegrała się chwilę wcześniej przed jej oczami, w pełni świadoma, że Cecylia patrzy na nią jak na wariatkę.

– Jak to skoczył? – Gosposia spojrzała na budynek wskazywany przez Różę. – Niby gdzie?

– No przecież mówię, że za baraki – wyjaśniła Róża. – Tam w tę dziurę między nimi a biurowcem. Nie widać go, bo baraki zasłaniają. A nuż się nie zabił? Tam się zawsze walają jakieś materiały budowlane. Może na nie zleciał? Niechże pani tak nie stoi, tylko dzwoni na policję i na pogotowie! A ja pobiegnę sprawdzić...

– O, święty Judo Tadeuszu! – jęknęła Cecylia, jakby dopiero teraz uwierzyła, że pracodawczyni nie opowiada jej o pomyśle na swój nowy kryminał, a o czymś, co się naprawdę wydarzyło. – Już dzwonię, tylko telefon został w kuchni! Pędzę, lecę... O matko, jakie nieszczęście, jakie nieszczęście, o święta Genowefo!

Róża odprowadziła ją wzrokiem, po czym ruszyła za nią. Nie weszła jednak do kuchni, gdzie gosposia drżącymi rękami wystukiwała na telefonie numer na policję, tylko w przedpokoju sięgnęła po płaszcz. Zarzuciła go sobie na ramiona i wyszła z mieszkania. Nie chciało jej się czekać na windę, która była w jej bloku największym zabytkiem i jeździła w takim tempie, jakby na górę wciągały ją za sznury leniwe osiołki. Róża zbiegła po schodach. Wyszła z bloku i dopiero panujący na zewnątrz jesienny chłód nieco ją otrzeźwił i zastopował. Pisarka pomyślała, że jeśli za moment ma się natknąć na zwłoki, to zdecydowanie wolałaby tego nie przeżyć w pojedynkę. Jeszcze może od tego zemdleć albo też paść trupem, adonisowi-samobójcy do towarzystwa... Przez chwilę rozważała, czy nie wezwać Cecylii, ale uświadomiła sobie, że

w pośpiechu zapomniała zabrać telefonu i nie ma jak się z nią skontaktować. Niepewna, co zrobić, Róża przez chwilę dreptała w miejscu, aż wreszcie jej wzrok padł na puste o tej porze robotnicze baraki, i w tej samej chwili spłynęło na nią natchnienie! Tyle razy rozmawiały z Cecylią, że ktoś powinien ich nocą pilnować, żeby na schodach nie pokładali się bezdomni, traktujący to miejsce jako noclegownię... No jasne! Ochrona! Róża przestała dreptać i zdecydowanym krokiem ruszyła w prawą stronę, gdzie znajdowało się wejście do biurowca. Kiedy przechodziła między barakami a biurowcem, które dzielił od siebie tylko wąski chodnik, zaczęła odwracać głowę w prawo. Nie chciała widzieć leżącego po lewej stronie, zapewne kilkanaście metrów dalej, ciała faceta, którego obserwowała przez ostatnie dwa tygodnie. Choć pisała kryminały i wymyśliła już wiele opisów morderstw i zwłok, a niedawno brała udział w dramatycznych wydarzeniach na zjeździe pisarek, kiedy to dwie jej koleżanki po piórze padły ofiarą bezlitosnego mordercy, teraz brakowało jej odwagi. Okazało się jednak, że niepotrzebnie idzie ze skrzywioną głową, bo na skraju chodnika stoi duży, ciemny van. Zaparkowany dokładnie między budynkami, zasłaniał jej, prawdopodobnie makabryczny, widok. Róża odetchnęła, minęła znajdujące się na parterze wieżowca i zamknięte o tej porze na głucho biuro pośrednictwa handlu nieruchomościami, i z ulgą odnotowała, że nowoczesne wejście do środka biurowca jest rozświetlone, a za znajdującym się zaraz za nim srebrzystoszklanym kontuarem siedzi, tyłem do niej, barczysty mężczyzna w mundurze ozdobionym z tyłu okrągłym logo z napisem „Big Hawk Security”. Pisarka podeszła do obrotowych drzwi wejściowych, przez chwilę bezskutecznie się z nimi siłowała, po czym energicznie zastukała. Mężczyzna odwrócił się, spojrzał na nią, nieco się wzdrygnął, a na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiego przestachu. W tym samym momencie do Róży dotarło, jak się prezentuje! Zapewne jak postać z horroru, skoro przyprawiła o nerwowy odruch chłopca i to w dodatku wyglądającego na mało strachliwego. Przez chwilę zastanowiła się,

czy nie powinna czym prędzej uciec, ale wizja zwłok leżących za rogiem budynku kazała jej jednak zostać na miejscu.

– Niech pan otworzy! – krzyknęła. – I idzie ze mną! Z czwartego piętra wyskoczył człowiek, pewnie się zabił!

Mężczyzna nadal miał zaskoczony wyraz twarzy, ale posłusznie wstał i wyszedł zza kontuaru. Nie odrywając wzroku od Róży, podszedł do ściany, przycisnął jakiś guzik, powodując, że obrotowe drzwi ruszyły z miejsca, otwierając się przed pisarką. Ta nie weszła, tylko dała znak, aby ochroniarz wyszedł do niej.

– Co pani mówi?! – zapytał, kiedy znalazł się już przy Róży. – Jak to wyskoczył?! Skąd i gdzie?!

– Z biura na ostatnim piętrze, od strony baraków – wyjaśniła Krull, odnotowując z ogromnym niezadowoleniem, że jej rozmówca jest nad wyraz atrakcyjny, choć powinien czym prędzej zgolić niepasujące mu kompletnie do twarzy obfite bokobrody. – Niech pan ze mną idzie...

– A skąd pani to wie? – zapytał ochroniarz, nadal patrząc na nią jak na istotę z innej planety.

– Bo to widziałam! – krzyknęła Róża, z trudem hamując się przed zdjęciem płaszcza i narzuceniem go sobie na głowę. Szlag by trafił te wszystkie odżywki, maseczki, turbany, kurze białka i buraki. – Stałam na balkonie! Otworzył okno, zobaczył mnie, wszedł na parapet i skoczył!

– Na pani widok?! – zapytał ochroniarz.

Różę nieco zatchnęło, głównie na myśl o tym, jak wielką popularność zyska wśród jej znajomych właśnie ta wersja zdarzeń. Oczyma duszy zobaczyła Pepe, który – aby zapobiec pladze samobójstw – każe jej na wszelki wypadek wychodzić z domu tylko w kominiarce, oraz swoją menadżerkę Betty, która wysyła ją na operację plastyczną do doktora Gojdzia, aby już nigdy więcej nie wywoływała u ludzi myśli o pozbawieniu się życia. Oboje będą mieli używanie i zatrują jej egzystencję na amen!

– Niech pan nie będzie niemądry! – zganiła ochroniarza. – I niech w razie czego pan mnie łapie, jakby zaraz zrobiło mi się słabo. Niby

ostatnimi czasy przeżyłam dwa widoki zwłok i nawet nieźle to zniosłam, ale nigdy nic nie wiadomo...

– Prowadzi pani szalenie interesujący tryb życia – mruknął ochroniarz tonem, co do którego Róża nie mogła zdecydować, czy więcej w nim politowania czy podziwu. – Niech pani poczeka, zablokuję drzwi, żeby nikt się tu nie dostał. Pełno bezdomnych się tu kręci. Raz wyszedłem na obchód, zapomniałem o drzwiach i jak wróciłem, to jeden już spał w środku przy kaloryferze...

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni coś na kształt pilota telewizyjnego i nacisnął na nim jeden z przycisków. Sprawdził, czy drzwi są zamknięte i ruszył w stronę rogu budynku. Róża początkowo podążała za nim, ale potem przystanęła przy biurze nieruchomości i na wszelki wypadek zamknęła oczy. Gdzieś w oddali rozległ się sygnał karetki pogotowia ratunkowego.

– Miała pani rację, lepiej tam nie patrzeć. – Pisarka usłyszała przejęty głos ochroniarza. Mężczyzna położył jej rękę na ramieniu, odwrócił i poprowadził kilka kroków. Jedno spojrzenie na jego zaaferowaną twarz wystarczyło, aby zrozumiała, co zobaczył za rogiem.

– Będzie lepiej, żeby pani tego nie oglądała – powiedział łagodnie, prowadząc ją z powrotem pod wejście do biurowca. – Proszę tu odetchnąć, otworzę pani drzwi. Na półce przy monitorach stoi nietknięty jeszcze sok pomarańczowy i woda mineralna, a na prawo jest łazienka. I, proszę, niech pani spróbuje jakoś zmyć tę charakteryzację, którą ma pani na twarzy, bo jeszcze sanitariusze i policjanci na pani widok też tu padną trupem.

ROZDZIAŁ II

Zdziwienie

Dwie siedzące w samochodzie osoby patrzyły na siebie z przerażeniem.

– Jak to się mogło zdarzyć? – powiedziała cicho kobieta. – Nic z tego nie rozumiem!

Może powinienem jej powiedzieć? – pomyślał mężczyzna, ale jednocześnie poczuł, że słowa wyjaśnienia i tak nie przejdą mu przez gardło. Zresztą być może to, co przez chwilę chciał zdradzić, nie miało żadnego znaczenia. Bardzo by chciał, aby tak właśnie było...

– Ja też nie... – powiedział bezradnie.

– Jesteśmy w ciemnej dupie! – jęknęła kobieta. – W razie czego wszystkie podejrzenia padną na nas!

– A może on naprawdę popełnił samobójstwo?

– Zwariowałaś?! – Kobieta popatrzyła na niego z politowaniem. – W takich okolicznościach?!

– No tak, oczywiście, masz rację... – wycofał się mężczyzna, w duchu zastanawiając się, na ile może mieć zaufanie do swojej rozmówczynie. Byłby zapewne bardzo zdziwiony, gdyby wiedział, że ta rozważa w tym momencie dokładnie tę samą kwestię. Po co w ogóle dał jej się w to wszystko wciągnąć? Jasne, miał w tym swój interes, ale w świetle tego, co się wydarzyło, wydał mu się on idiotyczny. Jasne, ludzie potrafili popełniać morderstwa dla głupich kilku złotych albo i zupełnie bez powodu, dla samej przyjemności pozbawienia kogoś życia, ale mówimy tu o degeneratach, zwyrodnialcach, psychopatach. A przecież żadne z nich nie zaliczało się do tej kategorii. A przynajmniej on!

– To co robimy? – zapytał. – Idziemy na policję?

– Chyba masz nie po kolei w głowie. – Kobieta się wzdrygnęła. – Siedzimy cicho jak mysz pod miotłą. Zacieramy wszystkie ślady.

I modlimy się codziennie, aby nikt nie zwątpił, że to naprawdę było samobójstwo.

Mężczyzna westchnął, wyobrażając sobie, jak cudownie będzie mu się żyło z mieczem Damoklesa wiszącym nad głową.

– Raczej będę się modlił, żeby to było samobójstwo – powiedział. – W końcu faszzerowaliśmy go takim gównem, że mogła mu się trochę zwichrować psychika.

– Bez przesady! – mruknęła kobieta. – Powiedz mi, czy na pewno zrobiłeś dokładnie to, o co prosiłam?

– Oczywiście, miałem na to wystarczająco dużo czasu...

– Czyli przynajmniej z tej strony nie musimy się niczego obawiać...

– Ty – powiedział mężczyzna, przybierając nagle nieprzyjemny ton. – Ty nie musisz się niczego obawiać!

– Dobrze, niech ci będzie, ja – zgodziła się kobieta. – A wiesz, co będzie największym paradoksem?

– Poza tym, że to jednak było samobójstwo? – Mężczyzna szybko opanował gniew. – No co?

– Jeśli to naprawdę ona go wykończyła – powiedziała kobieta.

– Myślisz...?

– Nie wiem – odpowiedziała kobieta, popadając w zamyślenie. – Rozważam wiele możliwości. Łącznie z tym, że za tym wszystkim stoi ta baba z lornetką. Pamiętasz, mówiłam ci o niej...

– A ja zapomniałem ci powiedzieć, że wiem, kto to jest! – Mężczyzna nagle się ocknął. – Tego samego dnia, jak mi o niej opowiedziałaś, wpadłem na podekscytowaną panią w sklepie, która przeżywała, że sprowadziła się tu jej ulubiona pisarka kryminałów. Róża Krull. A następnego dnia powiedziała, że wie już nawet, gdzie mieszka i który balkon jest jej. Wszystko się zgadza. To ona.

– Pani w sklepie cię nie zapamiętała? – spytała kobieta z niepokojem.

– Nie. – Uśmiechnął się mężczyzna. – Widziała nieśmiałego studencika z wąsikami i w rogowych okularach na nosie. Takiego, jak setki innych na ulicach...

Kobieta odetchnęła z ulgą.
– Róża Krull... – powiedziała powoli. – Autorka kryminałów.
Bardzo interesujące...

ROZDZIAŁ III

Narczyz

Jakub Perchuć obudził się tego dnia wyjątkowo późno. Po wczorajszej imprezie w jakiejś podrzędnej spelunie nie czuł się najlepiej. Być może dlatego, że pod mile brzmiącą nazwą „najlepsze piwo na wschód od stolicy” uraczono go dziwną ciecżą smakującą jak rozwodnione kocie siki. W przekonaniu o pochodzeniu tego trunku utwierdził go później widok kilkunastu wypasionych sierściuchów, grasujących po klubowym parkingu z pytaniem: „I jak piwo? Smakowało?”, wypisanym na pełnych satysfakcji pyszczkach. Powodem fatalnego samopoczucia mogła być też uczta muzyczna, dzieło miejscowego DJ-a, który przez całą noc serwował składankę hitów disco polo, ze szczególnym uwzględnieniem tych śpiewanych przez artystę Tomasza Niecika. Tak czy siak, Jakubowi trudno było rozstrzygnąć, czy bardziej boli go teraz brzuch czy głowa. Jedno, czego był pewny, to że z całego serca życzy Tomaszowi Niecikowi, żeby w czasie najbliższej burzy piorun poraził go w język. Kołatała się w nim też niepewność, czy nie powinien zostać abstynentem. Z trudem zwał się z łóżka, zastanawiając się, po co w ogóle pojechał do tej dziury i jak bardzo uszkodzony na umyśle był ktoś, kto nadał nazwę „Paradise” lokalowi, przy którym nawet zaniedbana remiza strażacka wydała się szczytem elegancji. Jakub przez chwilę podumał, co też wcześniej mogło się znajdować się w owym – wedle reklamy „zapewniającym wyjątkowe doznania” – klubie, dochodząc do wniosku, że najpewniej obora. Ewentualnie kurnik. Westchnął, poszukał wzrokiem ibupromu, po czym przypomniał sobie, że zostawił go parę dni temu w łazience. Przeszedł tam, zastanawiając się, co u licha ciężkiego tak bardzo zasmrodziło przez noc jego apartament. Kiedy wczoraj go opuszczał, pachniało tu przecież podarowanym mu przez jedną z wielbicielek

cytrusowym potpourri. Po chwili dotarło do niego, że źródłem odoru jest on sam. Niezadowolony ściągnął z siebie T-shirt, spodnie, slipki i skarpetki, bo kiedy wczoraj w środku nocy wrócił spod Radomia do Warszawy, walnął się półprzytomny do łóżka tak jak stał, powąchał je, wzdrygnął się z obrzydzeniem i wrzucił wszystko do pralki. Następnie stanął przed lustrem. Po chwili uśmiechnął się z zadowoleniem. Choć miał może nieco zmęczoną twarz, to cała reszta prezentowała się jak zawsze bez zarzutu. Jakub prawą ręką zmierzył swoje lekko kręjące się włosy, a lewą przejechał po klatce piersiowej, zatrzymując się w okolicach podbrzusza. Jakie genialne miał ciało! Gdyby tylko mógł, sam by siebie przeleciał... Przez moment chciał sobie zrobić dobrze, ale przypomniało mu się, że ma gościa. Swoją drogą, co to za cudak! Wszyscy się wczoraj na niego gapili jak na ufoludka. A z drugiej strony, mógł mu się jeszcze kiedyś przydać... Jakub jeszcze raz rzucił okiem w lustro. Trzeba będzie tylko trochę pomachać sztangą, bo od tych imprez za chwilę szlag trafi jego idealną rzeźbę. Ale na razie ciągle jest perfekcyjnie! Nic dziwnego, że te wszystkie labadziary dostały wczoraj ślinotoku na jego widok. Przez chwilę zastanowił się, czy nie zrobić transmisji „na żywo” ze swojej porannej toalety. Jego fanki tak bardzo to lubiły, zwłaszcza gdy się z nimi droczył, schodząc kamerą, niby to przez przypadek, w dół. Dobrze, że nie wiedziały, że w czasie takich transmisji zawsze miał na sobie kąpielówki. Skąpe, bo skąpe, ale jednak. Strzeżonego... W takim kraju jak Polska lepiej nie szarżować, bo za dużo tu cnotek. Co prawda to pewnie one najbardziej by się ucieszyły, gdyby w końcu pokazał swój główny i, umówmy się, okazały atut, ale potem utopiłyby go w oceanie pełnego hipokryzji oburzenia. Ostrożność górą! Zwłaszcza teraz. Nie ma co ryzykować skandalu. Jeszcze mu zamkną konto i będzie po transmisjach. A w końcu te z łazienki, a szczególnie spod prysznic, zawsze cieszyły się największą oglądalnością. Ostatnie szorowanie pleców obejrzało aż ćwierć miliona ludzi! Fakt nie do przecenienia w chwili, gdy do finału wyborów Mistera Polonia zostało już tylko kilka dni... Po to

zresztą jechał do tej speluny. Trasa po klubach, poznawanie tych straszliwych tipsiar, rozdawanie im autografów, gadanie o pierdołach, bo przecież o niczym poważnym się nie dało, i obmacywanie ich w tańcu, zwiększało jego szansę na wygraną. Po chwili Jakub doszedł do wniosku, że transmisja nie jest jednak teraz najlepszym pomysłem, bo dopatrzył się, że ma wokół oczu ciemne obwódki ze zmęczenia. Lepiej będzie położyć tam maseczkę z alg i złota, zrobić sobie zdjęcie, koniecznie takie, żeby widać było też kawałek klaty z nowym tatuażem, wstawić je na Instagrama, zebrać ze sto tysięcy polubień, a jutro pogadać z producentem kosmetyku o podwyżce honorarium za „lokowanie produktu”. Tak właśnie trzeba zrobić!

Jakub przeszedł do pokoju i rozejrzał się w poszukiwaniu maseczki. W przebłysku rozsądku, który zdarzał mu się bardzo rzadko, pomyślał, że gdyby zabrać z tego pomieszczenia wszystkie rzeczy, które zostały mu podarowane przez sponsorów, to zostałyby tu tylko gołe ściany. I on sam – też nagi jak święty turecki. No dobrze, ocalałby jeszcze plecak, z którym dwa lata temu przyjechał do stolicy ze wsi pod Lublinem. Z sentymentu dalej trzymał go na dolnej półce swojej szafy, głęboko w kącie, za innymi rzeczami. Dwa lata wyrzeczeń, imania się fuch, z których nie zawsze był dumny, i podlizywania ludziom, którymi czasem z całego serca gardził. Ale udało się! Teraz mieszka w bajecznym apartamencie, rozbija się najnowszym bmw (nic to, że tylko do końca miesiąca, bo potem ma już zakontraktowanego u sponsora świeżutkiego lexusa) i gdy tylko chce, ma kolejną piękną dziewczynę w łóżku. Zresztą, nie tylko dziewczynę, bo przecież grzechem byłoby, gdyby oszczędzał przyjemność zachwycania się sobą tylko dla jednej płci... Tak, Jakub doszedł w życiu do wszystkiego, o czym marzył. A właściwie – prawie do wszystkiego. Wisienką na torcie miało być zdobycie tytułu Mistera Polonia i tym samym otrzymanie złotego biletu do pierwszej ligi polskich celebrytów. A może nawet i zrobienie kariery międzynarodowej, kto wie... Jeszcze dwa dni temu wcale nie był pewny, czy ten plan

się powiedzie, ale teraz, w nowych okolicznościach, nic już nie powinno mu w tym przeszkodzić!

Jakub poczuł, że jest mu chłodno. Jego apartament znajdował się na dwudziestym piętrze drapacza chmur. Latem nigdy nie było tu zbyt gorąco, ale teraz, gdy powoli nadchodziła jesień, pora byłoby skorzystać z klimatyzacji. Sięgnął po pilota i przycisnął odpowiedni guziczek. Bez żadnego efektu. Może gdy klimatyzacja grzeje zamiast chłodzić, to nie wydaje żadnego dźwięku? Mieszkał tu dopiero od kilku miesięcy i jeszcze nie miał potrzeby ogrzewania apartamentu. Jakub podszedł do kratki klimatyzatora, stanął na palcach i wyciągnął rękę. Niby wydobywał się stamtąd ciepły podmuch, ale raczej marny... Spojrzał raz jeszcze na pilota, starając się rozgryźć, który z przycisków może zwiększyć temperaturę i siłę podmuchu, skoro większość z nich ma przy sobie znaczek śnieżki, czyli mrożenia. Przebiegał wzrokiem pilota raz po raz, aż w końcu rzucił okiem na podłogę. Ze zdziwieniem odnotował, że widzi tam coś, czego nie powinien. Kopertę! Wystawała spod drzwi wejściowych do apartamentu, najwyraźniej została tam wsunięta z korytarza. Zaintrygowany Jakub odłożył pilota, pochylił się i podniósł znalezisko. Koperta nie była zaklejona, a w jej środku znajdowała się niewielka kartka, całkowicie wypełniona tekstem. Przebiegł ją wzrokiem kilka razy, a potem zaczął uważniej czytać zdanie po zdaniu. Nagle usłyszał ciche kaszlnięcie za placami. Gwałtownie odwrócił się, a trzymana w rękach kartka wypadła mu z rąk i sfrunęła pod nogi nieco zaspanego, szczupłego młodzieńca. Ten uważnie zmierzył Jakuba wzrokiem, po czym, podnosząc kartkę z podłogi i wyciągając ją w jego stronę, powiedział ironicznie:

– Myślałem, że się tylko wygłupiasz, kiedy zapowiedziałeś wczoraj, że na śniadanie będzie parówka na jajkach. Ale widzę, że jednak mówiłeś serio!

ROZDZIAŁ IV

Niespodziewana wizyta

– I naprawdę tego nie piszesz? – Betty popatrzyła na Różę z niedowierzaniem. – To się wydarzyło?!

Pisarka pokiwała głową, zastanawiając się jednocześnie, co powinna zrobić, aby pozbyć się uczucia, że przez przypadek niczym baśniowa Alicja trafiła do świata „po drugiej stronie lustra” i że świat dookoła jest jedynie wytworem jej rozszalałej wyobraźni. Podejrzenia takie były o tyle uzasadnione, że Róży w jej trzydziestopięcioletnim życiu wiele razy udało się pomieszać świat realny z wyimaginowanym i to w stopniu kwalifikującym ją czasem do natychmiastowej wizyty u psychiatry. Już jako mała dziewczynka dała się we znaki rodzicom, budząc ich w nocy ze snu i upierając się, że jej pokój odwiedziło mnóstwo duchów, na czele z Mikołajem Kopernikiem. Ten nie wiedząc czemu uczepił jej się wyjątkowo nachalnie i wizytował ją regularnie, za każdym razem dzierżąc w jednej dłoni globus, a w drugiej astrolabium, którym nawet raz usiłował ją dziabnąć w stopę. Ponieważ nocne wizyty średniowiecznego natręta zaczęły się po pierwszym spacerze, jaki kilkuletnia Róża odbyła z mamą po Warszawie, ta zrzuciła je na karb fascynacji swojej pociechy pomnikiem astronoma, mijanym przez nie wtedy kilka razy na Krakowskim Przedmieściu. Jej podejrzenia zamieniły się w pewność po kolejnej wycieczce, tym razem do Wilanowa, po której Różę zaczął nocami prześladować król Jan III Sobieski, na dodatek wraz ze swoim koniem. Ten ostatni wpadał do przyszłej gwiazdy literatury też i sam, aż wreszcie Róża się z nim oswoiła i przestała histeryzować. Zwierzątko wydało jej się w końcu całkiem miłe, nie usiłowało jej przedziurawić jakimś średniowiecznym cyrklem ani nie wymachiwało nad głową hetmańską buławą, tylko grzecznie wypasało się w kącie pokoju. Dało się to jakoś wytrzymać. Zresztą

doszedłszy do wieku dorosłego, Róża nadal była zdania, że zwierzęta, nawet te najbardziej drapieżne, są o wiele mniej groźne od ludzi. Niestety, przekroczenie progu dojrzałości nie uspokoiło imaginations Krull, która nadal miała skłonność do widzenia rzeczywistości w oryginalny sposób. Z czasem zaczęło jej to trochę komplikować życie. Na przekór podszeptom jej fantazji wykładowca języka starocerkiewnego, na którego doniosła na policję, nie okazał się szpiegiem pracującym dla KGB, a jego nocne wędrówki w okolicach jednostki wojskowej mniej miały wspólnego z działalnością wywiadowczą, a więcej ze znajdującym się tam sklepem monopolowym. Jej koleżanka ze studiów nie usiłowała okraść Biblioteki Narodowej z cennych manuskryptów, tylko miała romans z pracującym tam przystojnym bibliotekarzem. Kiedy wreszcie ponury typ, oskarżony przez Różę o czatowanie na jej życie lub cnotę, co było dla niej jedynym wytłumaczeniem faktu, że kręci się wieczorem wokół jej bloku, okazał się architektem, pracującym nad dobudowaniem do budynku garaży, Róża zrozumiała, że przekracza granice zdrowego rozsądku i musi poszukać lekarstwa na wybryki wyobraźni. I szybko takowe znalazła! Mając dwadzieścia pięć lat wydała swoją pierwszą powieść kryminalną, a wkrótce potem kolejne. I tylko podczas wywiadów nigdy szczerze nie odpowiedziała na pytanie, skąd bierze szalone pomysły na książki, bo przyznanie się do Kopernika, Sobieskiego i konia było zdecydowanie ponad jej siły. Teraz jednak chętnie sama użyłaby astrolabium, żeby się kujnąć i obudzić z czegoś, co wydawało jej się wyjątkowo koszmarnym snem.

– Niestety – potwierdziła smętnie. – Wyjątkowo nic nie zmyśliłam. Tego, co przeżyłam tu przedwczoraj, nie trzeba dodatkowo ubarwiać. A tobie udało się czegoś dowiedzieć?

Jej menadżerka, Beata Jankowska, nazywana przez wszystkich Betty, była narzeczoną najprzystojniejszego polskiego komisarza policji, Krzysztofa Darskiego, prezentującego się wypisz, wymaluj jak kopia hollywoodzkiego boga seksu Matta Bomera. Pod jego urokiem były wszystkie znane Róży kobiety, z wyjątkiem jej

gosposi. Cecylia była bowiem zdania, że ładni mężczyźni to nic dobrego, bo przecież diabły też muszą być atrakcyjne, skoro tak łatwo wodzą kobiety do grzechu. Na widok faktycznie piekielnie atrakcyjnego Darskiego, który dopiero co opuścił mieszkanie pisarki, najpierw się przeżegnała, a potem w kuchni na wszelki wypadek zmówiła dziesiątkę różańca. Na koniec zaś, wykorzystując fakt, że Róża i Betty wyszły na balkon, czym prędzej spryskała zajmowany przez niego wcześniej fotel wodą święconą, noszoną przy sobie na wszelki wypadek w małej buteleczce.

– Na razie niczego specjalnego – przyznała niechętnie Betty. – Był na jakimś szkoleniu przez ostatni tydzień i nic jeszcze nie wie. Jak jechaliśmy do ciebie, zaczęłam go dyplomatycznie przekonywać, żeby czegoś się dowiedział, ale wiesz, jak on reaguje na takie prośby. Zwłaszcza po numerach, jakie odwaliłyśmy mu w Kopielnikach...

Róża pokiwała głową ze zrozumieniem. Na niedawnym morderczym zjeździe pisarek wykazały się dużą niesubordynacją, nie zastosowały się do rad, a właściwie rozkazów Darskiego, i w efekcie o mało co jedna z nich nie przypłaciła tego życiem.

– Na jego miejscu pewnie też nie byłabym zachwycona, gdybym dowiedziała się, że znów wplątałyśmy się w jakąś aferę – powiedziała Róża ze zrozumieniem. – Zdaje się, że nie ma co liczyć na jego pomoc...

Betty spojrzała na nią uważnie.

– A ty chcesz znowu prowadzić jakieś śledztwo? – zapytała ze zdziwieniem. – Mało ci jeszcze było?! Poza tym chyba nie ma po co szukać mordercy w chwili, kiedy ktoś popełnił samobójstwo...

– Jakie tam znowu śledztwo! – Róża wzruszyła ramionami, kręcąc przecząco głową, choć w głębi ducha właśnie to miała zamiar zrobić. – Po prostu chciałabym się dowiedzieć, dlaczego ktoś skacze z okna na mój...

Ugryzła się w język, ale było już za późno.

– Widok? – dokończyła Betty, z trudem powstrzymując się od

śmiechu. – Naprawdę tak było?

– Owszem, tak to trochę wyglądało – przyznała niechętnie Róża, w duchu karcąc swoją szczerłość mocno niecenzuralnymi słowami, po czym posłała menadżerce gniewne spojrzenie. – Ale jeśli mrukniesz o tym Pepe, to cię zwolnię!

– O, właśnie. – Betty o czymś sobie przypomniała. – A dlaczego go z nami nie ma? Chyba miał być?

– Wpadnie później, bo ma przeprawę z Marią Tycjan w sprawie zamawiania gęsi do jej restauracji – powiedziała Róża. – Mają być owsiane. I nieopierzone! Tak jak w reklamówce Magdy Gessler. Ona ma obsesję na jej punkcie i twierdzi, że skoro Magda może sprowadzać gęsi do swoich restauracji z Kołudy, to ona też nie będzie serwować swoim klientom jakichś pokurczonych zdechlactw z Suchej Psiny...

– Naprawdę jest miejscowość Sucha Psina, czy wymyślasz to na bieżąco? – zainteresowała się Betty.

– Owszem, jest... – Westchnęła Róża. – Zapamiętałam ją, bo kiedyś w drodze ze spotkania w Prudniku do rodziny w Raciborzu, złapałam tam gumę. Był wieczór, żywego ducha dokoła, wszystko jakieś takie wymarłe jak w horrorze, a ja nie wiedziałam, jak się zabrać za wymianę koła. W końcu po jakimś kwadransie przyplątał się jakiś wsiowy debil i zaczął się na mnie gapić. Ani be, ani me, tylko rzepił na mnie i coś tam mamrotał pod nosem. W końcu mnie wkurzył, więc go zagoniłam do roboty. Napocił się, nastękał, ale posłusznie wykonał wszystko, co mu kazałam. Jak już było prawie po sprawie, to nadleciała jakaś gruba baba z okrzykiem: „A Waldus nic pani nie zrobił? Bo on trochę nerwowy, zwłaszcza jak już wieczór idzie! Dobrze, że mu przed południem zabrałam widły!”. A jak jej powiedziałam, że właśnie mi pomógł wymienić koło, to nie mogła uwierzyć. „Toż to nikt go od małego do żadnego zajęcia nie mógł namówić!” – powiedziała i zaczęła mnie prosić, żebym przyjechała w porze żniw, bo z powodu tego nierobotnego Waldusia, co to jedyny z całej rodziny został z nią na gospodarce, ich pole od lat wygląda jak stary ugór. I że jak go przekonam, żeby

się wziął za robotę, to ona mi da wikt, opierunek i nawet świniaczka dla mnie ubije. A ten przygłup kręcił się cały czas dokoła i mamrotał pod nosem: „Pani taka ślicznusia, to się zaraz łożymy!”. A potem gdzieś zniknął, więc się przeraziłam, że polazł po te widły, żeby mnie przemocą zmusić do zamążpójścia, i nawiałam stamtąd z taką szybkością, że ledwo co minęłam ostatnie budynki, a od razu zapłaciłam mandat, bo akurat stały tam smerfy. Uwierz mi, że co jak co, ale nazwa tej wsi wbiła mi się do głowy na całe życie.

Betty skinęła głową z lekkim roztargnieniem. Widać było, że opowieści o skorym do zeniaczki Waldusiu słuchała niezbyt uważnie, zapatrzona w znajdujące się pod balkonem podwórce. O ile kawałek chodnika, oddzielający blok Róży od samochodów zaparkowanych pod robotniczymi barakami, zasługiwał na to szczytne miano. Pisarka podążyła za wzrokiem swojej menadżerki i dostrzegła przechadzającą się pod balkonem szczupłą, wysoką, długonogą i długowłosą blondynkę, ubraną w jeansową kurtkę i czarne spodnie. Dziewczyna, na oko dwudziestokilkuletnia, w prawej ręce dzierżyła telefon, a lewą podtrzymywała przewieszoną przez ramię ogromną torbę w modnym tego lata modnym kolorze. Identyczną niewiele wcześniej Róża wypatrzyła na wyprzedazy w Żółtych Tarasach. Zakupu nie dokonała zaś tylko dlatego, że towarzyszący jej wtedy Pepe zapytał z przekąsem, czy zamierza brać udział w biciu rekordu Guinnessa w czasie poszukiwania kluczy, która to czynność i przy mniejszej torbie zajmuje jej z reguły kilka minut.

– Dziwne... – powiedziała wolno Betty. – Ta dziewczyna przechadza się tu, odkąd tylko wyszliśmy na balkon. I zaczepiła już kilka osób, pytając o coś, ale wszyscy jej rozmówcy sprawiali takie wrażenie, jakby nie znali odpowiedzi...

– Pewnie jakaś narkomanka, tu takich na kopy. – Róża wzruszyła ramionami. – Nagabuje o kupienie czegoś do jedzenia albo prosi o złotówkę, bo akurat zabrakło jej na bilet do rodzinnego miasta, gdzie czeka na nią umierająca mamusia, stęskniony tatuś

staruszek i brat-kaleka. Stary numer! Jak się tu sprowadziłam, to przez pierwsze dni dawałam się nawet na to nabrać.

– Ale ona wygląda wyjątkowo porządnie jak na żebraczkę albo menelkę... – zaproponowała niepewnie Betty.

– Niby masz rację, ale uwierz mi, część z tych meneli to wcale nie są żadne obdartusy. – Westchnęła Róża. – Pomagałam tylko tym, którzy sprawiali w miarę uczciwe wrażenie. Aż pewnego dnia uświadomiłam sobie, że jednemu takiemu facjowi w garniturku w ciapki dołożyłam już do tyłu biletów, że mógłby spokojnie opłacić sobie za to złotą kartę stałego pasażera PKP i objechać kolejami całą Europę od Władywostoku po Lizbonę. Teraz jestem na etapie kamiennej niewiary we wszystko, co od takich ludzi słyszę. A lada moment zacznę ich bić. O, chciałaś Pepe, to go masz...

Na horyzoncie pojawił się agent Róży. Już z daleka sprawiał wrażenie mocno styranego życiem, na co wpływ niewątpliwie miało powierzone mu nieco wcześniej zadanie zorganizowania transportu jakiejś gigantycznej ilości nieopierzonego drobiu spod Inowrocławia do Warszawy i nakarmienia nim gości na bankiecie, jaki jego druga szefowa szykowała dla uczestników i organizatorów nadchodzących właśnie wyborów Mistera Polonia. Parę tygodni wcześniej Pepe musiał podjąć niełatwą decyzję wybrania nowego miejsca pracy. Po tym, jak zadzwoniła do niego Magda Gessler, proponując stanowisko menadżera jednej ze swoich restauracji, doczekał się telefonu od jej największej konkurentki, Marii Tycjan. Ta zaoferowała mu nie tylko większą pensję, ale i możliwość ułożenia autorskiego menu, które zostanie wprowadzone do karty jednego z prowadzonych przez nią w stolicy lokali, nieco pretensjonalnie nazwanego „Marzenie Lukullusa”. Mając świadomość tego, że taka oferta może mu się już więcej nie trafić, Pepe z ciężkim sercem podziękował swojej ukochanej Magdzie i podpisał umowę z Marią. Teraz z wolna zaczynał nabierać wątpliwości, czy była to mądra decyzja oraz podejrzewać, że jego nowa szefowa ma nierówno pod sufitem. Na to ostatnie wskazywała jej granicząca z obłędem obsesja na punkcie Magdy

Gessler. Maria rywalizowała z nią we wszystkim. Ubierała się równie kolorowo i fantazyjnie jak gwiazda „Kuchennych rewolucji”, starała się identycznie zachowywać i mówić, a na głowie nosiła tyle kręconych blond dopinek, że Pepe czasami nie mógł wyjść z podziwu, jakim cudem przy takim ciężarze udaje jej się jeszcze tą głową ruszać, nie łamiąc przy tym kręków szyjnych. Teraz laźl niczym obraz nędzy i rozpaczy, powłócząc nieco nogami i zastanawiając się smętnie, po co Stwórca powołał do życia gęsi, a ktoś inny założył w Kołudzie gospodarstwo hodowlane. Chyba tylko po to, żeby go tym wszystkim wykończyć nerwowo...

Róża i Betty obserwowały w milczeniu zgarbionego, człapiącego niczym zdychająca krowa Pepe, który sprawiał wrażenie idealnie oderwanego od rzeczywistości. Potem zobaczyły, jak podchodzi do niego przechadzająca się pod balkonem dziewczyna. Pepe rozpoczął z nią konwersację, a po chwili wskazał ręką balkon Róży. Wreszcie oboje zadarli na chwilę głowy, po czym Pepe uczynił zapraszający gest. Na koniec zaś oboje udali się w stronę wejścia, ostatecznie znikając im z pola widzenia.

– Zdaje się, że nasz przyjaciel od czegoś oszalał – powiedziała niepewnie Róża. – Zaraz sprowadzi mi do domu podejrzany element z marginesu społecznego.

– Może nie sprowadzi... – odpowiedziała też nieco oszołomiona zagadkowym zachowaniem Pawła Betty. – Może ona szuka któregoś z twoich sąsiadów?

– Przecież Pepe nie zna moich sąsiadów! – zaprotestowała Róża, po czym uświadomiła sobie o wiele gorszą rzecz. – Ale za to zaraz pozna panią Cecylię! Co prawda i tak odwołałam parapetówkę, bo nie w głowie mi teraz zabawa, ale Cecylię chciałam przed nim ukryć do czasu, aż przestanie się naigrawać z moich zdolności kulinarnych...

– Róża, przecież ty nie masz żadnych zdolności kulinarnych!

– No przecież właśnie o tym mówię!

Rozlegający się dźwięk dzwonka uświadomił im, że za moment poznają zagadkę dziwaczego postępowania Pepe. Róża pospieszyła

otworzyć drzwi, w głębi ducha licząc na to, że gosposia, którą od samego początku wtajemniczyła w swoje kulinarne szachrajstwa i uświadomiła, kogo przede wszystkim chce na nie nabrać, zachowa przytomność umysłu. Niestety, kolejne chwile miały jej przynieść gorzkie rozczarowanie...

– Ach, to pan tak dobrze gotuje! – zakrzyknęła Cecylia radośnie, ledwo co Róża wymówiła imię agenta. – I to dla pana miałam przygotować takie potrawy, żeby padł pan trupem z wrażenia!

Róża gniewnie prychnęła. Rozbawiony Paweł posłał jej ironiczne spojrzenie. Cecylia, która w tym czasie podejrzliwym wzrokiem sondowała towarzyszkę agenta, potrzebowała dłuższej chwili, aby połapać się, jaką gafę strzeliła.

– Ojjoj, ale narobiłam! – Złapała się za głowę, kiedy wreszcie to do niej dotarło. – Przecież to miał być sekret! Gdzie ja mam głowę?! Będę musiała zaraz zmówić nowennę do świętego Stanisława, patrona sklerotyków...

– Niech pani się raczej pomodli do patrona dyskrecji – poradziła Róża. – Kimkolwiek by on nie był...

– Święty Jan Nepomucen z Pomuk – oznajmiła Cecylia, wzrokiem dając pisarce do zrozumienia, że to wstyd nie mieć tak podstawowych wiadomości. – Prezbiter. Zabił go pod koniec XIV wieku czeski król Wacław za to, że nie chciał mu zdradzić tajemnicy spowiedzi jego żony. Podejrzewał, że niezła z niej ladacznica i że go zdradza na prawo i lewo. Jan mu nic nie chciał powiedzieć, więc go utopił w rzece. Ale został za to pokarany. Zesłano na niego bezpłodność i nie zostawił dziedzica, co rozpętało wielką wojnę. A Janowi postawiono potem pomnik na moście Karola w Pradze. Mój wnuczek kiedyś mnie tam zabrał na wycieczkę, to go namówiłam, żebyśmy sobie przez tych parę dni obejrzeliby wszystkie kościoły i pomniki świętych. Bo tam ich bardzo dużo, ale ten był najśliczniejszy. I ten Jan jest patronem tajemnic i dyskrecji. I jeszcze zasiewów. Chroni pola przez powodziami. Figur dużo mu stawiali kiedyś po wsiach, przy łąkach...

Przez chwilę wszyscy patrzyli na gosposię Róży w milczeniu, nie

za bardzo wiedząc, jak zareagować na jej przemowę. Pepe przemknęło przez głowę, że na działalności utopionego świętego najlepiej wyszła żona króla, a najgorzej wnuczek Cecylii, ale nie odważył się wypowiedzieć tego na głos.

– No tak... – powiedziała wreszcie oszołomiona Róża. – To niech się pani teraz do niego pomodli, a my pozwólmy wreszcie przedstawić Pawłowi jego towarzyszkę...

– A, właśnie – ocknął się Pepe. – Pani do ciebie...

Róża ze zdziwieniem spojrzała na dziewczynę, odnotowując, że nie pomyliła się, szacując z oddali jej wiek. Mogła mieć góra dwadzieścia pięć lat. Pisarka z zazdrością odnotowała, że Matka Natura obdarowała nieznajomą dokładnie takim słonecznym odcieniem blondy, na jaki ona sama zawsze chciała zafarbować swoje włosy, osiągając przy tym cudaczną paletę barw – od jajecznicy na maśle po platynę à la gołąbek pokoju – z wyłączeniem tej wymarzonej. Poza tym dziewczyna miała duże, błękitne, nieco przestraszone oczy i bardzo niepewną minę.

– Przepraszam, że pozwoliłam sobie zakłócić pani spokój – powiedziała nieco drżącym głosem. – Ale nie widziałam innego wyjścia. Może najpierw się przedstawię. Nazywam się Martyna Mroziak i jestem pani wielką fanką.

Róża, która z powodu zazdrości o włosy lub ostrzegawczych sygnałów intuicji, początkowo poczuła do nieznajomej lekką niechęć, natychmiast zmieniła zdanie i uznała ją za szalenie sympatyczną.

– Miło mi – powiedziała, wyciągając do niej rękę. – Co prawda nie lubię, gdy nachodzi się mnie w domu, ale jeśli chce pani dedykację w książce albo autograf, to oczywiście będzie to dla mnie ogromna przyjemność...

Pepe parsknął, mamrocząc pod nosem coś, w czym Betty dosłuchała się słowa „megalomania”.

– Nie, nie! – Dziewczyna wyraźnie się speszyła. – Nie o to mi chodzi. To znaczy kiedyś na pewno poproszę panią o autograf, ale dzisiaj mam inną sprawą. O wiele ważniejszą!

Róża pomyślała co prawda, że skoro dziewczyna jest fanką jej książek, to nic nie powinno być dla niej bardziej istotne od zdobycia autografu, ale też z miejsca poczuła się zaciekawiona.

– Nie stójmy tak w przedpokoju – powiedziała stanowczo. – Zapraszam do środka. Pani Cecylia, poprosimy o coś do picia...

– Kompocik zrobiłam – przypomniała gosposia, nie odrywając uważnego wzroku od dziewczyny. – Bardzo dobry, truskawkowo-rabarbarowy, zaraz przeleję do dzbanka i podam.

I to jest właśnie ten moment, kiedy wszyscy padniemy trupem – przemknęło przez głowę Róży, kiedy w ułamku sekundy uświadomiła sobie, że jedyne truskawki, które Cecylia mogła znaleźć w jej domu, mają trzy miesiące i zostały zamrożone jeszcze w poprzednim mieszkaniu, na dodatek w chwili, gdy już prawie zaczynały samodzielnie chodzić. W czasie przeprowadzki przez zapomnienie nie wyjęto ich z zamrażarki, gdzie spędziły kilka godzin w czterdziestostopniowym upale. Głupio jej się było teraz przyznać do takiego zaniedbania. Postanowiła więc pilnować tylko tego, aby nikt z jej gości nie wypił zbyt dużo potencjalnie szkodliwego napoju. Od małej ilości chyba nic się nikomu nie stanie...

– Więc cóż takiego ważnego panią do mnie sprowadza? – zapytała z życzliwym uśmiechem, kiedy już rozsiedli się wygodnie na fotelach i kanapie w salonie.

– Jakby tu zacząć... – Dziewczyna zamyśliła się na krótką chwilę. – Może tak. Jakiś czas temu, mniej więcej półtora miesiąca, dostałam na Facebooku zaproszenie do grona znajomych od pewnego chłopaka. Z reguły ignoruję wszystkie takie zaczepki od ludzi, których nie znam...

– I bardzo słusznie – pochwaliła jej ostrożność Róża, choć sama miała na tym portalu cztery tysiące znajomych, z których osobiście znała tak mniej więcej z setkę. – W tych czasach Facebook zrobił się bardzo niebezpieczny...

Chciała jeszcze coś dodać, ale wyłapała kpiący wzrok Pepe, doskonale orientującego się w jej facebookowych kontaktach.

– Pawełku, wyglądasz na spragnionego – powiedziała niewinnie, odbierając z rąk wchodzącej do pokoju Cecylii dzbanek z kompotem. – Chlapij sobie trochę kompiciku dla zdrowotności...

Nalała agentowi pełną szklanekę napoju, pozostałe napełniając jedynie symbolicznie, po czym skinięciem głowy zachęciła dziewczynę do kontynuowania opowieści.

– Kiedy więc dostałam zaproszenie – wróciła do swojej opowieści Martyna – początkowo je zlekceważyłam. Ale po kilku dniach odkryłam w swojej skrzynce pocztowej wiadomość. Ten chłopak wysłał ją razem z zaproszeniem, ale trafiła do folderu „inne”, a ja prawie nigdy do niego nie zaglądam, więc miał szczęście, że ją odkryłam.

Róża znów skinęła głową ze zrozumieniem. Sama dowiedziała się o tym, że takowy folder w ogóle istnieje dopiero po dwóch latach użytkowania Facebooka i bardzo się zdziwiła, że ma tam kilkadziesiąt wiadomości, w tym ofertę matrymonialną od jakiegoś wyplósza z Kolumbii, wyglądającego na сутенера, powiadomienie z „szanowanej” kancelarii prawnej z USA, informujące, że została spadkobierczynią wielomilionowego spadku po kompletnie jej nieznanym krewnym, Williamie L. Krullu, i że w związku z tym powinna przelać kilkadziesiąt tysięcy dolarów wadium na podane w załączniku konto bankowe na Kajmanach, oraz wysłać jej przez „użytkownika skasowanego” reklamówkę środka na powiększenie penisa z gwarancją, że „w trzy miesiące jej penis powiększy się co najmniej o pięć dodatkowych satysfakcjonujących ją w pełni centymetrów”. Tę ostatnią wiadomość przesłała do Pepe, który następnego dnia wysłał jej pytanie: „Dlaczego chcesz zrobić ze mnie trójnoga?!”.

– Napisał bardzo miłą wiadomość – kontynuowała dziewczyna, nieświadoma wspomnień, jakie wywołała u swojej idolki. – Zajrzał na mój profil przez przypadek, bo zobaczył mój wpis na grupie fanów „Żywych trupów”, że też uwielbia ten serial i że jestem bardzo podobna do jego pierwszej, licealnej miłości. A na koniec dopisał, że nie będzie mi miał za złe, jeśli odrzucę jego zaproszenie,

ale w głębi ducha liczy na to, że stanie się inaczej. Przyznam, że mnie zaintrygował. Obejrzałam jego profil. Wyglądał na fajnego faceta, nie ukrywam, że mi się podobał, mieliśmy parę wspólnych zainteresowań i ku mojemu zaskoczeniu nawet czwórkę wspólnych znajomych. Nikogo bliskiego, ale jednak takich, o których wiedziałam przynajmniej tyle, że naprawdę żyją i nie są psychopatami. I wie pani, jakoś nie mogłam się zdobyć na to, żeby mu odmówić...

– Czasem tak bywa... – przytaknęła ze zrozumieniem Róża.

– Czasem cztery tysiące razy tak bywa – mruknął Pepe.

Róża spojrzała na niego z wyrzutem, a widząc, że opróżnił już szklankę, dołała mu kompotu.

– Pij, pij, owoce znakomicie wpływają na zdrowie – powiedziała troskliwie, dając znak dziewczynie, żeby nie przerywała opowieści.

– Zaczęliśmy do siebie pisać – podjęła Martyna. – Początkowo tak ogólnie, o filmach, muzyce, bieganiu, bo jak się okazało oboje jesteśmy jego zwolennikami, a potem coraz więcej o życiu, uczuciach... Sergiusz, bo tak miał na imię, był singlem, takim z odzysku, bo rok temu zakończył czteroletni związek. Pisał mi, że doskwiera mu samotność, ucieka w pracę, spędza całe dni do późnej nocy w biurze...

Betty poruszyła się niespokojnie, nagle zaczynając mieć niezbyt przyjemne podejrzenia, do czego zmierza opowieść dziewczyny. Poszukała wzrokiem Pawła i z jego dziwnie bladej twarzy wyczytała, że też domyśla się ciągu dalszego tej historii. Jedną tylko Róża zdawała się słuchać historii Martyny nie tylko bez żadnych skojarzeń, ale i zdziwienia, że oto całkiem obca osoba wtargnęła do jej mieszkania, aby opowiedzieć swoje love story. Ów brak zaskoczenia można było jednak wytłumaczyć faktem, że czytelnicy przy prawie każdej okazji zarzucali pisarkę sensacyjnymi, mniej lub bardziej prawdziwymi, opowieściami o swoim życiu, skrzętnie licząc, że potem znajdą je na kartach jej powieści. Najwyraźniej Róża traktowała wyznania Martyny jako kolejną z takich prób...

– Spotkaliście się? – zapytała z ciekawością. – Czy skończyło się tylko na wymianie korespondencji przez Internet?

– Tak, kilka razy się spotkaliśmy – powiedziała dziewczyna. – Może nie zakochaliśmy się w sobie od pierwszego spojrzenia, bo coś takiego chyba nie istnieje, ale za każdym razem byliśmy sobie coraz bliżsi. Dzisiaj też mieliśmy się spotkać. W Łazienkach.

– I? W czym problem?

– Cztery dni temu Sergiusz przestał odpowiadać na moje SMS-y i wiadomości na Messengerze. Zaniepokoiłam się i wczoraj pojechałam do niego do domu. Nie znałam dokładnego adresu, bo nigdy mnie do siebie nie zaprosił, ale wiedziałam, który to blok i że mieszka na ostatnim piętrze, bo zwierzył mi się kiedyś, że ma stamtąd wspaniały widok na Powązki, a jak jest dobra pogoda, to i na Starówkę. Pomyślałam, że jakoś go znajdę. Na klatce były trzy mieszkania, ale tylko jedno mogło mieć balkon z takim widokiem, jak w jego opowieściach. Zapukałam i wtedy otworzyły się drzwi naprzeciw. Wyszła stamtąd sąsiadka i powiedziała, że, że...

Głos dziewczyny podejrzenie zadrżał. Betty sięgnęła po swoją torebkę. W bocznej kieszeni zawsze nosiła chusteczki.

– Że Sergiusz nie żyje – dokończyła dziewczyna. – Dzień wcześniej popełnił samobójstwo, rzucając się z okna pokoju, w którym pracował.

Betty, nie czując najmniejszego zaskoczenia, podała jej chusteczkę. Róża za to zrobiła duże oczy.

– To znaczy, że pani ukochany to... Znaczy, że on... – Pisarka nie wiedziała, jak ma wyartykułować swoje pytanie. Nie było jednak potrzeby, aby w ogóle je zadawała. Dziewczyna otarła oczy i popatrzyła na nią błagalnym wzrokiem.

– Wiem, że to pani znalazła jego ciało – powiedziała. – I chciałam pani zadać jedno pytanie...

– Ale skąd pani to wie? Od policji?! – przerwała jej pisarka, nieco zdumiona niedyskrecją stróżów prawa.

– Nie, policjanci nie chcieli mi nic powiedzieć. – Dziewczyna pokręciła głową, a na jej twarzy pojawił się wyraz irytacji. – Myślę,

że potraktowali mnie jak wariatkę. Usiłowałam ich przekonać, że mam rację, ale wzbudziłam jedynie ich politowanie i uśmiechy. Więc postanowiłam odnaleźć panią. To znaczy, nie tyle panią, bo jeszcze wtedy nie wiedziałam, na kogo trafię, tylko osoby, które mogłyby mi pomóc. Pomyślałam, że może ktoś coś zauważył, był świadkiem tego zdarzenia, tylko nie chce mieć kontaktu z policją. Byłam tutaj już wczoraj wieczorem, zaczęłam ludzi, aż w końcu pani w sklepie na rogu powiedziała mi, że tuż przed tym, zanim pojawiła się tu policja i pogotowie, widziała kogoś, kto wyglądał całkiem tak jak pani. I że pani tutaj mieszka. Ona też jest wielbicielką pani kryminalistów. Dodała jeszcze, że nie da sobie głowy uciąć, czy to pani, chociaż i figura ta sama, i wzrost się zgadza. Ale nie ma pewności, bo ta osoba wyglądała jakby ktoś ją wcześniej zmasakrował. Ponoć miała całą twarz zalaną krwią i straszliwie zniekształconą...

– Białko i buraki – wyjaśniła Róża, widząc zdziwione spojrzenie swoich współpracowników. – Pięknie wyglądało mi zmarszczki...

– I przy okazji korę mózgową – mruknął Pepe. – O ile było tam jeszcze co wyglądać...

– Chodziłam pod pani blokiem z nadzieją, że panią spotkam. A jeśli nie, to kogoś, kto wie, gdzie pani dokładnie mieszka. – Dziewczyna nie zwróciła uwagi na wymianę ich zdań. – Zaczęłam ludzi, pytałam, aż w końcu trafiłam na pana...

– Miała pani wielkie szczęście – podsumowała Róża, po czym przypomniała sobie coś, o co miała zapytać dziewczynę wcześniej, ale nie chciała jej wpadać w słowo. – Powiedziała pani, że chciała pani przekonać policję do swojej racji. Czyli... do czego?

– Do tego – Martyna spojrzała jej prosto w oczy, a jej twarz nabrała stanowczego wyrazu – że Sergiusz nie popełnił samobójstwa, a został zabity!

ROZDZIAŁ V

Syneczku, wołałabym, żebyś był dziewczynką

Sebastian Orłow leżał otoczony pianą w ogromnej wannie, ciesząc się gorącą kąpielą z seksowną brunetką, którą nie tak dawno podziwiał na rozkładówce „Playboya”. Właśnie kończyli pić szampana i już mieli przejść do sypialni, aby na stojącym tam na samym środku olbrzymim łożu z baldachimem przećwiczyć kilka pozycji z „Kamasutry”, kiedy nagle poczuł, jak coś szarpie go za bark. Spojrzał, co to za czort i z przestrawieniem zauważył na ramieniu ogromną czarną dłoń z długimi powykrzywianymi palcami. Usiłował ją z siebie zrzucić, ale bez skutku. Przyciskała go i nie pozwalała wyjść z wanny. Zakleszczony w uścisku Sebastian z zaskoczeniem spojrzął na stojącą już w drzwiach sypialni i patrzącą na niego pożądliwie brunetkę, która nagle ku jego rozpaczyc zaczęła blednąć i dziwnie rozpluwać się w powietrzu. Za to dłoń na ramieniu z każdą chwilą wbijała się w jego ciało coraz bardziej boleśniej...

– Bastuś, no już, budź się!

Brunetka, łoże z baldachimem, wanna z pianą, kieliszki i butelka z szampanem, pomarszczone czarne szpony – wszystko nagle zaczęło wirować i wpadać w świetlistą dziurę, która otworzyła się gdzieś nad jego głową. Chłopak odruchowo zamknął oczy, czując, że i on sam zaraz zostanie wciągnięty w ten kosmiczny wir.

– Koniec tego leniuchowania!

Sebastian otworzył jedno oko. Wpadające do pokoju światło nieco go oślepiło, więc czym prędzej je zamknął. Zmarszczył nos w grymasie niezadowolenia, a następnie przejechał dłonią po czole, czując, jak w głowie pulsuje mu tak, jakby zaraz miało tam coś wybuchnąć.

– Południe już minęło, a ty ciągle w łóżku!

Nie miał najmniejszego problemu, aby rozszyfrować, do kogo

należy pełen wyrzutu głos.

– Mamcia – jęknął z rozpaczą. – Czyś ty upadła na głowę?! Czemu budzisz niewinnego człowieka bladym świtem?! Jak jakieś CBA!

Manuela Orłow spojrzała na swoją latorośl z wyrzutem.

– Obiecałeś! – przypomniała tonem rozkapryszonej dziewczynki, która dowiedziała się właśnie, że wbrew zapewnieniom rodziców nie dostanie w wesołym miasteczku waty cukrowej. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że zapomniałeś...

– Nie, nie zapomniałem. – Sebastian ziewnął. – Czy ty nie możesz sobie adoptować córki? Albo ulokować swoich uczuć w mojej siostrze?

– Nie masz przecież siostry! – zaprotestowała Manuela stanowczo.

– No, to akurat nie jest do końca prawdą... – powiedział ostrożnie Sebastian.

– To córka twojego ojca i tej rudej wywłoki! Nie chcę mieć z nimi wszystkimi nic wspólnego!

– Doprawdy? – Sebastian spojrzał na nią kpiącym wzrokiem.

– Co masz na myśli? – Manuela nagle pohamowała gniew i popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Nic, zupełnie nic...

Sebastian przeciągnął się w łóżku.

– Ale czy ja naprawdę muszę to zrobić? – zapytał niechętnie, pilnując jednocześnie, aby mama nie zdarła z niego kołdry, jak to czasem miała w zwyczaju, gdy chciała, aby się szybciej rozbudził. Po śnie z króliczkiem „Playboya” w roli głównej trudno mu było pozbyć się stanu, w którym kto jak kto, ale ona na pewno nie powinna była go zobaczyć. – Przecież ja naprawdę mam całkiem normalne brwi...

– Wyglądają jak busz afrykański albo dżungla amazońska! – powiedziała Manuela karcąco. – Nie będziesz miał żadnych szans na wygraną, jeśli staniesz przed jury, prezentując się jak klon Breżniewa!

– Kogo?!

– Breżniewa – powtórzyła Manuela. – Przywódcy ZSRR w latach siedemdziesiątych. Czego was teraz uczą w tych szkołach? Jak się na niego patrzyło, to miało się wrażenie, że brwi zajmują mu pół czoła. Kończyły się tam, gdzie zaczynały włosy. Jak u ciebie!

– A, to już wiem, który to! – ucieszył się nie wiedzieć czemu Sebastian. – Mam z nim nawet zdjęcie. To znaczy z jego portretem. Tym z muru berlińskiego, jak leci w ślinę z jakimś drugim staruchem...

– Co to za słownictwo! – jęknęła Manuela, po czym postanowiła, że skoro szkoła się nie sprawdza, to weźmie na swoje barki historyczną edukację swojej latorośli. – Ten drugi to Honecker. Przywódca NRD w czasach komunistycznych. Bardzo się lubili...

– Wierzę. Całowali się tak, że przy okazji wymieniali się wzajemnie florą bakteryjną jamy ustnej. – Sebastian ziewnął, po czym znów się przeciągnął. – Wiem, co ci obiecałem, ale teraz mam wątpliwości. Jak mi wszystko wyskubią, to będę wyglądał jak tranzystor...

– Kto?!

– Transwestyta!

– No co ty opowiadasz! – zgorszyła się Manuela, w duchu nie pierwszy raz żałując, że zamiast córką Matka Natura uraczyła ją synem. Była pewna, że z dziewczynką poszłoby jej o wiele łatwiej i już dawno siedziałyby w studiu TVN, ze wzruszeniem odpowiadając na pytanie Kingi Rusin: „Jak się pani czuje jako mama nowej Miss Świata?”. Po programie poszłyby zaś na kawę, z miejsca zostałyby serdecznymi przyjaciółkami i regularnie jeździłyby w asyście paparazzi do stadniny koni w Gałkowie na zawody, aukcje i sesje fotograficzne. Zwłaszcza te ostatnie. Manuela już nawet dokładnie wymyśliła w duchu, w jakich pozach obie zaprezentują się na okładce magazynu „Viva!” ozdobionej tytułem: „Taka przyjaźń się nie zdarza! Historia niezwykłej znajomości dwóch SEKSOWNYCH czterdziestolatek”. – Dbanie o swoją twarz to w tych czasach element codziennej higieny.

– Chyba u barbionów! – zaprotestował Sebastian. – Prawdziwy mężczyzna, mamcia, powinien mieć zarost, szorstką skórę i być spoconym samcem...

– Kto ci naopowiadał takich bzdur? – Manuela chwyciła się za głowę w teatralnym geście rozpaczy. – Spoconym samcem! Dobre sobie. Już nawet jaskiniowcy malowali sobie znaki na twarzy, żeby przypodobać się kobietom...

– Namalować sobie coś mogę, proszę bardzo, jak chcesz, to nawet wytatuować – zgodził się Sebastian. – Ale wyskubać brwi niekoniecznie. Poza tym umówmy się, że nie chodzi ci o to, żebym się spodobał kobietom, tylko jury. A tam baby są dwie, w dodatku jedna stara jak Arka Noego, a druga niedowidząca. Reszta to faceci, którzy chętnie zrobiliby ze mną to, co Breźniew z Honeckerem. I zapewniam cię, że stan moich brwi w niczym by im nie przeszkadzał...

– Głupoty gadasz! – fuknęła Manuela, choć doskonale wiedziała, że jej syn ma rację. W końcu prześwietliła jury już kilka tygodni temu, a potem zrobiła wszystko, żeby zadzierzgnąć z niektórymi sędziami więzy przyjaźni. I szybko zdała sobie sprawę, że gdyby chciała załatwić kwestię wygranej swojej latorośli w konkursie starą, dobrą metodą „przez łóżko”, nie miałyby specjalnie dużo roboty, w odróżnieniu od swojego syna. Jednak mimo zahaczającej o maniactwo determinacji, z jaką dążyła do zapewnienia Sebastianowi tytułu Mistera Polonia, rajfurzenie nim wydało jej się obrzydliwe i niedopuszczalne. – To, że wyrwą ci parę włosków z tej Puszczy Białowieskiej, którą tak dumnie obnosisz, nie oznacza, że zmienisz się w kobietę. Bądźże rozsądny! Nic nie zagraża twojej męskości. Chcesz, żebym cię przekonała? To odpowiedz mi błyskawicznie na kilka pytań. Tylko się nie zastanawiaj. OK?

– O dzizas – jęknął Sebastian. – Kolejna twoja psychozabawa... No dobra, dawaj, skoro ci to sprawia taką przyjemność...

– Ile ostatnio bierzesz na klatę?

– Sto dziesięć kilo. Przecież to wiesz! Opłacałaś mi siłkę i rozmawiasz z moim trenerem częściej niż z babcią...

– Babcia jest głucha i zawsze po rozmowie z nią muszę ssać tymianek i podbiał na zdarte gardło. A poza tym nie mędrkuj, tylko odpowiadaj! Ile robisz z rana pompek?

– Trzy serie po trzydzieści.

– Jak szybko przepływasz sto metrów?

– W niecałą minutę.

– Ile zajęło ci przebiegnięcie półmaratonu?

– Półtorej godziny, bez kilku minut...

– Ile w ostatnim roku miałeś dziewczyn?

– Czte... – odruchowo zaczął odpowiadać Sebastian, po czym się zmitygował. – Ej! To było nie fair! Matka nie powinna zadawać takich pytań!

– Już ty mnie nie pouczaj, co mogę, a czego nie. – Manuela pogroziła mu palcem. – Swoją drogą, wiedziałam tylko o trzech. No i sam widzisz! Nie dyskutuj, tylko wstawaj. W kuchni masz naszykowane śniadanie, a potem jedziemy do kosmetyczki. Na piętnastą zarezerwowałam ci solarium, bo już nie mogę patrzeć na tę twoją bladą skórę. Wyglądasz jakbyś wrócił z ekspedycji na Antarktydę. A po solarium podrzucę cię pod siłownię, więc zapakuj od razu ciuchy...

– Orzesz we mnie jak zarządca na plantacji, cud, że jeszcze nie kupiłaś sobie pejcza – mruknął Sebastian, ale posłusznie powoli zaczął wstawać z łóżka. – Fryzjer, kosmetyczka, solarium. Rozkład jazdy jak u typowej blachary. Tylko nie biadol, jak za rok poproszę cię o kasę na blond płukankę, stanik sportowy na fitness i białe kozaki na imprezę. I zapomnij o maratonach, bo w szpilkach nie da rady biegać.

– Jestem skłonna zaryzykować te kataklizmy. – Manuela uśmiechnęła się, czułym gestem przeczesując włosy swojego syna. Po wczorajszym dwugodzinnym zabiegu pielęgnacyjnym miał je takie mięciutkie i zdrowe, że aż miło było dotknąć. – Poza tym jest coś takiego jak bieg na szpilkach. Co roku! Ostatnio wygrał go nawet mężczyzna.

– Ja wygram za rok – skonstatował smętnie Sebastian. – Ale

jako kobieta. Kto u licha o tej porze do nas dzwoni?!

Metaliczny, świdrujący dźwięk oznajmiał, że ktoś stoi przy domofonie na klatce schodowej. Niespodziewająca się gości Manuela nie skorzystała z guziczka otwierającego drzwi, ale wyszła z mieszkania. Jeśli dzwoniącym był jej nowy, mocno zaawansowany w latach i nieco głuchawy listonosz, to i tak musiałyby to zrobić, bo z niezrozumiałych powodów staruszek nigdy nie przekraczał progu klatki schodowej. Przyczyny takiego zachowania nie były Manueli znane. Może był nieśmiały? A jeśli dobijał się do niej ktoś inny, świadkowie Jehowy albo nachalni sprzedawcy rozmaitych chińskich produktów, to też łatwiej splanowało się ich, stojąc na korytarzu. Manuela szybkim krokiem przemierzyła kilka metrów dzielących ją od przeszklonych drzwi, obok których znajdował się domofon, tylko po to, aby ze zdziwieniem zauważyć, że po drugiej stronie nikogo nie ma. Nastawiona na wrykiwanie głosem Walkirii komunikatów dla listonosza, wygłoszenie nieco cichszym tonem odmowy wzięcia udziału w dysputach religijnych lub dosadne i wulgarne określenie miejsca, w które domokrażca może sobie wsadzić „niezawodny multiwar elektryczny”, poczuła się teraz lekko skonfundowana. Po chwili przyszło jej jednak do głowy, że być może znów szlag trafił domofon, psujący się z godną podziwu regularnością raz na kwartał. Już miała wrócić do domu, kiedy na korytarzowej posadzce zobaczyła kopertę. Biała, leżąca frontową stroną do góry, niezaadresowana, wyglądała dość niewinnie. Pewnie znowu jakieś zaproszenie na darmowe badanie słuchu – pomyślała. Wiedziona ciekawością podniosła kopertę z podłogi, odgięła jej tylne skrzydełko i wyciągnęła ze środka kartkę papieru. Chwilę potem siedziała w pokoju, wachlując się najnowszym numerem „Twojego Stylu”, a Sebastian w popłochu szukał dla niej w kuchni uspokajających kropli walerianowych.

ROZDZIAŁ VI

Róża wkracza do akcji

– Jak to zabity? – Róża wytrzeszczyła oczy na Martynę. – To przecież niemożliwe!

Dziewczyna stanowczo pokręciła głową.

– Niemożliwe jest to, że popełnił samobójstwo! – krzyknęła. – Jestem tego pewna!

Pisarka, która oczywiście zataiła przed policją fakt, że obserwowała świętej pamięci nieboszczyka od kilku dni przez lornetkę i dokładnie widziała jego ostatnie chwile, a ograniczyła się jedynie do ogólnego stwierdzenia, że – jak to zapisano w protokole – „kątem oka zobaczyła, jak coś lub ktoś wypada z okna biurowca, znajdującego się naprzeciwko jej mieszkania”, teraz nie wiedziała, jak zareagować.

– A skąd ta pewność? – zapytała, postanawiając zagrać na zwłokę i przemyśleć w tym czasie, czy powinna pozwolić sobie na szczerość.

– Rozmawialiśmy kilka razy o samobójstwie – wyjaśniła dziewczyna.

Wyłapując zdziwione spojrzenia swoich słuchaczy, Martyna szybko dodała:

– Po tym, jak zakończył swój związek, a właściwie został porzucony, Sergiusz wpadł w depresję. Prawdziwą depresję. Nie miał siły przez kilka dni wstać z łóżka, nic nie jadł, nie odbierał od nikogo telefonu, popadł w całkowitą apatię. I to wtedy po raz pierwszy pomyślał o tym, czyby ze sobą nie skończyć. Wtedy z tego wyszedł, bardzo pomogła mu psychoterapia, na którą zresztą przez cały czas chodził, ale kiedy przez wiele miesięcy nie mógł zapomnieć o swojej byłej, a w dodatku okazało się, że źle znosi życie w pojedynkę, myśli o samobójstwie zaczęły do niego wracać coraz częściej. A potem poznał mnie. I ostatnio napisał, że odkąd

zaczęliśmy korespondować i się spotykać, wstąpiło w niego nowe życie, że przez ten cały czas ani razu nie myślał o tym, żeby ze sobą skończyć, że wszystko znów nabrało sensu...

– Może... – Róża przez chwilę zastanawiała się, jakimi słowami ująć to, co przyszło jej do głowy, aby nie urazić swojej rozmówczyni. – Nie pomyślała pani o tym, że wasza znajomość przestała mu w pewnym momencie pomagać? Depresja ma to do siebie, że lubi wracać w najmniej spodziewanym momencie. A gdy wraca, uderza z większą siłą niż poprzednim razem.

– I dlatego umówił się ze mną na kolejną randkę i chciał, żebyśmy pierwszy raz...? No, sama pani wie, co... – powiedziała Martyna, kręcąc głową. – Nie! Jestem pewna, że Sergiusz był w dobrej formie. Dużo pracował, bo kończył jakiś ważny projekt, ale poza tym miał same powody do zadowolenia. Dostał podwyżkę, zakwalifikował się do finałów konkursu Mister Polonia i był murowanym kandydatem do wygranej. A poza tym wydarzyło się jeszcze coś, co poprawiło mu humor...

– Co takiego?

– Na początku, kiedy zaczęliśmy korespondować, wyznał mi szczerze, że wciąż nie wie, na jakim jest etapie. Nie był pewny, czy ciągle nie czuje czegoś do swojej eks. I kilka dni temu napisał mi, że wreszcie wie, na czym stoi. Jego była napisała do niego wiadomość, że nie układa jej się w życiu, że zbyt pochopnie podjęła decyzję o rozstaniu i chciałyby się z nim spotkać, aby porozmawiać o tym, czy nie powinni dać sobie drugiej szansy. I wtedy uświadomił sobie, że już nic do niej nie czuje. I ma nadzieję, a nawet pewność, że to właśnie ja jestem tą jedyną. I że odlicza z niecierpliwością czas do naszego kolejnego spotkania. Sama pani widzi, że nie miał powodu, aby następnego dnia rzucić się z okna...

– Ale jednak to zrobił... – powiedziała ostrożnie Róża.

– Nie! – Dziewczyna znowu podniosła głos. – Na pewno nie! Ktoś go wypchnął!

– Nikt go nie wypchnął! – zirytowała się Róża – Wszystko dokładnie widziałam!

Dwie osoby wytrzeszczyły na nią oczy. Trzecia, Betty, od kilkudziesięciu minut znała całą prawdę, więc nie okazała żadnych emocji.

– Jak to? – zapytała bezradnie dziewczyna. – Jak to pani widziała?!

Raz kozie śmierć, w końcu nie zeznawałam przed sądem i pod przysięgą – pomyślała Róża i w kilku treściwych zdaniach streściła przebieg tamtego feralnego wieczoru.

– Sama więc pani widzi, że nie ma mowy o żadnym morderstwie – zakończyła swoją opowieść Róża. – Naprawdę, bardzo mi przykro...

Martyna przez dłuższą chwilę milczała, a jej zastygła w płacziwym grymasie twarz nie wyrażała żadnego uczucia. Trudno było ocenić, co przeżywa, właśnie pozbawiona złudzeń. Róża i Betty patrzyły na nią ze współczuciem. Pepe, który kilka minut temu poczuł, że jego żołądek zaczyna opanowywać dziwaczne bulgoty, oznaczające początek mającej się tam odbyć rewolucji, wstał od stolika i szybkim krokiem przeszedł do ubikacji. Kiedy nieco później Róża zastanawiała się, który moment z jej punktu widzenia był w całej tej historii najważniejszy, za każdym razem uznawała, że właśnie ten. Gdyby nie Cecylia i jej cholerny kompecik oraz jej chęć zrobienia Pawłowi psikusa, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej, przynajmniej dla niej samej. Trudno było jej to jednak wtedy przewidzieć...

– Nadal w to nie wierzę. – Martyna wreszcie przerwała milczenie. – Coś się tu cholernie nie zgadza... Może ktoś go czymś odurzył albo zahipnotyzował. To nie mogło być samobójstwo! Na pewno nic pani nie umknęło?

– Nie chcę pani dobijać – powiedziała Róża łagodnym tonem. – Na pewno nie działał pod jakimkolwiek albo raczej czymkolwiek wpływem. Wręcz przeciwnie...

– To wszystko nie ma sensu. – Martyna schowała na chwilę twarz w dłoniach, a kiedy znów uniosła głowę, na jej obliczu pojawił się wyraz dziwnej determinacji, jakby w tej sekundzie

podjęła jakąś ważną decyzję. – Ufam, że mówi pani prawdę i nadal nie wierzę, że Sergiusz z własnej nieprzymuszonej woli pozbawił się życia. Coś tu nie gra i nie spocznę, póki tego nie wyjaśnię!

– A ma pani jakąś teorię, jak oba te pani przekonania połączyć? – zapytała Betty. – Bo jedno zdaje się przeczyć drugiemu...

Dziewczyna znów na moment zamilkła, po czym wzięła kilka głębokich oddechów.

– Przepraszam, ale gdy jestem zdenerwowana, czasem brakuje mi powietrza, to konsekwencja astmy – wyjaśniła. – Niby lekarze mają ją pod kontrolą, ale gdy stresuję się czymś zbyt długo, to organizm mi trochę wariuje. A co do teorii... Kiedy szłam na policję i miałam pewność, że to nie było samobójstwo, chciałam od razu powiedzieć im, że musi za tym stać jego była narzeczona. To było dla mnie pewne!

– Dlaczego?! – zdziwiła się Róża.

– Z tego, co opowiadał o niej Sergiusz, wynikało, że to nie zrównoważona histeryczka i nieprzewidywalna wariatka – wyjaśniła Martyna. – Ale nie z gatunku słodkich debilów, tylko rasowych psychopatek. Kiedy byli razem, kontrolowała go na każdym kroku, robiła karczemne awantury o każdą dziewczynę, która jej zdaniem wzbudziła jego zainteresowanie. Nawet jeśli to nie była prawda! A przy okazji czepiała się wszystkiego i była wiecznie niezadowolona. Cokolwiek by nie zrobił, to i tak nigdy nie spotykało się z jej uznaniem...

Róża pomyślała, że opis Martyny idealnie zgadza się ze stworzonym w jej głowie portretem żony świętej pamięci przystojniaka, i poczuła się bardzo dumna. Ależ trafiła! Niech no jeszcze raz Pepe powie, że jej intuicja przypomina rozkład jazdy autobusów na przystankach – niby jest, ale i tak nigdy się nie zgadza z rzeczywistością. Już ona mu wtedy wygarnie!

– Czyli była po prostu zazdrosna i miała muchy w nosie? – sprecyzowała Betty. – Nie widzę w tym żadnej oznaki psychopatii. Co druga młoda kobieta jest dokładnie taka sama.

– Nie rozumie pani! – przerwała jej wzburzona Martyna. – Ona

była niezrównoważona! Sergiusz opisał mi jedną z jej akcji. Wracali kiedyś znan Zalewu Zegrzyńskiego i zabrali ze sobą jego przyjaciółkę, która tam mieszkała. Miała chorego pieska i chciała go zawieźć do Warszawy na konsultację do specjalisty, bo miejscowy weterynarz nie umiał go wyleczyć. Usiadła z tyłu i Sergiusz kilka razy wymienił się z nią spojrzeniami w lusterku. Tłumaczył, że chciał sprawdzić, jak koleżanka się trzyma, bo pies był w naprawdę poważnym stanie. Jego narzeczona to wyłapała. Zrobiła mu w domu piekło. Ale to nie wszystko. Psu trzeba było zrobić operację, po której miał zostać na kilka dni u weterynarza na obserwację. Następnego ranka okazało się, że w nocy ktoś go otruł. To było proste, bo był sezon urlopowy i w klinice na noc zostawał tylko jeden stażysta, który z reguły zakładał słuchawki na uszy i grał całą noc na komputerze. Nie zauważyłby, gdyby weszło tam nawet czterdziestu rozbójników. A kilka dni potem koleżanka dostała anonim, żeby trzymała się z dala od zajętych facetów, bo skończy jak jej pupil.

– Zgłosiła to na policję? – zapytała Róża.

– Tak, ale sama pani wie, jak policja traktuje tego typu sprawy. – Martyna wzruszyła ramionami. – Funkcjonariusz, który przyjmował zgłoszenie, powiedział kpiąco, żeby może w takim razie nie zadawała się z mężczyznami, którzy mają partnerki, skoro po świecie chodzi tylu kawalerów, wliczając w to jego samego.

– Czyli w sumie nikt tej narzeczonej niczego nie udowodnił... – zauważyła Róża.

– Dla Sergiusza było to oczywiste, że na coś takiego mogła wpaść tylko ona – wyjaśniła Martyna. – Tym bardziej, kiedy odkrył, że założyła mu na laptopie program szpiegujący, w sypialni kamerę, a nawet zatrudniła detektywa, który miał za zadanie sprawdzić, czy jej nie zdradza. Bo miała na tym punkcie obsesję.

– To dlaczego, u licha ciężkiego, z nią nie zerwał?! – wyrwało się ze zgrozą Betty, która przez chwilę wyobraziła sobie, co by było, gdyby tak zachowywał się jej życiowy partner i doszła do wniosku,

że już po pierwszej takiej akcji, zaprosiłaby go na wycieczkę w Tatry, a tam zrzuciła w pierwszą napotkaną przepaść.

– Nie wiem – odpowiedziała Martyna. – I Sergiusz teraz też już nie umiał wyjaśnić, co nim kierowało. Klasyczny toksyczny związek. Człowiek wie, że nie powinien w nim tkwić, a jednocześnie nie ma siły na to, aby go zerwać. Jest uzależniony od tej drugiej osoby i może nienawidzić tego, jak ona postępuje, ale i tak ją samą będzie kochał. Jeśli nie poznałyście nigdy takiej mieszanki uczuć, to bardzo wam zazdroszczę...

Betty, z reguły nieludzko racjonalnie podchodząca do życia i z tego powodu czasem lżona przez swoje lubujące się w miłosnych dramatach pracodawczynie mianem „roboty” albo „cyborga”, pokręciła przecząco głową. Sukces jej związków opierał się zawsze na trzeźwej ocenie sytuacji, zaś jej miłosna filozofia była prosta: jeśli szło dobrze, nie należało tego psuć. A jeśli zaczynały się problemy, najpierw trzeba było je sprecyzować, a potem przemyśleć, czy potrafi dać sobie z nimi radę. W przypadku odpowiedzi twierdzącej, pracować nad nimi, a przeczącej – jak najszybciej zakończyć związek, bo po co się męczyć? Za to Róża ochoczo przytaknęła Martynie. Od czasu swojej pierwszej wielkiej miłości, czyli chłopaka, z którym wyjechała do Paryża, a który następnie porzucił ją na schodach pod paryską katedrą Sacre Coeur i poszedł robić karierę porno modela w peep-show na placu Pigalle, jej życie miłosne było jednym wielkim pasmem klęsk i sukcesów, wzlotów i upadków, motyli w brzuchu i suszenia mokrej od łez poduszki po kolejnej romantycznej porażce. Róża zakochiwała się błyskawicznie i w odwrotnym tempie odkochiwała. Gdyby na podstawie jej uczuciowych perypetii nakręcić serial, materiału starczyłoby zapewne na tasiemca równie długiego co „M jak miłość”. Nic więc dziwnego, że pisarka nie miała teraz najmniejszych problemów ze zrozumieniem, dlaczego wypatrzony przez nią amant dawał się terroryzować jakiejś zmierzłej harpii. A poza tym zdaje się, że od początku właśnie coś takiego wymyśliła, kiedy podczas balkonowych obserwacji dorabiała mu

entourage. Jak to się pięknie wszystko sprawdziło, aż dziw bierze...

– Jestem pewna, to znaczy byłam pewna, zanim tu przyszedłam – mówiła dalej Martyna – że to ona go zabiła. Odrzucił jej propozycję, żeby dali sobie drugą szansę, powiedział jej, że poznał kogoś nowego. Wpadła w szał i go wykończyła. Ale teraz, skoro upiera się pani, że widziała to na własne oczy, to już sama nie wiem, co o tym myśleć. Ta cała Lala pasowałaby do tego jak ulał. Z tego, co o niej słyszałam, mogłaby upozorować samobójstwo bez trudu...

– Przepraszam, kto? – zdziwiła się Betty.

– Lala – powtórzyła Martyna. – To jej ksywka...

Betty lekko zmrużyła oczy, starając się przypomnieć sobie, kiedy i w jakich okolicznościach słyszała o podobnym przydomku.

– A jak się owa psychopatka naprawdę nazywa? – zapytała ostrożnie.

– Magdalena Jasłoń. Ale mało kto z jej znajomych mówi do niej inaczej niż Lala...

– Ha! – Betty wydała z siebie triumfalny okrzyk. – Znam Magdę Jasłoń. Szczupła wysoka brunetka, prawie zawsze ubrana na czarno, obdarzona trochę południową urodą? Pracuje w telewizji TelePol?

– Tak – przyznała zaskoczona Martyna. – To ona! Jesteście przyjaciółkami?

W pytaniu zadźwięczał lekki niepokój. Betty uspokajająco machnęła ręką.

– Z tego, co wiem, to z nią trudno się zaprzyjaźnić. A jeśli jesteś kobietą, to w ogóle nie ma na to szans – odpowiedziała. – Ona prowadzi w TelePolu magazyn kulturalny. Kiedyś zaprosiła tam moją poprzednią pracodawczynię, Joannę Szmidt, i przy okazji ustalania szczegółów tego spotkania miałyśmy okazję kilka razy wypić razem kawę. Sprawiała wrażenie rzeczowej, konkretnej, ostrej i zimnej. Raczej się nie polubiłyśmy, choć audycja wyszła znakomicie...

– Ja też ją kojarzę! – Ze zdumieniem odkryła Róża. – Taka pretensjonalna pinda, która zawsze i we wszystkim musi mieć ostatnie słowo, prawda? Robiła ze mną wywiad w czasie którychś tam targów książki. Wtedy, kiedy przenieśli je z Pałacu Kultury na Stadion Narodowy. Uparła się, żebyśmy to kręciły, siedząc na widowni i mając za tło czerwone krzeselka. Mówiłam jej, że to fatalny pomysł, bo jestem ubrana w kostium w kolorze mlecznego brązu, ale nie chciała słuchać. A potem wyglądałam w telewizji jak parówka w sosie pomidorowym.

– Chyba serdelek... – mruknęła pod nosem Betty, zanim zdążyła się ugryźć w język, przy okazji łapiąc się ze zgrozą na tym, że z wolna zaczyna zamieniać się w Pepe, który na pewno wygłosiłby coś takiego, gdyby siedział teraz razem z nimi.

– Skoro więc obie panie ją znacie, to łatwiej mi będzie o coś was poprosić – powiedziała Martyna z wyraźną ulgą. – Bo choć wierzę zapewnieniu, że na własne oczy widziała pani, jak Sergiusz popełnia samobójstwo, to nadal uważam, że nie zrobił tego z własnej woli. I chciałabym panie poprosić, żebyście pomogły mi sprawdzić, czy faktycznie był to wypadek czy też morderstwo. Jesteście moją ostatnią deską ratunku...

Na Betty jej słowa nie zrobiły żadnego wrażenia. Utwierdziły ją jedynie w towarzyszącym jej od początku przekonaniu, że dziewczyna jest histeryczką i ma wybujałą fantazję. Z tym większym więc zdumieniem usłyszała wypowiedziane przez Różę z ogromnym entuzjazmem słowa:

– Oczywiście, że zrobimy wszystko, aby pani pomóc!

ROZDZIAŁ VII

Narada

– Znów to samo! – Pepe gniewnym wzrokiem wodził po Róży i Betty. – Nie można was na chwilę zostawić samych!

Betty patrzyła na niego ze zrozumieniem, zaś Róża z buntem wypisanym na twarzy.

– Ludziom trzeba pomagać! – wyjaśniła, spokojnie wytrzymując poirytowane spojrzenie swojego przyjaciela. – A w tym przypadku podarujemy spokój ducha zrozpaczonej dziewczynie. Nie widzę w tym nic zdrożnego, a tylko dobry uczynek!

– Od kiedy to nagle jesteś taką siostrą miłosierdzia? – Pepe nadal wyglądał na wkurzonego. – Powiedz mi, jak niby chcesz się wywiązać ze swojej obietnicy? Rozumiem, że będziesz szukała wymyślanego mordercy-widma. Przecież sama wiesz, że to było samobójstwo! Byłaś jego świadkiem!

Róża w przeblasku trzeźwości umysłu uświadomiła sobie, że faktycznie nie wie, jak mogłaby dotrzymać przyrzeczenia, które kilka minut wcześniej dała Martynie. I to nawet dwa razy, bo swoje solenne zapewnienie, że zrobi wszystko, aby rozwiązać jej wątpliwości, powtórzyła także w drzwiach przy pożegnaniu.

– No, owszem, byłam... – przyznała niechętnie. – Ale sama też jestem ciekawa, co takiego się stało, że ktoś, kto nie miał żadnego powodu, żeby popełnić samobójstwo, nagle postanawia rozstać się z życiem...

– Ale nie wiesz, czy nie miał! – zaprotestował Pepe. – Usłyszałaś tylko to, co mówiła jakaś baba, która w dodatku знаła nieboszczyka dwa dni z wczorajszym!

– No to właśnie spróbuję się dowiedzieć...

– I niby jak to zrobisz?!

– Z waszą pomocą – oznajmiła Róża, uśmiechając się promiennie.

– Mam zadanie dla każdego z nas...

– Mnie w te szaleństwa nie włączaj! – zaprotestował stanowczo Pepe. – Nie chcę wiecznie oglądać jakichś zwłok...

– Wielce mi tam wiecznie – prychnęła Róża. – Ledwie raz! Poza tym na okrągło grzebiesz w trupach i jakoś ci to nie przeszkadza!

– Jakich trupach?! – zdziwił się Pepe.

– Zwierzęcych – powiedziała triumfalnie Róża. – Albo je luzujesz, albo nadziewasz, albo czymś smarujesz. Glazurowanie gęsi to przecież prawie jak balsamowanie zwłok!

Pepe lekko się zachłysnął. W dodatku słowo „gęsi” przypomniało mu o konieczności załatwienia jakiejś straszliwej ilości tych ptaków na jutrzejszy bankiet u swojej drugiej pracodawczyni.

– Nie wierzę, że porównałaś właśnie sprawianie drobiu do przygotowywania ludzkich zwłok do pogrzebu – powiedział ze zdumieniem. – Zaczynasz bić własne rekordy...

– Zapominasz, że jestem buddystką! To znaczy prawie buddystką, bo dopiero zaczęłam się w to zagłębiać. Być może ty uważasz, że odcinasz łeb kurze, ale dla mnie mordujesz wtedy reinkarnację Marylin Monroe!

– Naprawdę uważasz, że Marylin Monroe wróciłaby na ziemię jako kura?! – zdziwił się Pepe. – A poza tym w nic się nie zaczęłaś wciągać! To, że w sklepie z chińskim badziewiem kupiłaś sobie posążek Buddy i rozwiesiłaś w pokoju dzwoneczki, w które notabene już dwa razy zaplątałaś się z rana kłakami, nie czyni cię jeszcze buddystką...

– Możecie przestać prowadzić tę bezsensowną dyskusję? – poprosiła Betty, usiłując bezskutecznie wymazać sobie sprzed oczu wizję Pepe stojącego nad pieńkiem i zamachującego się ogromną siekierą na kurę z obfitą platynową grzywką hollywoodzkiej seksbomby. – Gdybyście poszli z wizytą do psychiatryka, to byłby kłopot z odróżnieniem was od pacjentów. Róża, ja też niestety uważam, że Pepe ma rację i nie za bardzo potrafię sobie wyobrazić, co moglibyśmy w tej sytuacji zrobić dla tej dziewczyny...

– Po prostu porozmawiać, nic więcej! – oznajmiła Róża. – Ja pogadałabym z jego byłą narzeczoną. Ty ze swoim lubym. Wiem,

że to nie on prowadzi sprawę tego samobójstwa, ale może mógłby się jakoś dyskretnie dowiedzieć, co o przyczynach samobójstwa sądzą śledczy. A ty, Pawełku, zamieniłbyś kilka słów z ludźmi na bankiecie. Słyszeliście, co mówiła Martyna. Nieboszczyk brał udział w wyborach Mistera Polonia. A obito mi się o uszy, że przygotowujecie bankiet dla uczestników finału tej imprezy. Może usłyszysz tam coś, co może nam się przydać...

– Będę zajęty w kuchni nadzorem nad przygotowywaniem do konsumpcji reinkarnacji gwiazd kina – mruknął Pepe. – Ale ostatecznie mogę to dla ciebie zrobić i spróbować się potem pokręcić i pogadać z ludźmi. Choć nie wiem, o czym. I nadal to wszystko wydaje mi się pozbawione większego sensu.

– Krzysz raczej też się nie ucieszy, że próbuję coś z niego wyciągnąć. – Westchnęła Betty. – Po naszej ostatniej akcji w Krakowie był tak wściekły, że o mało co się nie rozstaliśmy. Do dzisiaj ma focha, jak sobie o tym przypomni...

Róża posłała im spojrzenie pełne potępienia.

– Jeśli nie chcecie, to nie musicie mi pomagać – powiedziała z wyrzutem. – Dam sobie radę sama. Nie macie w sobie za grosz empatii. Doskonale rozumiem, co musi przeżywać ta dziewczyna. Gdyby mnie spotkało to, co ją, też zrobiłabym wszystko, aby pozbyć się wątpliwości. I zamierzam zrobić, co tylko mogę, aby jej to ułatwić!

– I po co zaraz ta histeria?! – mruknął Pepe, lekko dotknięty oskarżeniem go o bezduszność. – Ja tylko twierdzę, że mamy dość ograniczone możliwości działania i dlatego nasze wysiłki są z góry skazane na niepowodzenie, ale jeśli masz z tego powodu urządzać sceny, to możemy trochę pokombinować...

Róża obdarzyła go uśmiechem.

– A przede wszystkim zrobić to, od czego w tych czasach zaczyna się każde porządne śledztwo – dopowiedział PR-owiec.

– To znaczy?

– Poszperać w sieci! – stwierdził Pepe, sięgając po laptopa. Róża i Betty przysiadły się do niego na kanapę i po chwili cała trójka

zaczęła przebiegać wzrokiem kolejne strony internetowe. Po kilkunastu minutach spędzonych nad komputerem ich wiedza o świętej pamięci nieboszczyku była już nieco większa. Sergiusz Prokop w chwili, kiedy postanowił uatrakcyjnić szarą uliczkę w centrum Warszawy swoimi zwłokami, miał skończone 28 lat i od kilkunastu miesięcy pracował w firmie Projekt Gold zajmującej się produkcją sprzętu sportowego. Wśród swoich zainteresowań na facebookowym profilu wymieniał fitness, zdrowy tryb życia i bodybuilding, a w obserwowanych stronach poza kilkoma związanymi ze swoimi pasjami miał też te firmowane przez Legię Warszawa, seriale „Żywe trupy”, „Synowie anarchii” i „American Horror Story”, Dawida Podsiadło, zespół Coma, kabaret Hrabi, Stephen Kinga, Dana Browna, Remigiusza Mroza i... amerykańską gwiazdę porno Jennę Jameson. Z kolei ze zdjęć na Instagramie można było wywnioskować, że całe życie spędzał na siłowni albo znajdującym się tuż obok niej basenie.

– Chyba nawet tam spał – zawyrokowała Róża, z trudem odrywając wzrok od śmigających jej przed oczami fotek z kolejnymi nagimi częściami ciała obiektu ich zainteresowania. – Popatrzcie, zdjęcie łydki wrzucił o trzeciej w nocy. O, a to bicepsa o piątej nad ranem. W ogóle nie wiedziałam, że są siłownie czynne całą dobę...

– A co? – zdziwił się niewinnie Pepe. – Zaczęłybyś uczeszczać? Żeby pod osłoną nocy paparazzi nie przyłapali cię, jak z trudem unosisz kilogramowy hantel, spadasz z bieżni i rozbijasz sobie głowę o posadzkę oraz mdlejesz na widok rowerka stacjonarnego?

– Wypchaj się – mruknęła Róża, wciąż nie mogąc dojść do siebie po odkryciu, że obiekt jej westchnień fascynował się jakąś plastikową amerykańską lalą. – Lepiej popatrz, kogo on ma w obserwowanych profilach na Instagramie!

Popukała palcem w lewy róg ekranu laptopa. Pepe posłusznie spełnił jej życzenie.

– Gabinet terapeutyczny Adriana Mędrzyckiego. I...?

– Mamy kolejny punkt zaczepienia. – Róża nieomal krzyknęła. – Pamiętacie? Martyna powiedziała, że Sergiusz chodził od kilku lat

na terapię. Może uda się coś wyciągnąć od jego lekarza. Tyle że oni chyba mają zakaz opowiadania o swoich pacjentach...

Przez chwilę zastanawiała się, jak zawsze w chwilach zadumy, nawijając sobie na palce włosy w okolicach ucha, którą to czynność Pepe nazywał „kręcieniem loka”.

– Wiem! – oznajmiła wreszcie. – Któreś z nas będzie musiało udać, że ma problemy z psychiką. Zapisze się do niego, pójdzie na sesję terapeutyczną i dyplomatycznie skieruje rozmowę na samobójstwo...

– To idealne zadanie dla ciebie – zawyrokował Pepe. – I nawet nie będziesz musiała nic udawać. Tylko nie wiem, jak ci wyjdzie z tą dyplomacją...

– Nie. – Róża pokręciła głową w zamyśleniu, puszczając uwagę swojego przyjaciela mimo uszu. – Ja wezmę na siebie Lalę. Betty musi popracować nad narzeczonym, żeby się wywiedziało o szczegóły śledztwa, a ty masz na głowie tylko bankiet, który już i tak masz prawie przygotowany. Dlatego to ciebie zapiszemy na psychoterapię. Cudownie, postanowione!

Jedno spojrzenie na pisarkę upewniło Pepe, że na razie nie ma co się z nią wdawać w dyskusję.

– Zawsze wiedziałem, że właśnie tym zakończy się dla mnie nasza współpraca – mruknął z rezygnacją, klikając w napis „umów wizytę” obok fotografii specjalisty od grzebania w ludzkich umysłach.

ROZDZIAŁ VIII

Męska rozmowa

– Słyszałeś już o Sergiuszu? – wysapał Roland Zdunek, z wysiłkiem przyciągając rączkę wyciągu do klatki piersiowej. Choć na pozór zbudowany był atletycznie, to swoją masę mięśniową zawdzięczał bardziej sterydom i odżywkom niż regularnym ćwiczeniom. A na siłownię wpadał najczęściej po to, aby zrobić sobie kilka selfie, a nie pracować nad bicepsami, tricepsami lub innymi „cepsami”.

– Że skończył ze sobą? – upewnił się Wasyl Miruk.

Miruk był średniego wzrostu brunetem o miłej aparycji. Niestety miał tendencję do tycia i z tego powodu przez całe życie katował się dietami oraz ćwiczeniami. Dzięki swojemu samozaparciu udawało mu się utrzymywać sylwetkę w idealnym stanie, choć oczywiście nawet najbardziej katorżnicze treningi nie pomogły mu zmienić faktu, że Matka Natura obdarzyła go ciut przykrótkimi względem kadłuba dolnymi kończynami, w dodatku lekko krzywymi, a do tego szerokimi biodrami, które przy umięśnionej górze ciała sprawiały, że z daleka Wasyl prezentował się trochę jak kwadrat na kurzych nóżkach.

– Dziwne, co nie?

– No dziwne, dziwne... – sapnął Roland, zastanawiając się, czemu do licha nie wybrał sztangi. Machanie nią, zwłaszcza kiedy sam mógł sobie wybrać obciążenie, męczyło go o wiele mniej niż ćwiczenia na wszystkich tych diabelskich wynalazkach. Chyba miał zaćmienie umysłu! – Ale daje nam to nowe perspektywy...

– Co masz na myśli? – Wasyl spojrzał badawczo na swojego kolegę.

– Dla nikogo nie było tajemnicą, że Sergiusz miał wygraną w konkursie w kieszeni – powiedział Roland, na chwilę przestając się siłować z oporną maszyną. – Już na eliminacjach widać było,

że zaczarował całe jury. Umówmy się, że nikt inny nie miał nawet najmniejszej szansy na to, żeby z nim rywalizować. Nawet ten zakochany w sobie picuś, co to psim swędem dostał teraz reklamę środka na zaburzenia erekcji. Konkurowaliśmy o nią i przegrałem. Czujesz? Ja! Po kilku latach studiów w szkole aktorskiej! No, ale z drugiej strony nie rwałem się tak jak on, żeby udowodniać ludziom od castingu, że nie mam żadnych kłopotów z potencją. Jeśli wiesz, co chcę powiedzieć...

Porozumiewawczo mrugnął okiem. Wasyl pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Wiem, wiem... – powiedział, wracając do wyciskania sztangi. – Mnie też chciał to kiedyś udowodnić...

– Żartujesz?! – Roland zrobił duże oczy. – Przystawiał się do ciebie?!

– Noooo... – potwierdził Wasyl. – Po pierwszym etapie konkursu, jak już się zakwalifikowaliśmy, zaprosił mnie na piwo. Ponieważ we wszystkich zwykłych klubach był taki tłok, że szpilki byś nie wcisnął, to wylądowaliśmy w jakimś gejowskim. Mnie tam wsio rawno. Piwo dawali dobre, muza też leciała spoko, towarzystwo nienachalne, w dodatku mieszane. Sporo fajnych lasek było. Nawet ta babina, co sponsoruje nasz konkurs. Wiedziałaś, że oni się znają?

– Nie.

– Ja też nie. A co do tamtej nocy, to wiesz, jaki jestem. Jak sobie wypiję, to lubię się powygłupiać. A że tamtego wieczoru było co świętować, to i nie wylewałem za kołnierz. Więc wyobraź sobie, co wyprawiałem...

Roland kiwnął głową, bo też i faktycznie kilka razy widział Wasyla w czasie rozmaitych akcji i gdyby nie fakt, że raczej był pewny jego orientacji, i znał jego narzeczoną, sam gotów byłby podejrzewać, że jego kumpel należy do grona kochających inaczej.

– Wiem, wiem – mruknął wyrozumiale. – Parę razy odstawiłeś przede mną taniec erotyczny. Zdaje się, że Lady Gaga szkodzi ci na umysł najbardziej. A właściwie Lady Gaga w połączeniu z czystą...

– Dokładnie! – zgodził się Wasyl. – I sam wiesz, że primo, do niczego grzesznego to u mnie nie prowadzi, a secundo, to ja i tak następnego dnia nawet nie pamiętam, co robiłem. Ale nasz Jakubek wziął te moje wygłupy na poważnie, nieco się podniecił i jak wracaliśmy z klubu, to zaproponował, żebym wpadł do niego na noc. Zaproponował mi wspólną kąpiel i nawet chciał kupić szampana! Był bardzo rozczarowany, kiedy mu odmówiłem i poprosiłem, żeby mnie odwiózł do domu...

– Myślisz, że on jest... ten-teges?

– Nie sądzę... – Wasyl przez chwilę podumał nad wieloznacznym znaczeniem sformułowania „ten-teges” w kontekście skomplikowanych erotycznych preferencji ich kolegi. Choć język polski miał opanowany prawie perfekcyjnie, ciągle przyswajał sobie nowe określenia. – Myślę raczej, że jest mu wszystko jedno. Idzie chłopak na ilość i nie wybrzydza. Poza tym, jak to mówi Woody Allen, biseksualizm podwójnie zwiększa szansę na to, że nie spędzisz samotnie sobotniej nocy. Bo to, że mnie podrywał, to fakt. Ale znam też przynajmniej dwie laski, które wyplakiwały mi się w mankiet, że się z nim przespały, liczyły na więcej niż jedno spotkanie, a on nawet do nich potem nie oddzwonił...

Przez chwilę obaj ćwiczyli w milczeniu.

– Powiem ci, że nie jestem w stanie zrozumieć, jak można być dwururką – zawyrokował w końcu Roland. – Pojmę jeszcze, że ktoś jest gejem. OK, natura tak chciała, w porządku. Choć ja bym to leczył, bo to dla mnie choroba, acz mogę przyjąć, że czasem ludzie się rodzą z jakąś nieuleczalną wadą. Ale móc sypiać z kobietami i robić to też z facetami, to jest coś, co mi się jakoś nie może pomieścić w głowie.

– Już ty nie bądź taka cnotka niewydymka – zgorszył się lekko Wasyl, który choć wychowany na Ukrainie w konserwatywnej rodzinie, gdzie słowo „seks” wymawiało się ściszym tonem, jakby było jakimś straszliwym wulgaryzmem, po przyjeździe trzy lata temu do Polski i zmianie obywatelstwa, szybko stał się bardziej tolerancyjny niż większość jego nowych rodaków. – Jak to mówią,

żeby życie miało smaczek...

Roland uśmiechnął się. Odłożył rączkę wyciągu na miejsce i poszedł po sztangę.

– Swoją drogą to samobójstwo Sergiusza jest zastanawiające – powiedział, wracając na swoje miejsce. – Facet wydawał się całkiem normalny. Nie widać było po nim, że ma jakieś jazdy psychiczne albo kłopoty. A poza tym miał perspektywy na całkiem interesującą przyszłość po wygraniu konkursu...

– Meandry ludzkiej psychiki bywają zaskakujące. – Westchnął Wasyl. – A poza tym, jak rozmawialiśmy o Jakubie, to coś mi się przypomniało. Właśnie *à propos* Sergiusza. Jedna z tych panienek, które mi się wypląkiwały na ramieniu, stwierdziła między jednym szlochem a drugim, że kompletnie nie rozumie, dlaczego ktoś tak atrakcyjny i przystojny jak Jakub ugania się za jakimś podstarzałym ohydny koczokodanem. Nawet mi potem tego koczokodana pokazała palcem. Całkiem atrakcyjna babka. A przy okazji, i teraz trzymaj się mocno, była narzeczoną Sergiusza.

– Żartujesz?! – zdziwił się Roland.

– Nie. – Wasyl pokręcił głową. – Jakaś dziennikarka. Pracuje w telewizji.

– Nie kojarzę... – mruknął Roland, pochylając się, by poprawić sobie zapięcie przy adidasach.

– Akurat! – zdziwił się Wasyl. – Przecież też do niej startowałeś!

Roland gwałtownie się wyprostował, zapominając o sztandze, butach i całym świecie.

– Ty wiesz?!

– Oczywiście, że wiem! – parsknął Wasyl z politowaniem. – I to od samego Sergiusza. Kiedyś zahaczyłem go o to, dlaczego się nie lubicie. Pamiętam, że jak się witaliśmy przed castingiem, to nie podaliście sobie rąk. Jako jedyni. A potem tak lawirowaliście, żeby nigdy nie znaleźć się ze sobą sam na sam. Sergiusz powiedział mi, że macie swoją historię i że chętnie obiłby ci twarz. Drugi raz. I że nauczyłby cię, że nie zabiera się za kobiety, które nie są wolne.

– W tym sęk, że ona była już wolna – wyjaśnił Roland. – Tylko on

nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Zachowywał się jak psychopata. Śledził nas, robił awantury. Wreszcie nie wytrzymałem. I to bzdura, że coś mi obiło. To raczej on wyszedł z tego w gorszym stanie.

– On mówił co innego – powiedział Wasyl, a widząc, że jego kompan gniewnie się zachnął, machnął lekceważąco ręką. – Nieważne. On miał swoją wersję, ty masz swoją, a mnie przy tym nie było. W każdym razie sam widzisz, że i jemu nie wszystko układało się po myśli. Czaisz, jak to jest. Na pozór każdy robi minę chojraka, a jak go wziąć pod lupę, to wynajdzie się wiele spraw, które powodują płacz i zgrzytanie zębami.

– Czy ja wiem? – zastanowił się przez chwilę Roland. – Ja chyba takich nie mam...

– Oczywiście, że masz! – Roześmiał się Wasyl. – Jedną nawet znam...

Roland popatrzył na niego ze zdumieniem. Czyżby wiedział?

– Widzę, że wiesz o mnie więcej niż ja sam o sobie... – stwierdził ostrożnie.

– Dobra, dobra. – Wasyl nie przestawał się uśmiechać. – Tak się składa, że przyszedłem tu dzisiaj wcześniej. I zanim wszedłem do szatni, przez chwilę stałem w progu, bo kończyłem pisać SMS-a. Na tyle długo, żeby zobaczyć, jak otwierasz białą kopertę, czytasz list, potem ze złością mniesz go w rękę, mamrocząc przy tym kilka mocnych słów. I co? Nadal upierasz się, że nie masz żadnych spraw, które cię wkurzają?

Roland nie za bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć, sięgnął więc po obciążnik do sztangi, aby nieco zyskać na czasie. Zaprzątnięty wymyślaniem naprędce odpowiedzi w razie, gdyby kolega zadał pytanie o treść listu, nawet nie zauważył, jakie dokłada sobie ciężary.

– Spokojnie, spokojnie... – Wasyl wstał ze swojego straszliwego urządzenia, na którym, jak to zwykły mawiać, „robił sobie nogi”, co wszystkim mniej obeznanym z kulturystyczną nomenklaturą nasuwało na myśl, że je sobie depiluje, podszedł i poklepał Rolanda

przyjacielsko po ramieniu. – Wiesz, że ja nie plotkuję, ani nie wsadzam nosa w nie swoje sprawy. Poza tym na pociechę mogę ci powiedzieć dwie rzeczy...

– Noooooo... – wysapał zachęcająco Roland, czując, że lekka dotychczas sztanga zamieniła się w efekcie jego działalności w jakiś wrośnięty w podłogę, a najpewniej przyspawany do niej, kawał żelaza, ewentualnie młot Thora albo inny absolutnie niemożliwy do uniesienia przez normalnego człowieka przedmiot. – Móóóów...

– Po pierwsze wiesz, że zawsze możesz liczyć na moją pomoc, niezależnie do tego, co się będzie działo – powiedział Wasyl. – A po drugie...

– Taaaaak... – powiedział z dużym wysiłkiem Roland, dumając jednocześnie, czy jeśli z wysiłku dostanie teraz ruptury i jego jądra zaczną się kojarzyć ze słoniowymi, to czy jury Mistera Polonia dopuści go prezentacji w stroju kąpielowym.

– A po drugie – powtórzył Wasyl. – Nałożyłeś sobie po piętnaście kilo z każdej strony. Oczywiście, jeśli za chwilę złamiesz sobie kręgosłup, usiłując to dźwignąć, to wszyscy twoi rywale z konkursu bardzo się ucieszą, ale uprzedzam cię, że mnie w grudniu nie ma w kraju...

– Dlaczego w grudniu? – zdziwił się Roland, przestając się siłować z opornym żelastwem. – Po co niby byłbyś mi wtedy potrzebny?

– Na wybory Mistera Polonia Niepełnosprawnych – wyjaśnił uprzejmie Wasyl. – Nie będzie mnie wtedy w kraju i nie będzie miał cię kto pchać na wózku...

– Już ty nie bądź taki mądry – warknął Roland, po czym sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął z niej telefon komórkowy. – No dobra, pora na selfie na Insta. Tylko znajdę jakiś dobry filtr, bo obaj mamy czerwone ryje jak kacapy po trzydziestu latach na denaturacie. To znaczy, przepraszam...

– Za co? – zdziwił się Wasyl. – Kacapy to Ruskie, a nie moje. A ja nienawiść do Ruskich wyssałem z mlekiem matki. I nie róbmy selfie, bo zawsze ma się na nich łeb jak jajo albo ktoś

z wodogłowiem. Ustaw komórkę na stole do armwrestlingu i timera. Popozujemy jak prawdziwi faceci. Poczekaj tylko chwilę, poprawię sobie wacka...

Szybkim ruchem wykonał to, co zapowiedział, a po chwili namysłu pozbył się koszulki. Roland skinął z aprobatą głową, poszedł w jego ślady, a następnie ustawił się obok niego, z satysfakcją odnotowując, że jest o wiele lepiej zbudowany i na tle tego, jak go pogardliwie nazwał w myślach, banderowskiego kloca, wyjdzie na prawdziwego boga seksu.

– Całkiem nieźle – zawyrokował chwilę później, oceniając ich fotę. – Współ w zespół powinniśmy zbierać rekordową ilość lajków. Pizduś umrze z zazdrości...

Przez chwilę milczał, zajmując się wrzucaniem fotki na Facebooka i Instagrama oraz wymyślaniem przyciągających jak największą ilość osób hashtagów.

– Voilà! – oznajmił z satysfakcją.

Przez chwilę podziwiał swoje dzieło, po czym, przypomniawszy sobie ich wcześniejszą rozmowę, dodał:

– A swoją drogą, opowiedz mi, co jeszcze nasz świętej pamięci nieboszczyk ci o mnie nagadał...

ROZDZIAŁ IX

Lala

Róża nigdy nie czuła się zbyt pewnie w telewizji. I to nie tylko wtedy, kiedy łączyło się to z występem przed kamerą, bo w takich sytuacjach już w ogóle traciła resztki równowagi psychicznej i zamieniała się w osobę, którą można byłoby posądzić o daleko posunięty niedorozwój umysłowy, ale nawet gdy, tak jak teraz, musiała się tam po prostu z kimś spotkać towarzysko. Nic dziwnego, że przekraczając progi TelePolu, największej prywatnej stacji telewizyjnej w kraju, wyglądała jak skazany na galery w chwili odprowadzania na odbycie wyroku. Jej niepewność siebie pogłębiał fakt, że to właśnie w tej telewizji kilka miesięcy wcześniej przeżyła swoje największe publiczne upokorzenie. Mile brzmiąca pani producentka, wyrzucająca z siebie przez telefon mniej więcej milion słów na minutę, zaprosiła ją mianowicie do porannej audycji „Śniadanie na ekranie”. Traf chciał, że Pepe przebywał wtedy na urlopie. Róża, pomna zapewnień swojego wydawcy, że wizyta w ogólnopolskiej stacji znakomicie wpływa na sprzedaż książek, przyjęła zaproszenie, nie próbując nawet nadażyć za słowotokiem swojej rozmówczyni, a ponieważ zajęta była właśnie nakręcaniem włosów na papiloty, aby uzyskać fale w stylu Kate Moss, połowy jej gadania w ogóle nie usłyszała. Następnie spędziła kilka dni, rozkoszując się wizją, jak to na antenie przez kilka minut opowiada o swojej nowej powieści, robi sympatyczne wrażenie, czaruje i intryguje widzów swoją elokwencją, inteligencją i poczuciem humoru, a po powrocie do domu z radością patrzy, jak w wyniku tego występu jej książki pną się w błyskawicznym tempie w górne rejony list bestsellerów. Euforyczny nastrój psuł jej jedynie fakt, że po użyciu papilotów zamiast pięknych fal miała na głowie raczej spienione, jesienne bałtyckie bałwany. Idąc do telewizji, nie była nawet specjalnie

zdenerwowana. Jej spokój został jednak nieco zmańczony, kiedy na wstępie, jeszcze zanim doszła do charakteryzatorni na obowiązkowy w telewizji make-up, dopadł ją na korytarzu jakiś rozkudłany zażywny mały człowieczek o dziwacznych, rozbieganych oczach.

– Pani Róża Krull? – zapytał piskliwym sopranem, podając jej nieco spoconą rękę. – Trochę jest pani grubsza, niż myślałem, ale może jakoś się panią zwiąże. A jak nie, to trudno. Będzie sobie zwisać...

– Co sobie będzie zwisać? – zapytała słabym głosem pisarka, z miejsca przeczuwając jakiś kataklizm.

– Fartuszek. – Człowieczek spojrzał na nią jak na wariatkę. – Chyba że wzięła pani swój, to się nie upieram. Tylko nie może być na nim żadnego logo, bo znowu nam się dział reklamy zwali na głowę z pretensjami. Już wystarczyło, że przyszła do nas ta piosenkarka, która co pół słowa wymienia nazwę czegoś, co reklamuje. Wywiad z nią trwał dziesięć minut i w tym czasie zdążyła zmyślnie ułokować w swoich wypowiedziach tak ze dwadzieścia różnych produktów. Nasi handlowcy byli na nią wściekli jak diabli, a ich szefowa powiedziała, że jeśli komukolwiek strzeli do łba, żeby ją jeszcze raz zaprosić, to ona osobiście przed wejściem na antenę ją zaknebluje. To co, ma pani swój?

– Nie mam – powiedziała Róża z rozpaczą w głosie. Chętnie wyjaśniłaby swojemu nerwowemu rozmówcy, że z kimś ją pomylił, gdyby nie fakt, że na początku wymienił jej nazwisko. – Przyszłam tu porozmawiać o swojej ksią...

– Ale twaróg i jaja pani chyba ma? – przerwał jej rozkudłany. – Bo ja przygotowałem tylko mąkę i masło. Każdy preferuje inny twaróg i jaja. Ja za to nie będę brał odpowiedzialności. Potem coś nie wyjdzie i będzie narzekanie, że kupiłem nie takie produkty jak trzeba.

– Nie mam żadnego twarogu! – zaprotestowała spanikowana Róża. – Ani jaj! Na co mi to?!

– To jak sobie pani wyobraża smażenie syrników bez jaj

i twarogu?! – oburzył się człowieczek, podejrzenie czerwieniejąc na twarzy. – Skaranie boskie z panią! Nie mogła pani uprzedzić?! Przecież sama mąka i masło nam nie wystarczą. Ha-aaa-linka!

Na wydany głosem ranionego bawoła okrzyk z charakterystycznymi wyskoczyła drobna przestraszona rudowłosa dziewczuszka.

– Nie mamy twarogu i jaj, cholera by to wzięła... – poinformował ją grobowym głosem rozkudłany. – Weź no i skocz do sklepu. Kup ćwierć kilo półtłustego białego sera w kostce, powinno styknąć. Teraz to już obojętne jakiego. I kup dziesięć jaj. Od kurki zielononóżki! Masz tu dwudziestkę, potem się rozliczymy. Ino migiem, bo wchodzimy na antenę za kwadrans. No, już!

Dziewczyna nie wdawała się w żadne dyskusje, tylko tak zwanym kurcgalopkiem pospieszyła w stronę wyjścia.

– No cóż, widać nastąpiło jakieś niedogadanie – westchnął człowieczek, wracając wzrokiem do pisarki. – Dostałem wiadomość z produkcji, że przyniesie pani własne składniki...

Róża nie wiedziała, jak powiedzieć zatroskanemu i ciągle czerwonemu na twarzy facetowi, że niedogadanie bynajmniej nie dotyczyło kwestii nabiału, tylko celu całej jej wizyty w telewizji. Jeszcze gotów jej tu dostać apopleksji. Podobno tłustawych siepie szybciej i trudniej ich odratować.

– Powiedział pan, że co ja niby będę robiła? – upewniła się ostrożnie, czując podejrzaną ścisną w okolicach dwunastnicy.

– Syrniki – powiedział człowieczek. – Teraz mamy modę na umacnianie naszych więzi ze Wschodem. Odkąd Trump nie dał nam wiz, a Europa poparła Tuska, znów mamy zielone światło na Wschód. Ale jak jeszcze Putin i Ukraińcy wykręcą nam jakiś numer, to chyba będziemy tu smażyli sajgonki...

– I niby ja mam te syrniki gotować?! – Róża poczuła chęć ucieczki. – Dlaczego?

– Ich się nie gotuje, ino smaży – pouczył ją rozkudłany. – A okazja to Dzień Rosji. Akurat dzisiaj przypada.

– Ale dlaczego ja?!

– Bo napisała pani przecież książkę o Rosji!

I w tym momencie Róża wreszcie zrozumiała genezę całego tego zamieszania. Jej nowy kryminał nosił tytuł *Rosyjska ruletka*. Akcja co prawda rozgrywała się w Berlinie i Warszawie, a bohaterem był Francuz polskiego pochodzenia, ale widać żaden z telewizyjnych producentów nie zadał sobie trudu, aby przeczytać choćby opis książki. Pisarka usiłowała wyjaśnić naprędce pomyłkę, ale ani człowieczek, ani żadna z kręcących się wokół niej osób nie chciały jej wysłuchać. Róża została bez mała przemocą wepchnięta do charakteryzatorni, gdzie naburmuszona pani zadała jej obrażonym tonem pytanie: „I co pani zrobiła z tymi włosami, że wyglądają jak ogon konia?!”, po czym nałożyła jej na twarz taką warstwę tapety, że pisarka zaczęła się zastanawiać, czy da radę otworzyć usta albo mrugnąć okiem. Kiedy usiłowała zaprotestować, charakteryzatorka prychnęła gniewnie i powiedziała: „No, jakoś trzeba zamaskować te dramatyczne oznaki starzenia!”, po której to wypowiedzi Róża postanowiła prosto z gmachu telewizji udać się do doktora Gojdzia i kazać sobie zrobić od razu za jednym zamachem lifting, botoks i wstrzyknąć hialuron, żeby nie straszyć już więcej ludzi widokiem swojego makabrycznego oblicza. Kwadrans potem nastąpiła kulminacja tak mile rozpoczętego poranka, w czasie której Róża, oglupiona do reszty okrzykami: „Da sobie pani radę bez żadnego problemu! Jedziemy!”, trzęsącymi się z nerwów rękami usiłowała przed kamerą wykonać kilka podstawowych czynności kuchennych. W ich wyniku najpierw umieściła zawartość kilku jajek na podłodze zamiast w misce, następnie zagniotła masę serową w tak uroczy sposób, że połowa wylądowała na garniturze prowadzącego program, a na koniec kichnęła w mąkę dokładnie w tym samym momencie, kiedy wchodząca do studia pogodynka poślizgnęła się na walającym się po podłodze kurzym białku. Przez kolejne trzy minuty widzowie zmuszeni byli oglądać napis: „Przepraszamy za usterki techniczne”, a Róża poprzysięgła sobie, że noga jej nigdy więcej nie postanie w żadnej telewizji i zaczęła dumać, ile czasu będzie musiała spędzić zamknięta w domu, zanim ludzie zapomną o jej kompromitacji.

Teraz jednak musiała złamać daną sobie obietnicę, bo była narzeczona samobójcy spędzała w TelePolu całe dni i nijak nie dała się namówić na spotkanie gdzie indziej. Róża już z daleka wypatrzyła ją w telewizyjnej kawiarni, gdzie miały porozmawiać o wymyślonym przez nią naprędce pomysle cyklu reportaży o miejscach w Polsce i na świecie, gdzie toczyły się akcje jej kryminałów. Wnętrze lokalu, opracowane w barwach niebiesko-czerwonych i oświetlone przedziwnymi purpurowymi lampami, kojarzyło się bardziej z ekskluzywnym klubem go-go niż stołówką pracowniczą, a sama Lala, siedząca na wysokim barowym krzeselku, ubrana w podkreślającą jej idealną figurę małą czarną i zapatrzona ze znudzoną miną w ekranik swojego smartfona, sprawiła na Róży wrażenie zblazowanej, ekskluzywnej call-girl. Pisarka kolejny raz poczuła do niej niechęć i zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno słusznie zrobiła, biorąc rozmowę z nią na swoje barki. Licho wie, czy da radę zadzierzgnąć z Lalą więzy przyjaźni i zyskać jej sympatię, potrzebną do tego, aby wyciągnąć z niej jakieś zwierzenia natury prywatnej, skoro tak naprawdę nie miała ochoty w ogóle zaczynać z nią konwersacji. W końcu, jak ogólnie wiadomo, z reguły brak chemii jest dwustronny. Skoro sama od pierwszego spojrzenia nie zdołała wykrzesać w sobie żadnych ciepłych uczuć do Lali, to jest spora szansa, że i ona nie przypadnie Lali do gustu. Teraz jednak za późno już było, aby się wycofać... Róża westchnęła ciężko, przyoblekła swoje oblicze w zawsze znakomicie działający na ludzi starannie wystudiowany uśmiech, zwany przez Pepe „wyszczereź ryby piły”, i zdecydowanym krokiem przemierzyła kilka metrów dzielących ją od dziennikarki.

– Jakże mi miło! – wykrzyknęła na powitanie. – Ile to już czasu minęło od naszego poprzedniego spotkania?

– Półtora roku – powiedziała Lala, wyciągając rękę na powitanie. – I przyznam szczerze, że trochę się zdziwiłam, kiedy usłyszałam, że chce się pani ze mną znów zobaczyć.

– A czemuż to? – zdziwiła się pisarka, siadając na stołeczku

i czując, że jej tyłek zamiast uformować się w siedzisku, wylał się z obu stron upiornego mebla niczym Wisła z koryta w czasie powodzi stulecia.

– Bo nasza ostatnia rozmowa nie zakończyła się specjalnie przyjemnie – oznajmiła Lala lodowatym tonem. – Z tego, co pamiętam, miała pani pretensje o to, że nie wycięłam z wywiadu kilku pani wypowiedzi i nazwała mnie, postaram się to dobrze zacytować, „niedorobioną pseudodziennikarką, której kariera powinna się zakończyć na parzeniu w redakcji herbaty”. Sugerowała pani także, że zadzwoni do mojego szefa i sprawi, że wyląduję na zasiłku dla bezrobotnych...

– Naprawdę?! – Pisarka oderwała się od rozmyślania, dlaczego stołki barowe projektuje się z myślą o osobach chorujących na anoreksję, i usiłowała sobie naprędce przypomnieć opisywaną przez Lalę scenę. Jedną z głównych cech Róży było to, że choć umiała w jednej chwili stracić równowagę, wkurzyć się, wpaść w panikę albo zrobić awanturę, to błyskawicznie wyrzucała wszelkie takie złe momenty ze swojej głowy, a opowieści o nich słuchała potem, jakby dotyczyły innej osoby. – W ogóle tego nie pamiętam! Naprawdę, bardzo mi przykro, jeśli panią wtedy uraziłam...

Lala przez chwilę mierzyła ją badawczym i nieco chmurnym wzrokiem, po czym się roześmiała.

– Było, minęło – powiedziała tonem, który choć w zamierzeniu miał być sympatyczny, nie zabrzmiał w uszach pisarki zbyt przyjemnie. – Uznałam to nawet za zabawne. W końcu rzadko zdarza się zostać objechanym od góry do dołu przez królową kryminalistów. Zwłaszcza komuś, kto dopiero zaczyna swoją karierę dziennikarską. Rozumiem, że ma pani dla mnie jakąś kuszącą propozycję?

– Owszem – potwierdziła Róża, usiłując rozsiaść się na stołku trochę wygodniej i czując, że zamiast tego zaraz z niego zleci. Tęsknym wzorkiem spojrzała na krzesła rozstawione na sali i poczuła jeszcze większą niechęć do swojej rozmówczynie. Tyle komfortowych siedzeń, a ta mała musiała oczywiście wybrać te

najbardziej niewygodne. – Jak pani wie, udzielam mało wywiadów i prawie w ogóle nie występuję w telewizji...

– Dzięki czemu nasze pogodynki nie muszą zbyt często odwiedzać ortopedy – dokończyła Lala, patrząc na Różę z ironią w oczach.

Oby ci te farbowane kudły wypadły – pomyślała pisarka ze złością, starając się nie zdradzić, że z każdą chwilą czuje coraz większą odrazę do rozmówcy.

– No, tak... – Westchnęła. – Widzę, że nadal jestem tu legendą...

– Jedną z największych i wciąż żywych – potwierdziła Lala, tym razem z nieco mniej sztucznym uśmiechem. – Po pani występie zrezygnowano w ogóle z kącika kulinarnego w porannej audycji...

– Sama więc pani widzi, że słusznie trzymam się z daleka od telewizji...

– Ale jednak po coś się tu dziś spotykamy... – Lala pytająco popatrzyła na pisarkę.

– A, tak – ocknęła się Róża. – Kilka miesięcy temu jedna ze stacji zaproponowała mi nakręcenie reportażu o miejscach, które inspirowały mnie do napisania kryminałów. Nic z tego wtedy nie wyszło, a szkoda, bo wszyscy mówili mi, że to fajna promocja. Za chwilę ukażą się wznowienia moich pierwszych książek...

– Bo, oczywiście, nowej jak zwykle nie udało ci się napisać na czas – stwierdził karcąco Pepe, ukazując się jej nagle nad głową w charakterze małego fruującego skrzata w stylu bajkowego Dzwoneczka. Róża mrugnęła, aby pozbyć się sprzed oczu tej nieczystej mary i trochę zaniepokoiła się o swoje zdrowie. Jedna z jej znajomych też miała kiedyś paranoję, że w środku lata śledzi ją święty Mikołaj, w dodatku z dużym workiem i w czapce z pomponem, a potem okazało się, że jest chora psychicznie i trzeba ją było zamknąć w pokoju bez klamek.

– I tak sobie pomyślałam, że być może zainteresuję kogoś tym pomysłem. Pani przyszła mi do głowy jako pierwsza, bo przecież prowadzi pani najpopularniejszy w tej chwili program o literaturze...

– Owszem... – powiedziała z lekkim tylko wahaniem Lala. –

Myślę, że to mogłoby zainteresować widzów. Oczywiście pod warunkiem, że wystąpiłaby pani osobiście w tym reportażu. Jest tylko jeden problem...

Róża pokiwała głową, zgadzając się na swój udział w reportażu, tym bardziej, że miała pewność, że takowy w ogóle nie powstanie. Zamówiła sobie małą latte i wróciła wzrokiem do Lali.

– A jaki to problem? – zapytała.

– Pracę nad reportażem mogłybyśmy zacząć najwcześniej za dwa, trzy tygodnie – powiedziała Lala. – Bo teraz zamierzam wziąć trochę wolnego. Mam zrobione trzy odcinki programu do przodu i wybieram się na krótki urlop. Ostatnio przeżyłam dość przykrą sytuację i poczułam, że muszę gdzieś wyjechać i nabrać dystansu do rzeczywistości. Nie chciałabym już zmieniać planów...

Róża poczuła, że okazja sama pcha się jej w ręce. Byłaby ostatnią idiotką, gdyby jej nie wykorzystała.

– Nie chciałabym być wścibska, ani się narzucać – powiedziała delikatnym tonem, z niesmakiem myśląc przy tym, że właśnie wspina się na Himalaje hipokryzji. – Ale może mogłabym w czymś pani pomóc? Czasem warto porozmawiać o swoich problemach z kimś, kogo one nie dotyczą i kto nawet nie jest z nami zaprzyjaźniony. Takiej osobie łatwiej o dystans i może nam pomóc w znalezieniu dobrego rozwiązania. Ja sama często tak robię, a i moi przyjaciele przyzwyczaili się, że jak mają jakiegoś zgryza, to po prostu kupują dobre wino i spędzają ze mną wieczór na rozmowie. Jedna z moich koleżanek twierdzi, że powinnam za to pobierać po sto złotych za godzinę, bo jestem lepsza od jej psychoterapeuty...

Na plus trzeba zapisać pisarce, że wygłosiła szczerą prawdę, a jedyne, co zataiła, to fakt, że od jakiegoś czasu jej znajomi przynosili na takie wieczorne sesje po kilka win, pomni tego, że znikają one w coraz szybszym tempie oraz fakt, że następnego dnia ich kłopoty faktycznie wydają się mało istotne w porównaniu z kacem i bólem głowy, z jakim muszą walczyć. Lala zamyśliła się na moment, sprawiając takie wrażenie, jakby rozważała coś

w duchu. Róża obserwowała ją uważnie, dumając nad strategią, jaką powinna przyjąć, gdyby dziennikarka odrzuciła jej propozycję. Przyznać się, że wie, jaki to problem? Opowiedzieć, że to właśnie ona była świadkiem samobójstwa jej byłego chłopaka?

– Nie mam żadnego problemu... – powiedziała w końcu Lala. – Po prostu przeżyłam coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć. Ale nie chciałabym marnować pani czasu. Pisarze zawsze mają jakiś deadline i wiecznie są zagonieni...

– Akurat mam bardzo dużo wolnego czasu – stwierdziła Róża, z góry przygotowując się na to, że za chwilę znów zobaczy nad sobą latającego Pepe-Dzwoneczka, tym razem ze wściekłą miną i z pejczem w dłoni. – Możemy spokojnie porozmawiać, tylko błagam, zmieńmy siedziska. Bo ten stołek zaraz mi wejdzie w, za przeproszeniem, zadek...

– Oczywiście, nie ma sprawy. – Roześmiała się Lala. – Ja bardzo je lubię i po prostu nie pomyślałam, że może się pani czuć niekomfortowo...

Bo w przeciwieństwie do ciebie ostatni raz jadłam coś z rana, a nie w 1998 roku – pomyślała złośliwie Róża, przechodząc z dziennikarką do stolika pod ścianą i z ogromną ulgą sadowiąc się na krześle.

– A więc...? – zagadnęła zachęcająco, stawiając przed sobą filiżankę z kawą i napawając się jej zapachem. Wąchanie kawy zawsze sprawiało jej większą przyjemność niż jej picie.

– Sama nie wiem, od czego zacząć... – Lala przez chwilę obracała swój telefon w dłoniach, najwyraźniej zbierając myśli. – Pewnie pomyśli pani, że jestem nawiedzona. I pewnie sama też bym tak się oceniła. Z reguły myślę trzeźwo, umiem poukładać sobie wszystko w głowie. Problem powstaje wtedy, gdy przydarza mi się coś, do czego nie pasują żadne reguły logiki...

– I rozumiem, że coś takiego teraz panią spotkało?

– Tak. Od czego by tu zacząć... Pięć lat temu na jakiejś bibie u znajomych poznałam chłopaka. Był miły, przystojny, inteligentny. Zaiskrzyło między nami od pierwszego spojrzenia. Po

kilku tygodniach byliśmy już w związku, a po kolejnych kilku zamieszkaliśmy razem. I albo za szybko nam to poszło, albo w ogóle nie byliśmy jeszcze przygotowani na poważną relację, ale po jakichś dwóch latach pojawiły się zgrzyty. Wtedy uważałam, że wszystko psuje się przez niego, ale teraz, z perspektywy czasu, wiem, że i ja nie byłam bez winy. On lubił się bawić. Wskoczyć z kolegami na mecz albo piwo, pojechać na jakiś męski wypad w góry albo na narty. A w mojej głowie oczywiście natychmiast słowo mecz zamieniało się w podryw, a narty w orgię w bacówce. Wiem, idiotyzm, ale wtedy wydawało mi się to oczywiste. Chciałam go wiecznie kontrolować, robiłam sceny zazdrości i awantury o każdą babkę, na jaką spojrzał. Urządzałam mu ciche dni, karałam na różne sposoby. A on znosił to wszystko z anielską cierpliwością i wyrozumiałością, którą teraz pewnie umiałabym docenić, ale wtedy jeszcze bardziej mnie wkurzała. No bo jak to? Robię mu awanturę, każę mu się wyprowadzić, wyrzucam jego rzeczy przez balkon, a on zamiast się obrazić, następnego dnia wysyła mi kurierem kwiaty?! Jaki normalny chłop z jajami tak postępuje?! Trochę się jeszcze ze sobą pomęczyliśmy, daliśmy sobie jedną szansę, drugą, aż w końcu doszłam do wniosku, że to mężczyzna nie dla mnie i zakończyłam nasz związek. Potem na jakiś czas zachłysnęłam się wolnością. Ale im więcej szalałam, a był to dość rozrywkowy czas w moim życiu, im więcej facetów poznawałam, tym bardziej tęskniłam za Sergiuszem. Dopiero wtedy doceniłam, jak wspaniałym był partnerem. I kiedy w końcu mniej więcej jakiś tydzień temu dostałam od niego kolejnego SMS-a z serduszkami, bo miał zwyczaj wysyłania mi ich każdego miesiąca w rocznicę, a raczej miesięcznicę, dnia, w którym się po raz pierwszy spotkaliśmy, coś się we mnie przełamało i wysłałam do niego wiadomość. Napisałam, że nie umiem sobie po zerwaniu ułożyć życia i nie jestem bez niego szczęśliwa.

– I co było dalej? – zapytała Róża, choć była pewna, że za chwilę usłyszy coś, co wcześniej już знаła z opowiadania Martyny. Czekало ją jednak spore zaskoczenie.

– Oddzwonił natychmiast – oznajmiła Lala. – Chciał nawet od razu do mnie przyjechać, ale akurat byłam wtedy w Białymstoku, przez dwa dni robiłam tam wywiady na targach książki. Gadaliśmy przez pół nocy. Okazało się, że ciężko przeżył nasze rozstanie. Miał depresję, nachodziły go myśli samobójcze, uświadomił sobie, że byłam i na zawsze pozostanę jego drugą połówką. Też nie mógł sobie ułożyć życia. Doszliśmy do wniosku, że potrzebowaliśmy tego czasu rozłąki, aby dojrzeć, przewartościować różne rzeczy. Umówiliśmy się, że kiedy dwa dni później wrócę z Białegostoku, spotkamy się na kawę i spróbujemy zobaczyć, czy jest jeszcze między nami chemia, a jeśli tak, to dać sobie jeszcze jedną szansę. I tak też się stało. To był cudowny wiecz... Przepraszam, ale czy coś się pani stało?

Róża wzdrygnęła się nieco, uświadamiając sobie, że musi mieć wyjątkowo idiotyczną minę. Nic dziwnego, skoro kilka sekund wcześniej poczuła, jak ze zdumienia jej szczęka opada na podłogę, roztrzaskując się z hukiem o posadzkę.

– Nie, nie – zaprotestowała, próbując opanować szalejącą w jej głowie hulankę myśli. – Proszę nie przerywać...

– Na naszym spotkaniu odkryłam nowego Sergiusza – podjęła swoją opowieść Lala. – Dojrzałego i, co mnie najbardziej zdziwiło i zaskoczyło na plus, o wiele mniej zakochanego. Pewnie to dziwnie zabrzmiało, ale czasem można kogoś zagłaskać na śmierć swoją miłością. Pewnie to pani zna...

Róża kiwnęła głową, w duchu smętnie myśląc, że jej nikt nigdy nie zagłaskał, i jeśli już, to ona miała ciągoty do włóczenia się za swoimi partnerami z ciełym wzrokiem i gotowością wykonania każdego ich życzenia. Może powinna jednak zrewidować swoje podejście do spraw męsko-damskich i zamienić się w zimną, nieprzystępną księżniczkę? Może faceci naprawdę wolą, jak kobieta jest zołą i tylko w takich się zakochują, a potem są im wierni? Pomyślała, że ma na karku trzydzieści pięć lat, a w sprawach uczuciowych nadal błądzi jak licealistka...

– A ja wolę, jak jest w związku jakiś element niepewności –

kontynuowała jej rozmówczynie. – Jak trzeba, przynajmniej raz na jakiś czas, starać się na nowo oczarować partnera, czymś go zaskoczyć. I taki nieco mniej zakochany Sergiusz podobał mi się o wiele bardziej niż ten poprzedni, gotowy zdobyć dla mnie gwiazdkę z nieba. Poza tym miałam wrażenie, że w ogóle przez ten czas, kiedy nie byliśmy razem, zmienił się pod wieloma względami. Kiedy byliśmy razem, miałam u boku chłopca. Teraz zobaczyłam przed sobą mężczyznę.

– I w czym problem?

– Przedwczoraj dowiedziałam się, że Sergiusz popełnił samobójstwo. – Lala wypowiedziała te słowa głosem, w którym pisarka nie poczuła żadnej emocji. – Wskoczył przez okno ze swojego biura.

Róża poczuła, że powinna na to jakoś żywiołowo zareagować. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy lepiej wydać z siebie okrzyk, czy też teatralnym gestem złapać się za serce albo przyłożyć rękę do ust. Zdecydowawszy się na to ostatecznie, zaczęła powoli unosić dłoń i w tym momencie zahaczyła łokciem o filiżankę z latte, zrzucając ją ze stołu. Razem z pełnym autentycznego przestrawu kwikiem, bo w końcu miała na sobie dopiero co kupione jasnokremowe spodnie, wyszło to idealnie i całkowicie naturalnie.

– Teraz rozumiem pani dylemat... – powiedziała, kiedy już posprzątały, a pisarka z ulgą odnotowała, że kawa była uprzejma rozlać się wszędzie, tylko nie na jej nowy zakup. – Ale być może pani partner miał jakieś problemy...

– Nie takie, żeby się rzucać z okna! – zaprotestowała stanowczo Lala. – Rozmawialiśmy dużo o jego życiu. Pracował, nieźle zarabiał. Miał jakieś tam drobne problemy w robocie, ale powiedział, że da sobie z nimi bez trudu radę. A poza tym miał teraz wziąć udział w wyborach Mistera Polonia i miał nadzieję, że je wygra. Mówiono mu, że ma na to spore szanse, największe ze wszystkich kandydatów. Już po pierwszych eliminacjach zgłosiło się do niego kilka firm z propozycjami kontraktów reklamowych.

Opowiadał mi o tym z ogromnym entuzjazmem, widać było, że jest tym bardzo podniecony. Mówił, że jedyne, czego mu brakowało w życiu, to mnie, że nie mógł sobie poradzić z samotnością i tęsknotą. I że teraz, kiedy wszystko ma szansę się między nami ułożyć, czuje się wreszcie w pełni szczęśliwy.

– Kiedy to było? – zapytała Róża. – To znaczy, kiedy się widzieliście?

– W zeszły poniedziałek – odpowiedziała Lala.

– A cztery... – zaczęła pisarka, ku własnej zgrozie uświadamiając sobie błyskawicznie, jaki kretynizm próbowała właśnie popełnić. Przecież jako postronna, niezorientowana w sprawie osoba nie miała prawa wiedzieć, kiedy Sergiusz odebrał sobie życie. W panice zaczęła się zastanawiać, jak ma do licha ciężkiego dokończyć to „cztery”, żeby Lala nie nabrała żadnych podejrzeń – ... dni wcześniej w czasie rozmowy też na nic się nie skarżył?

Jeszcze chyba nigdy w życiu nie myślałam tak szybko – przemknęło jej przez głowę.

– Nie. – Pisarka z ulgą odnotowała, że Lala nie zwróciła uwagi na jej chwilowe zawieszenie głosu. – Wtedy też sprawiał wrażenie zadowolonego i na nic się nie skarżył...

– I co pani podejrzewa? – zapytała Róża. – Bo w końcu nikt nie odbiera sobie życia bez żadnej przyczyny...

– Tak jak pani mówiłam, nie umiem sobie tego wytłumaczyć. – Lala po raz pierwszy w czasie ich rozmowy wyglądała na niepewną siebie i Róża przez moment poczuła nawet dla niej nieco współczucia. – Zastanawiam się nad tym przez cały czas, od kiedy się dowiedziałam. To wszystko wydaje mi się takie surrealistyczne. Zadzwoiłam nawet do mamy Sergiusza, ale przez cały czas tylko płakała w słuchawkę...

– Trudno jej się dziwić – powiedziała Róża. – A czy Sergiusz miał jakichś przyjaciół?

– Miał paru kumpli. Jeszcze z czasów liceum. Pewnie będą na pogrzebie. Ale nie sądzę, żeby coś o nim wiedzieli. Był raczej typem samotnika.

Przez chwilę obie milczały. Róża analizowała uzyskane wiadomości, w duchu żałując, że nie może ich natychmiast przegadać z Pepe i Betty.

– Naprawdę nie wiem, po co to wszystko pani opowiedziałam... – Suchy ton Lali przerwał Róży próbę opanowania chaosu, jaki szalał w jej głowie. – Z reguły nie zwierzam się nikomu z takich spraw i nie mam pojęcia, co mnie teraz naszło. Już tego żałuję...

– Proszę tego nie robić! – zaprotestowała pisarka. – Postaram się pani pomóc...

Lala popatrzyła na nią z wyrazem twarzy będącym mieszaniną zdziwienia i politowania.

– Niby jak? Jest pani medium? Wróżką? – zapytała tonem, który sprawił, że z wolna przekonująca się do niej Róża znów poczuła, że raczej nigdy nie będą przyjaciółkami. – Myślę, że Sergiusz zabrał do grobu tajemnicę swojej decyzji... Choć z drugiej strony... – Róża popatrzyła na nią pytająco.

– Nic, nic... – Lala na moment przestała patrzeć na nią, a jej wzrok powędrował na okno, za którym rozciągał się widok na ruchliwy o tej porze Nowy Świat. – Jest coś, co nie daje mi spokoju. Przez cały czas wydaje mi się, że poza brakiem powodu, jest jeszcze coś, co mi się nie zgadza w samobójstwie Sergiusza. I nijak nie mogę sobie skojarzyć co. Idiotyczne uczucie! No nic, może w czasie urlopu uda mi się to sobie przypomnieć...

– A czy mogę mieć wtedy do pani prośbę? – zapytała Róża.

– Tak...? – powiedziała Lala w zamyśleniu. Pisarka gotowa była założyć się o każdą kwotę, że jej rozmówczyni w ogóle jej w tej chwili nie słucha, ale grzecznie wypowiedziała swoje pytanie:

– Czy mogłaby pani do mnie zadzwonić i powiedzieć, co to było?

Lala nadal wpatrywała się bacznie w widok za oknem, a jej twarz z wolna nabierała dziwnego wyrazu. Tak jakby wypatrzyła tam coś, czego się nie spodziewała. Różę kusiło, żeby się odwrócić i zobaczyć, co tak zaskoczyło jej rozmówczynię, ale nie wiedziała, jak zrobić to na tyle dyskretnie, żeby nie wyjść na wścibską. Wziąwszy pod uwagę, że siedziała tyłem do okna, a przodem do

ściany i Lali, zadanie należało do tych niewykonalnych.

– Przepraszam. – Lala drgnęła i, jakby lekko się ocknąwszy, wróciła wzrokiem do Róży. – Zamyśliłam się na chwilę...

– Prosiłam o to, żeby dała mi pani znać, jeśli sobie przypomni to, co panią tak męczy – powtórzyła Róża i sięgnęła do torebki. – Ma pani mój numer w telefonie, ale na wszelki wypadek zostawię pani jeszcze moją wizytówkę...

– Ale po co pani ta wiadomość? – Lala była zaskoczona, ale wzięła z rąk Róży kawałek tekturki z danymi. Pisarka ucieszyła się, że zawczasu przygotowała sobie odpowiedź na to pytanie.

– Kiedyś jeden z moich przyjaciół też odebrał sobie życie i wtedy wszyscy długo zastanawialiśmy się, co go do tego pchnęło – powiedziała. – Dlatego pani opowieść odebrałam bardzo osobiście. Tak, jak chciałabym się dowiedzieć, czemu nie ma już na świecie Norberta, tak mam nadzieję, że pani odkryje kiedyś, dlaczego zabrakło na nim i pani ukochanego...

A świstak siedzi i zawija moje kłamstwa w sreberka – pomyślała jednocześnie, starając się nie myśleć, że z uśmierconym Norbertem spotkała się nie dalej jak dwa tygodnie temu i nawet bawiła się z jego dziećmi w jakąś przerażająco skomplikowaną grę planszową, polegającą na budowaniu dróg i zamków, stawianiu karczm i klasztorów, w której występowali rycerze, chłopci, opaci, księżniczki, a nawet jakieś potwory. Przez cały czas nijak nie mogła zrozumieć zasad zabawy, co dzieciakom w ogóle nie przeszkadzało, a na koniec została pożarta przez smoka.

– To na pewno nic ważnego – powiedziała Lala. – Ale oczywiście, jeśli tylko pokonam sklerozę, dam znać. A i tak odezwę się do pani po powrocie z urlopu...

Róża, która chciała zapytać, po co, w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nadmiar materiału do rozważań zaczynał ją nieco ogłupiać. Czuła, że musi z kimś to wszystko przegadać. Szybko pożegnała się z Lalą, prawie biegiem wybiegła z kawiarni, dopadła drzwi wyjściowych i sięgnęła po komórkę. Następnie przypomniła sobie dziwny, wbity w okno wzrok dziennikarki i przemierzyła

pędem jeszcze kilka metrów dzielących ją od Nowego Świata. Rozejrzała się uważnie, ale nie odnotowała nic niecodziennego. Lala wpatrywała się w coś przez kilkadziesiąt dobrych sekund, można więc było chyba wykluczyć, że zdziwił ją jakiś przechodzień, bo ci przemierzali ten fragment ulicy, który można było zaobserwować z telewizyjnej kawiarni, o wiele szybciej. Pisarka jeszcze raz potoczyła wzrokiem po otoczeniu. Vis-à-vis okna znajdowała się ciastkarnia, dwie restauracje i sklep z ciuchami. W ciastkarni pisarka wypatrzyła poza obsługą jedynie dwie starsze panie, a w sklepie kilka rozbawionych nastolatek. Nieco uważniej zlustrowała stoliki przed restauracjami, wypełnione o tej porze ludźmi po ostatnie miejsce. Może ktoś z nich przyciągnął uwagę Lali? Róża popatrzyła na trzymany w ręku telefon. Dała go sobie nie tak dawno wcisnąć nachalnemu chłopu z infolinii swojej sieci komórkowej tylko dlatego, że teoretycznie miał mieć genialny aparat fotograficzny. Oczywiście telefon, nie chłop. Wreszcie przyszła pora, aby wypróbować to cudo, które zdaniem zachwalającego zdolne było uchwycić z porażającą ostrością nawet kraterę na Księżycu. Pisarka zrobiła kilka fotek, a następnie wykonała jeszcze dodatkowo zdjęcie panoramiczne. Potem zgrała to na komputer i obejrzała na ekranie, a nuż wypatrzy coś, co wytłumaczy zdumienie Lali. Skończywszy zabawianie się w paparazzi, Krull wystukała na ekraniku numer do Pepe. Oczekała kilka sygnałów, aż doczekała się zgłoszenia poczty głosowej. Z irytacją rozłączyła się, nie nagrywając wiadomości, a następnie spróbowała połączyć się z Betty, osiągając identyczny efekt, co poprzednio. Wkurzona, wygłosiła w duchu kilka niecenzuralnych słów pod adresem swoich współpracowników, po czym wolnym krokiem udała się w stronę swojego domu. Oczywiście, gdyby tylko wiedziała, czym zajmują się w tym momencie jej podwładni, wściekłość na nich minęłaby jej w okamgnieniu...

ROZDZIAŁ X

Pepe i Betty nie próżnują

Obarczona zadaniem wydobywania ze swojego ukochanego kilku tajemnic Betty doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że istnieje tylko jeden sposób, aby wypełnić tę misję. Z rezygnacją w drodze od Róży do domu zrobiła odpowiednie zakupy i, żałując w duchu, że nie poprosiła pisarki o „pożyczenie” na kilka godzin pani Cecylii, przystąpiła do przygotowywania zasadzki kulinarnej. Kiedy Darski późnym popołudniem wrócił z komendy, zastał w salonie ich wspólnego mieszkania nastrojowo zasunięte żaluzje, perfekcyjnie przygotowany i udekorowany stół, a na nim zapalone czerwone świece oraz swój ulubiony boeuf bourguignon i wino Bourgogne Pinot Noir. Z ciekawością obszedł te cuda dokoła, po czym spojrzał z lekkim rozbawieniem na swoją ukochaną, ubraną w jakiś dziwny, bardzo opięty i sprawiający wrażenie piekielnie niewygodnego strój oraz stojącą w, jak jej się wydawało, kusząco seksownej pozie obok rzucającej na nią delikatne różowe światło lampy.

– W porządku – powiedział, zdejmując marynarkę i odsuwając sobie krzesło. – Po pierwsze, jak jeszcze trochę się tak poprzeginasz, to za chwilę trzeba będzie wzywać do ciebie ortopedę albo tego ciecia z dołu, co nastawia ludziom gnaty w zamian za flaszkę. Kiedyś komuś przy tym coś uszkodzi i trzeba będzie go zapuszkować. Mam nadzieję, że nie będziesz jego ofiarą. A po drugie, co chcesz ze mnie znów wywlec...

– Skąd taki pomysł? – zapytała Betty, czując, że od owej seksownej pozy, w której zastygła, kiedy tylko usłyszała dźwięk domofonu, oznajmujący, że mężczyzna jej życia wchodzi właśnie do bloku, z wolna zaczyna ją łupać w dolnej części kręgosłupa, i z ulgą usiadła przy stole naprzeciwko Darskiego. – Dawno nic nie gotowałam i pomyślałam, że zrobię ci przyjemność...

– Pomyślmy... – zastanowił się Krzysztof, sięgając po sztućce. – Kiedy po raz pierwszy zaserwowałam mi boeuf i wino, chciałam się dowiedzieć, za co aresztowałam twojego dawnego nauczyciela plastyki...

– Też byś był tego ciekawy – prychnęła gniewnie Betty. – Facet przez cztery lata, kiedy nas uczył, ani razu nie zmienił garnituru. Zawsze przychodził w tym samym. Mieliśmy nawet teorie, że on go nie zdejmuje tak normalnie, tylko wychodzi z niego jak średniowieczni rycerze ze zbroi. I zachowywał się jak robot. Byłam ciekawa, co mógł narozrabiać. Do głowy mi nie przyszło, że zdejmuje ten garnitur akurat nie wtedy, kiedy trzeba i nie przed tym, przed kim powinien. Nijak nie wyglądał na ekshibicjonistę!

– Idźmy dalej... – Darski nałożył boeuf najpierw ukochanej, a potem sobie, a następnie sięgnął po butelkę wina. – Kolejny raz doczekałam się orgii kulinarnej, kiedy razem z Różą wbiłyście sobie do głowy, że jej sąsiadka z góry zabiła swojego męża...

– Sam byś nabrał takich podejrzeń – zaprotestowała menadżerka. – Już ci to tłumaczyłam tysiąc razy! Ten jej mąż wiecznie jęczał. Ranki i wieczory. Zawsze go było słyhać w łazience, jak stęka. Blok, w którym mieszkała Róża był straszliwie akustyczny, i echo od tych jęków nosiło po całej chałupie, a już w łazience miałeś wrażenie, że dziadzio jest tuż obok ciebie. Nie wiem, czy go ta żona wsadzała do wanny na cały dzień, ale nadawał tam jak stacja radiowa. I któregoś dnia przestał. Myślałyśmy, że umarł, ale nie pojawiła się żadna klepsydra, ani też ta sąsiadka nie zaczęła chodzić w żałobie...

– Jasne. – Westchnął Darski, przełykając boeuf i po maestrii jego wykonania oceniając, że tym razem jego ukochanej musi chodzić o coś naprawdę wyjątkowego. – I dlatego napuściłyście mnie na jakąś Bogu ducha winną staruszkę, która wysłała swojego chorego na astmę i serce męża do sanatorium. Ile myśmy wtedy przeżyli wstydu!

– Oj tam, oj tam... – Betty wzruszyła ramionami. – Zawsze lepiej najeść się trochę wstydu, niż pozwolić, aby psychopatycznej

morderczyni uszło coś na sucho!

– Ona miała osiemdziesiąt osiem lat! – wykrzyknął Darski. – I artretyzm!

– Byłeś ze mną w teatrze na „Arszeniku i starych koronkach”, więc wiesz do czego zdolne są staruszki – przypomniała Betty. – I co? Smakuje ci?

Darski westchnął i pokiwał głową.

– A więc? – zapytał z rezygnacją. – Kogo znów podejrzewacie z Różą o zbrodnię? Wierzę, że to wasza wspólna robota, bo w pojedynkę z reguły tak nie idiociejesz...

– Dzięki... – mruknęła Betty, czując lekki niesmak, że stała się dla swojego partnera aż tak przewidywalna i to zaledwie po niecałym roku, odkąd razem zamieszkali. – Oczywiście, zaznaczę uprzejmie, że nie dlatego stałam dwie i pół godziny przy garach, żeby coś od ciebie wyciągnąć, ale po to, aby ci sprawić przyjemność.

– Oczywiście. – Krzysztof się uśmiechnął. – Częściowo nawet jestem skłonny w to uwierzyć. Tak, umówmy się, że w połowie. Zostaje ta druga... I dobrze ci radzę, żebyś wykorzystała to, że mnie rozbawiłaś. Później może już nie być tak łatwo...

Betty pokazała mu język i dołała wina do kieliszka.

– I nie musisz mnie w tym celu upijać w trupa... – dodał Darski. – A więc? Jak znam życie chodzi o tego nieszczęsnego samobójcę, który rzucił się z okna na widok Róży, prawda? Coście tam znowu wymyśliły?

Betty w kilku słowach i nie wdając się zanadto w szczegóły streściła mu przebieg wizyty Martyny, kompletnie zatajając to, co nastąpiło po niej. Zbytńia szczerłość co do przyszłych planów Róży wydała jej się niepotrzebna, tym bardziej, że mogła wywołać u Darskiego niestrawność. A lepiej, żeby mu się ten boeuf kojarzył przyjemnie. Jak widać, w ten czy inny sposób działał za każdym razem...

– To jakieś bzdury! – powiedział Darski stanowczo, kiedy Betty skończyła swoje zwierzenia. – Nie ma takiej możliwości, żeby to było morderstwo. Przede wszystkim gabinet, w którym siedział

Prokop był zamknięty od środka. Nasza ekipa musiała wyważyć drzwi, bo tam jest taki myk, że jak się zamkniesz od środka, to nie można otworzyć z zewnątrz. Nie ma więc siły, żeby ktoś trzeci wszedł, wypchnął tego Prokopa za okno, a potem wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi. Zapomnij o takiej możliwości. Nie ma też żadnych śladów manipulowania przy zamku. A ostatnie odciski palców, jakie znaleźliśmy na klamce, należą do nieboszczyka. Poza tym są jeszcze ślady po gumie, co jest o tyle naturalne, że sprzątające w tym budynku panie zawsze noszą rękawice.

– A może ktoś go czymś ogłupił, oszołomił? – Nie dawała za wygraną Betty. – Narkotyki? Alkohol?

– Sekcja nic takiego nie stwierdziła. – Darski pokręcił głową. – W jego organizmie nie znaleziono żadnych podejrzanych substancji. Poza środkami nasennymi, owszem dość mocnymi, ale po pierwsze, przyjmował je regularnie, a po drugie w tych czasach wiele osób na nich leci. Nic podejrzanego. Rodzaj obrażeń wskazuje jednoznacznie na upadek z dużej wysokości. Na przegubach ma ślady po wiązaniu, ale z tego, co sprawdziliśmy, ćwiczył boks, więc to pewnie po bandażach pod rękawice. Przyjmijcie więc do wiadomości...

– Przyjmijcie? – przerwała mu Betty. – Zaczynasz do mnie mówić w liczbie mnogiej? Wiem, że teraz jest moda na powrót do PRL-u, ale zapewniam cię, że jeśli zaczniesz do mnie mówić „towarzyszko Jankowska, chodźcie do łóżka”, to seksu tam nie będzie...

– Miałem na myśli ciebie i Różę – wyjaśnił Darski z niewinną miną. – Przyjmijcie więc do wiadomości, że jeśli tylko nikt tego waszego nieboszczyka nie zahipnotyzował, to mamy do czynienia z klasycznym samobójstwem. Nie wiem zresztą, skąd się wzięły wasze wątpliwości. Róża przestała dowierzać własnym oczom?

– Przecież widziała tylko moment, gdy coś spadało! Kątem oka! – zaprotestowała Betty, pomna wersji, którą jej pracodawczyni przedstawiła policji. – Nawet nie miała czasu zorientować się, czy to człowiek...

– Jaaasne. – Darski uśmiechnął się i puścił do niej oko. –

Następnym razem, proszę, zwróć jej jakoś delikatnie uwagę, że jako autorka powieści kryminalnych powinna nieco bardziej uważać na poszlaki...

– Co masz na myśli?

– Poszlaka numer jeden, profesjonalna lornetka myśliwska, trzymana, nie wiedzieć z jakiego powodu, na balkonowym stoliku – powiedział Krzysztof, nabierając sobie na talerz kolejną porcję boeufa. – Podejrzewam, że Róża raczej nie wypatrywała lisa ani zająca w centrum Warszawy, a miała na oku nieco inną zwierzynę. Poszlaka numer dwa, maseczka buraczana na twarzy i turban na głowie. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale chyba żadna kobieta nie wybiegłaby z domu i nie pokazała się komukolwiek na oczy, gdyby nie stało się coś wstrząsającego i dramatycznego. Gdyby, jak to mówisz, zauważyła kątem oka, że coś gdzieś zleciało, raczej najpierw by się ogarnęła, a potem poszła sprawdzić, co to takiego. I wreszcie poszlaka w postaci, jak to określili świadkowie, kwiku zarzynanego prosięcia, rozlegającego się po całej okolicy przez kilkanaście sekund, zbieżnego w czasie z chwilą samobójstwa Prokopa. Mój wniosek? Róża obserwowała nieboszczyka przez lornetkę tuż przed jego śmiercią i była świadkiem tego, jak popełnia on samobójstwo. Mam rację?

Betty milczała, rozważając w duchu, czy zaprzeczenie ma jakikolwiek sens.

– Jeśli chcesz mieć czyste sumienie, to możesz mi tego nie potwierdzać – powiedział wesoło Darski. – Ale sama dobrze wiesz, że gdyby nie fakt, że jesteśmy absolutnie pewni, że to było samobójstwo, to wyciągnęlibyśmy z Róży prawdę w ciągu kilku minut. A jakbym sam ją przesłuchiwał, to nawet kilkudziesięciu sekund...

– Samochwała – mruknęła Betty, po czym lekko odetchnęła i wreszcie napiła się trochę wina. – Żadna z nas nie zwariowała, ale powinieneś posłuchać tej dziewczyny. Była naprawdę bardzo sugestywna. I nadal nie do końca rozumiem, dlaczego ten facio popełnił samobójstwo. Z jej relacji wynikało, że nie miał żadnego

powodu.

– Zasada jest taka, że jeśli nie mamy żadnych wątpliwości, że coś było samobójstwem, a nie morderstwem, to raczej nie zagłębiajmy się w szukanie przyczyny – wyjaśnił Darski. – Chyba że nalega na to rodzina, ale w tym przypadku nic takiego nie miało miejsca. Mama Prokopa powiedziała, że jej syn od dziecka miał skłonności do huśtawki nastrojów, że przechodził niedawno depresję, uczęszczał na psychoterapię i że ona sama bardzo się o niego od dłuższego czasu martwiła. Nie grzebaliśmy w tym głębiej. W przypadku części samobójstw i to zdziwiłabyś się jak dużej, ich prawdziwa przyczyna schodzi do grobu wraz z osobami, które zdecydowały się na taki czyn. Smutne, ale prawdziwe.

Betty uznała ich dyskusję za zakończoną i zaczęła jeść szybciej. Była pewna, że za chwilę jej ukochany przypomni sobie, że poza podnieętą kulinarną przygotowała dla niego też i inną. W końcu to właśnie po to wbiła się w strój, w którym co prawda czuła się jak spętana krowa, ale i wiedziała, że jest on wyjątkowo miły dla męskiego oka. Spojrzała na Krzysztofa, aby zorientować się, czy zdąży jeszcze przed igraszkami erotycznymi dolać sobie wina, i dopatrzyła się w jego wyrazie twarzy czegoś zastanawiającego.

– Taaaak? – zapytała nieco zdziwiona, bo nie spodziewała się tego wieczoru już żadnych rewelacji, no może poza tymi innej natury niż werbalna.

– Są dwa drobiazgi, związane z tym samobójstwem – powiedział niechętnie Krzysztof – które mnie trochę niepokoją. Znasz mój perfekcjonizm...

Betty ostatkiem sił powstrzymała się przed skorygowaniem ostatniego słowa i stwierdzeniem, że lepsze byłoby „upierdliwość”. Skoro już Krzysztofowi zebrało się na wyznania, to nie należało go w tym hamować. Z reguły częściej niż jej zwierzał się swojej mamie, co, nie da się ukryć, czasem mocno ją irytowało. Bo choć uwielbiała starszą panią Darską nad życie, to uważała, że jednak powinna być dla swojego ukochanego pierwszym konfesjonałem. I czasem tylko w przypiływie trzeźwości umysłu sprawiedliwie

przyznawała, że mama Krzysztofa żyła jego opowieściami, pasjonowała się nimi i każdą bardzo przeżywała, podczas gdy ona sama większość uważała za przerażające nudziarstwo i najczęściej wpuszczała je jednym uchem, żeby natychmiast wypuścić drugim. Niemniej jednak, skoro teraz przydarzyła się okazja, aby choć raz dowiedzieć się czegoś wcześniej, postanowiła jej nie psuć. Na wszelki wypadek przestała nawet jeść i wstrzymała oddech.

– Chcieliśmy sprawdzić nagranie z miejsca tragedii – powiedział Krzysztof w zamyśleniu. – Ale okazało się, że umieszczona na budynku kamera jest popsuta. Nie ma w tym w sumie nic dziwnego, bo one na okrągło się psują albo są niszczone, a akurat ta była dewastowana wiele razy, bo tam z boku działał kiedyś klub nocny i co parę dni ktoś tę kamerę niby to przez przypadek niszczył. Jednak fakt jest faktem, że tego wieczoru nic nie zarejestrowała. I druga sprawa, jeszcze dziwniejsza... Tego wieczoru, kiedy przesłuchiwaliśmy świadków, młodszy aspirant zapomniał wziąć podpis pod zeznaniami od ochroniarza, który znalazł zwłoki. To znaczy on twierdzi, że wziął, ale na protokole go nie ma. To młody chłopak, ten aspirant, i trochę roztargniony. Ale ma też dobre oko i fotograficzną pamięć. Wezwaliśmy ochroniarza, żeby się do nas zgłosił i uzupełnił podpis. I ten aspirant chodził potem jak struty przez pół dnia. W końcu zwierzył się komuś, że ma wrażenie, że zaczyna mu się mieszać w głowie. Bo ten facet, który przyszedł się podpisać, niby wyglądał identycznie jak ten, którego przesłuchiwał, niby miał taki sam głos, twarz, uczesanie, posturę i wszystko inne, ale on ma wrażenie, że to nie była ta sama osoba. I że chyba już mu ta praca rzuca się na głowę...

Betty poczuła, że od wstrzymywania oddechu zaczyna jej się kręcić w głowie. Czym prędzej zaczerpnęła więc haust powietrza.

– I co podejrzewasz? – zapytała.

– Sam nie wiem – powiedział Darski. – Rozum mówi mi, że nie ma w tym nic podejrzanego. Aspirant powinien się przede wszystkim wyspać, bo ostatnio brał tyle nadgodzin, że każdy na jego miejscu słabowałby na umyśle z przemęczenia, a zepsucie się

kamery to żadna sensacja. Ale...

– Ale...?

– Ale, jak wiesz, lubię mieć stuprocentowo czyste sumienie – powiedział Darski. – A w tym przypadku nie mam jednak pewności, że dopełniłmy wszystkiego tak, jak należało...

* * *

W tym samym czasie kilkanaście kilometrów dalej, tuż nad Wisłą, w wielkiej sali restauracji „Ale-Gra”, położonej nieopodal Centrum Olimpijskiego, Pepe, dzielnie walcząc z towarzyszącym mu od wczoraj bólem brzucha, usiłował ugasić kilka pożarów, które wybuchły w czasie bankietu dla organizatorów oraz uczestników gali Mister Polonia tudzież ostatkiem sił hamował się przed zabiciem swojej szefowej. Maria Tycjan szalała po kuchni niczym jakiś niemożliwy do opanowania żywioł, tajfun albo tornado, nasuwając wszystkim obserwującym ją nachalną myśl o tym, że właśnie przeżywają zapowiedzianą w Biblii apokalipsę.

– To są gęsi?! To są gęsi?! – piekliła się do trzech bardzo wystraszonych młodych kucharzy. – Zdechłactwa to są! Kalectwa! Miały być owsiane, a są gówniane! Peeepe-eee!

– Przecież stoję obok, po co to tak krzyczeć? – powiedział nieco wściekłym głosem Paweł. – I nie widzę w tych gęsiach nic złego...

Maria teatralnym gestem złapała się za głowę, na której dzisiaj miała tyle loków, że nawet świętej pamięci Violetta Villas sprawiałaby przy niej wrażenie lekko łysawej.

– Oślepieś?! Przecież one wyglądają jak gołębice – oznajmiła płaczącym tonem, od którego Pepe zawsze cierpła skóra. – Albo wróble. Kurczaki przy nich to olbrzymy. Giganty! Skąd ty je wytrzasnąłeś?!

– Z Kołudy – wyjaśnił Paweł, nie rozumiejąc zarzutów swojej pracodawczyni, bo gęsi prezentowały się całkiem normalnie, i dumając, czy aby Maria nie pomyliła ptactwa i nie chciała na ten wieczór zaserwować indyków, pelikanów albo wręcz strusi. – Przysięgali, że przyślą nam najlepsze...

– To ta Gessler! – powiedziała Maria, kładąc sobie drugą rękę na sercu. – Ona mnie wykończy. Na pewno dowiedziała się o moim bankiecie, pojechała tam i zabrała wszystkie najlepsze sztuki. I pewnie je od razu tam pożarła! I teraz muszę podać te kościste wypierdki. Przecież one w ogóle nie mają mięsa! A to co?!

Pepe potoczył wzrokiem za jej palcem wskazującym.

– Sos do gęsi – wyjaśnił, nieco zaskoczony brakami w kulinarnej edukacji swojej pryncypałki. – Tradycyjny, staropolski, z mąki pszennej i słodkiej śmietany.

Maria wyglądała tak, jakby zaraz miała zemleć.

– Przecież to przypomina wydzielinę z nosa! – jęknęła. – Chcesz powiedzieć, że jako główne danie zaserwujemy dzisiaj gnaty w glutach?! Padnę zaraz na serce! Wykończycie mnie wszyscy!

Ponieważ jego pracodawczyni zaczęła podejrzanie czerwienieć na twarzy, Pepe czym prędzej sięgnął po swoją komórkę i zadzwonił do jej córki. Z Bernadettą Tycjan polubili się od pierwszego spotkania, co było o tyle łatwe, że już mniej więcej po kwadransie rozmowy zaczęli się zgadzać w swoich opiniach o Marii. Teraz też zrozumieli się po wymianie zaledwie kilku słów. Bernadetta, która prowadziła swoją własną kawiarnię na Starówce, pojawiła się w „Ale-Grze” w ciągu paru minut. Nieomal przemocą wyciągnęła mamę z kuchni, gdzie ta najwyraźniej próbowała dorobić się pierwszej grupy inwalidztwa, dotykając gorących garnków, mając swoimi łatwopalnymi lokami nad palnikami z ogniem oraz próbując pociąć się wszystkimi napotkanymi na drodze co ostrzejszymi narzędziami kuchennymi, i udała się z nią na drinka w towarzystwie głównego organizatora wyborów najprzystojniejszego Polaka. Oddawszy swoją chlebobawczynię w ręce jej latorośli i zapewniwszy solennie, że ze wszystkim sobie bez problemu poradzi oraz wymieni rażąco jej wzrok sos na inny, Pepe lekko odetchnął. Gnębiło go co prawda to, że z powodu swoich żołądkowych dolegliwości nie może próbować wychodzących z kuchni potraw, a z drugiej strony miał o tyle czyste sumienie, że po pierwsze, wszystkie gotowane były pod jego okiem i według

przygotowanych przez niego receptur, a po drugie, miał pełne zaufanie do kucharzy. Jeszcze raz zlustrował wszystkie przygotowania uważnym wzrokiem i, pomny obietnicy danej Róży, udał się na salę, gdzie powoli zaczynali się zbierać zaproszeni przystojniacy, sponsorzy i przedstawiciele mediów. Z całego tego grona ze zdziwieniem wyłowił znaną mu od lat Anię, redaktor naczelną Największego Portalu Czytelniczego.

– Co ty tu robisz?! – zapytał zdziwiony, podchodząc do niej i całując na powitanie w policzek. – Przebranżowiłaś się?!

– No co ty! – Roześmiała się Ania. – Jestem tu jako tak zwana osoba towarzysząca. Finał konkursu odbywa się u nas, w Poznaniu, i moja przyjaciółka jest szefową firmy, która wzięła patronat prasowy nad tą imprezą. Bardzo mnie prosiła, żebym z nią przyjechała, bo nie chciało jej się jechać samotnie, a jej facet, jak usłyszał, z jakiej okazji jest ten bankiet, to powiedział, że już prędzej wyciągnęłaby go na mistrzostwa świata emerytek w tańcu synchronicznym niż ten zlot lalusiów...

– Jak znam życie, to długo cię namawiać nie musiała – stwierdził Paweł. – Sami przystojniacy. Róża dostałaby tu takiego ślinotoku, że ktoś musiałby za nią chodzić z mopem i wycierać...

– A co u niej? Otrząsnęła się już po tym, jak zdziesiątkowano jej konkurencję w Krakowie? Cały czas wydaje mi się dziwne, że to jednak nie ona okazała się psychopatyczną zabójczynią...

– Chyba nie do końca wróciły jej władze umysłowe, bo węszy kolejne morderstwo. – Westchnął Paweł i w kilku zdaniach streścił Ani ostatnie wydarzenia. Ku jego zdziwieniu ta nie wydawała się ani zaskoczona, ani rozbawiona wizjami pisarki.

– Kiedy Karolina zaczęła mnie namawiać, żebym z nią tu przyjechała, a to już było kilka tygodni temu, przejrzałam listę kandydatów, a potem nawet obejrzałam ich wideo wizytówki – powiedziała z namysłem. – Chciałam tylko zobaczyć, czy do takiego konkursu zgłaszają się takie same młotki, jak do tych wszystkich telewizyjnych programów typu „Chłopaki do wzięcia” i „Rolnik szuka żony” czy raczej zakochane w sobie gogusie jak do „Top

Model”.

– Oczywiście, że chciałaś zobaczyć tylko to... – Paweł puścił do niej oko.

– Oj tam, oj tam... W każdym razie ten wasz samobójca, Sergiusz, dobrze pamiętam?

– Tak.

– Więc on wpadał w oko od pierwszego spojrzenia. I wyglądał z nich wszystkich najlepiej, i mówił o czymś więcej niż tylko o siłowni i o tym, jakie laski lubi wyrywać w klubie. Miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że od razu czułeś do niego sympatię. I powiem ci, że nawet się trochę zmartwiłam, kiedy dowiedziałam się o jego samobójstwie. Niby nie znałam faceta, a zrobiło mi się go szkoda. I powiadasz, że Róża chce odkryć, dlaczego skończył ze sobą? Ciekawe...

– Róża ma czasem odchyły od normy, sama przecież wiesz... – Paweł wzruszył ramionami. – Zrobi wszystko, żeby tylko nie pisać nowej książki. Jej wydawca jest bardziej cierpliwy od Szymona Słupnika...

– A swoją drogą, spróbujmy na chwilę założyć, że to nie było samobójstwo... – zamyśliła się Ania.

– O, nie! – jęknął Paweł. – I ty, Brutusie, przeciwko mnie?!

– Ostatnio przeczytałam jednym ciągiem dwanaście nowych książek Remigiusza Mroza i mam pobudzony zmysł łowiecki niczym ogar albo inny wyżeł. – Ania się uśmiechnęła. – Wyobraźmy sobie, że jednak to było morderstwo i że zabił go ktoś z jego kontrkandydatów do tytułu mistera. Popatrz, mamy ich tu wszystkich jak na dłoni, a ja sporo o nich wiem dzięki Karolinie, która była z nimi na dwóch zgrupowaniach. O, na przykład, popatrz na tego dzieciaka. Wygląda, jakby nie umiał zliczyć do dwóch. I, co zabawniejsze, tak właśnie jest! Liczy za niego mamusia, ta utapirowana ruda wydra, która stoi obok sałatki z owoców morza, nakłada ją sobie, wyciąga wszystkie krewetki, a resztę ukradkiem wrzuca z powrotem. Zrobiła już tak na moich oczach dwa razy, myśląc, że nikt tego nie widzi. Ma na imię

Manuela, a jej syn to Sebastian. Zdaje się, że on nawet na siusiu musi mieć jej pozwolenie. Chłopak jest tresowany jak mała foka w cyrku. A mamusia robi wszystko, żeby synek podbił serca publiczności i jury. Karolina mówiła, że na pierwszym zgrupowaniu w dość mało zawołowany sposób dała jej do zrozumienia, na jak duże „podziękowanie” może liczyć, jeśli spojrzy na jej pociechę bardziej przychylnym okiem niż na jego konkurencję. Z tego, co o niej wiem, nie zawahałaby się ani chwili, żeby sprzątnąć kogoś, kto stoi jej synowi na drodze do korony...

– Żartujesz?! – Paweł był zszokowany. – Nie wiedziałem, że takie zabawne zawody budzą tyle namiętności...

– No, proszę cię... – prychnęła Ania. – Za nimi idą kontrakty reklamowe, pieniądze, wyjazdy zagraniczne. Jak się dobrze ustawisz, możesz sobie na długo zapewnić całkiem miłe życie. A poza tym nie zapominajmy o sławie. Poznawaniu gwiazd, zaproszeniach na imprezy. Zdaje się, że pani wydrze właśnie na tym zależy najbardziej, bo pieniędzy to ona akurat ma pod dostatkiem.

– Czyli syn ma być taranem, który wyważy dla niej drzwi do show-biznesu?

– Jak ty to poetycko ująłeś. – Ania pokiwała głową. – Przebywanie z Różą zaczyna ci szkodzić...

– Bo to od dzisiaj? – mruknął Pepe.

– Jakby tego nie ująć – Ania wróciła do głównego wątku – tak ma właśnie być. Syn ma zdobyć koronę, a ona pławić się w glorii matki najprzystojniejszego Polaka...

– Ty, słuchaj, a z innymi konkursami też tak jest?! – zaciekawiał się nadal zaskoczony Paweł. – Bo przecież na wyborach Miss Polonia nikt się nie mordował, a zaczęli je organizować o wiele wcześniej...

– Nie zakładamy na serio, że ktoś tu kogoś zabił! – przypomniwała mu Ania. – Po prostu się bawimy, zanim zacznie się część oficjalna i zaśniemy. Ten facio, który to organizuje, ma zero talentu do przemówień, ale jest zakochany w sobie i swoim głose. Uprawia

coś, co na swój własny użytek nazwałam krasomówczym onanizmem. Jak zacznie, to nie umie skończyć. Na trzeźwo tego nie przetrwamy...

Mówiąc to, skinęła na roznoszącego drinki kelnera. Wzięła z jego tacy dwa mohito. Jedno chciała podać Pawłowi, ale ten stanowczym ruchem odmówił.

– Od wczoraj mam problem z żołądkiem – wyjaśnił przepraszająco. – Musiałem się czymś zatruć...

– A co, Róża coś ugotowała? – zażartowała Ania, sprawiając, że w głowie Pepe pojawiło się nieprzyjemne podejrzenie. – Dobra, wypiję za nas dwoje, przyda się przed przemową. Lećmy dalej. Widzisz tamtego faceta w rogu, tam, gdzie jest najjaśniejsze światło. To, mój drogi, naczelnym narcyz w tym pomieszczeniu. Oczywiście, nie licząc ciebie...

– Wypchaj się...

– Nazywa się Jakub Perchuć. Stoi sam, bo nikt go nie lubi. Ale to mu nie przeszkadza, bo on sam lubi siebie ponad miarę. Krąży o nim nawet dowcip. „Co oznacza idealny seks dla Jakuba? Gdy ma erekcję do środka”.

– Jesteś okropna! – powiedział Paweł z lekkim obrzydzeniem.

– To nie ja! – zaprotestowała Ania. – Sprzedaję tak, jak kupiłam. W każdym razie Jakub też jest zdeterminowany, żeby zdobyć tytuł, bo, jak głosi wieść gminna, właśnie urwała mu się główna sponsorka. Teraz biedak musi sam płacić za swój apartament i ciuchy, które kupuje tylko w Vitkacu i butikach projektantów, bo przecież nie będzie kałał swoich modrych oczu widokiem pospólstwa, tłoczącego się w sieciówkach.

– Sponsorka...?

– Uhm. – Ania znacząco pokiwała głową. – Nasz Jakubek jest jak galerianka, tylko bez podkolanówek, warkoczyków, tipsów i tornisterka na plecach. Kogo my tu mamy jeszcze? Popatrz na młodzieńca pod oknem. Zwą go Mario.

Pepe posłusznie skierował wzrok we wskazanym kierunku.

– Strasznie opalony – stwierdził. – Zasnął w solarium czy wrócił

z Afryki?!

– Ani to, ani to. – Ania pokręciła głową. – Tona kosmetyków. Ów miły młodzian prowadzi bloga o makijażu. Dla facetów!

– Ja pierdolę... – wyrwało się szczerze Pawłowi. Nieco się przy tym zaczerwienił. Rzadko klął, a jeśli już to co najwyżej pod nosem, a nie publicznie.

– Jak obejrzysz jego filmy na YouTube, to użyjesz wielu równie barwnych sformułowań. – Roześmiała się Ania, rozbawiona miną swojego rozmówcy. – Acz są osoby, które z jego filmów sporo się uczą. Na przykład ja. Mario jest też tutaj pierwszym plotkarzem i gdybyś chciał się czegoś dowiedzieć, to właśnie on jest podstawowym źródłem informacji o całej reszcie tej ferajny. Ten przy nim, jedzący sałatkę z owoców morza, to Marek Krawczyk. Przyjechał do Warszawy ze świętokrzyskiego. Pracuje jako ochroniarz. Ponoć co tydzień przyjeżdża do niego ktoś z rodziny, żeby skontrolować, czy w tej Sodomie i Gomorze, za jaką w jego rodzinnych stronach uważa się stolicę, nie dopadł go już gender i czy w związku z tym nie stacza się moralnie. A teraz popatrz na dwóch panów, siedzących przy stole. Nazywam ich kwadrat i trójkąt. Jak wstaną, to zrozumiesz dlaczego. Jeden z nich ma na imię Wasyl i grozi mu deportacja na Ukrainę. Pochodzi z Krymu, udało mu się nawiać w ostatniej chwili przed wkroczeniem Sowietów i aneksją. Jest tak bardzo zmyślny, że podobno zanim otrzymał nasze obywatelstwo, załatwił sobie lewy dowód i teraz mogą mu odebrać prawo do nazywania się Polakiem. Prawie nikt o tym nie wie, a i Karolina dowiedziała się przez przypadek, bo ma przyjaciółkę w urzędzie do spraw uchodźców. Jeśli wygra konkurs, to organizatorzy zrobią wszystko, żeby ów fakt zatuszować i zalegalizować jego pobyt tutaj jako praworządnego obywatela Rzeczypospolitej, a i nasze władze nie będą ryzykowały skandalu. Już i tak mamy fatalną opinię na świecie. Ale jeśli przegra, to ma przechlapane. Myślę, że jest nieco zdesperowany. A obok niego siedzi Roland Zdunek. Informatyk, ale chętnie zmieniłby zawód. Chodzi na zajęcia aktorskie. Dziwne, bo Karolina twierdzi, że facet

jest geniuszem w swoim fachu. Ten konkurs to jego ostatnia szansa. Za rok nie będzie mógł wziąć udziału z powodu wieku. Podobno firma odzieżowa Mankiecianka uzależniła podpisanie z nim kontraktu, w dodatku bardzo lukratywnego, od tego, czy zdobędzie tytuł mistera. Kogo my tu mamy dalej...? O, tam pod ścianą stoi też ciekawy przypadek...

Jej słowa przerwał gong zapowiadający rozpoczęcie oficjalnej części wieczoru. Paweł przeprosił Anię i dyskretnie wycofał się do kuchni, żeby dyrygować podawaniem gorących posiłków, które właśnie w tym momencie powinny zostać przeniesione do sali głównej. Choć inne firmy trzymały dania w podgrzewanych bemarkach całymi godzinami przed imprezą, on nie szedł na taką łatwiznę. Co świeże dania, to świeże! Kilku kelnerów zaczęło się uwijać, transportując spostonowane wcześniej gęsi, wegetariańskie dania z tofu, ziemniaki, bigos, szaszłyki, warzywa, sosy... Pepe pilnował wszystkiego, starając się mieć oczy dokoła głowy i bardzo żałując, że nie może się skłonować i występować w kilku postaciach. Jednym uchem słuchał, faktycznie nudnawej i wygłaszanej bez cienia charyzmy, przemowy Dariusza Nowickiego, byłego modela, a obecnie właściciela agencji „Herkules”.

– Minutą ciszy uczcijmy pamięć naszego drogiego przyjaciela Sergiusza Prokopa, z którego tragiczną śmiercią nigdy się nie pogodzimy...

Paweł kątem oka zaobserwował, jak jeden z ubranych w elegancki garnitur młodzieńców wstaje z krzesła, podchodzi do bemarka i nakłada sobie porcję gęsi.

– ...zawsze był koleżeński, uczynny, miły...

Przy gorących posiłkach stało już trzech kandydatów do tytułu najprzystojniejszego. Może i byli atrakcyjni fizycznie, ale i z pewnością niezbyt dobrze wychowani i taktowni.

– ...znaliśmy go nie tylko jako dobrego kumpla, ale i człowieka, który nie bał się odważnych czynów...

Przy bemarkach kręciło się już kilkanaście osób. Przemowy

Nowickiego grzecznie na swoich miejscach słuchali już tylko sponsorzy oraz nieliczni dziennikarze.

– ...bez niego ten konkurs nie będzie taki sam, ale zrobimy też wszystko, aby patrząc z góry, mógł być z nas dumny...

Sondując miny kosztujących potrawy gości, Pepe z zaskoczeniem zobaczył, jak młodzieniec, który jako pierwszy zaczął konsumować owsiane gęsi, odkłada talerzyk i z ręką na brzuchu szybkim krokiem wychodzi z sali. Dziwne...

– ...poproszę więc teraz o chwilę zadumy...

Dwie kolejne osoby z dziwnym wyrazem twarzy opuściły salę. Pepe zrobił kilka kroków w stronę wyjścia, aby usłyszeć, jak jedna z nich pyta stojącą w korytarzu hostessę o drogę do toalety. Chyba nie było najlepiej... Pepe wrócił na salę dokładnie w tym momencie, kiedy panującą tu podniosłą chwilę ciszy zakłócił jednoznacznie brzmiały odgłos. Oczy wszystkich obecnych na sali zwróciły się w stronę stolika, przy którym jeden z przystojniaków zwracał właśnie w dość gwałtowny sposób zawartość swojego przewodu pokarmowego. Po chwili w jego ślady poszedł kolejny, a następnie – o zgrozo! – siedząca za głównym stołem Maria Tycjan, która na szczęście miała w pobliżu kosz na śmieci i zdążyła zrobić tych kilka kroków, aby z niego skorzystać. Po chwili na sali zapanowało prawdziwe piekło...

ROZDZIAŁ XI

Trutka na gryzonie

– Fosforek cynku? – Róża patrzyła na Pepe ze współczuciem pomieszanim z oszołomieniem. – Pierwszy raz o czymś takim słyszę! Arszenik, cyjanek potasu, strychnina, owszem. Sama używam ich notorycznie w swoich powieściach. Ale takie чудо... Co to właściwie jest?

– Proszek do robienia trutek na szczury – powiedział Paweł, wcześniej ustawiony przez pisarkę do pionu za pomocą dwóch kieliszków znakomitej nalewki z melisy i malin, stworzonej przez jej mamę według tajnej receptury przekazywanej w rodzinie z pokolenia na pokolenie. – Ciemnoszary, prawie bezsmakowy. Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął...

– Ponoć znaleziono go w kilku potrawach – powiedziała Betty. – Wszędzie w ilościach, które nie powinny powodować zgonu, ale co najwyżej wymioty, ból żołądka, biegunkę...

– A jednak... – zaczęła Róża, ale szybko przerwała, widząc zmieniający się z wolna wyraz twarzy Pawła.

– To wszystko moja wina... – jęknął PR-owiec, pociągając nosem tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem. – Gdybym wszystkiego dopilnował, gdyby nie bolał mnie żołądek, gdybym osobiście spróbował każdej potrawy...

Pisarka czym prędzej uzupełniła kieliszek Pepe i niemal przemocą zmusiła go, aby wypił jego zawartość. Czowała narastające z każdą chwilą wyrzuty sumienia, bo w końcu to ona odpowiadała za stan Pawła w czasie bankietu. Sama też skosztowała dzieła swojej rodzicielki, zauważając przy okazji, że babciny przepis został przez nią nieco ulepszony. Zmiany polegały głównie na modyfikacji proporcji roślin i alkoholu. Teraz był to właściwie czysty spirytus ze śladową ilością pozostałych składników. Tak czy siak, nawet w rujnującej wątrobie postaci nalewka powinna spełnić

swoje podstawowe zadanie – ukoić nerwy osób ją pijących.

– Nie masz, co tak gdybać – powiedziała stanowczo. – Co się stało, to się nie odstanie. Nic już teraz nie zmienisz.

– To nie twoja wina, że chłopak miał problemy z układem krążenia – pocieszyła Pawła Betty. – Gdyby nie to, pewnie by przeżył.

Pepe znów jęknął i schował twarz w rękach. Róża posłała swojej menadżerce gniewne spojrzenie. Ta wzruszyła ramionami i rozłożyła bezradnie ręce.

– O święty Barnabo, coże pan płacze?! – W pokoju pojawiła się Cecylia, niosąc paterę z ciastem i kilka talerzyków. – Mężczyzna nie powinien się mazać jak jakaś panna. Zaraz pan sobie zje malutki kawałeczek czegoś słodkiego i humor od razu będzie lepszy...

Podeszła do Pawła, postawiła przed nim jeden z talerzyków, po czym odkroiła „malutki kawałeczek” w postaci około ćwiartki dość imponująco prezentującego się wypieku.

– A czemu Barbaro? – zdziwiła się Betty, dumając przy tym, czy taka porcja ciasta nie jest aby większa od żołądka Pawła.

– Nie Barbaro, tylko Barnabo – pouczyła ją Cecylia. – To patron płaczących i smucących się. Niósł pomoc głodującym w Judei, jeszcze za Cesarstwa Rzymskiego. Pojechał też nawracać niewiernych na Cyprze, ale ci w ogóle nie dali mu dojść do słowa, tylko od razu na wszelki wypadek ukamienowali. Moja noga nigdy u tych dzikusów nie postanie!

– Podejrzewam, że przez dwa tysiące lat Cypryjczycy trochę się jednak ucywilizowali – powiedziała Róża. – Dziękujemy, pani Cecylio. Jeśli pani chce, to może sobie pani już zrobić wolne.

– A dziękuję, dziękuję – ucieszyła się staruszka. – Akurat zbliża się osiemnasta, to zdążę jeszcze na mszę do świętej Barbary. O, właśnie! Barbary! Tylko zjedzcie, kochani moi, ciasto, bo jutro już będzie niedobre. Dodałam wam tam coś, co nastrój poprawi i smutki pozwoli łatwiej przegonić precz.

Uśmiechnęła się tajemniczo i wyszła z pokoju. Przez kilka sekund

kręciła się jeszcze po kuchni, po czym opuściła mieszkanie Róży.

– Ciekawe, co miała na myśli... – zastanowiła się Róża, sięgając po paterę i nieco podejrzliwym wzrokiem lustrując ciasto upieczone przez gosposię. – Mam tylko nadzieję, że nie naszprycowała tego marihuaną ani żadnymi grzybkami halucynogennymi.

– Ukrój i mi trochę – poprosiła Betty. – W sumie to mi już wszystko jedno. I tak to, co przeżywamy od przedwczoraj, wydaje mi się jednym wielkim snem wariata.

– A co na to Krzyś i jego koledzy? – zapytała Róża. – Nadal uważają, że to wszystko przypadek? Wyciągnęłaś od niego jakieś przydatne informacje?

Betty przypomniała sobie ostatnią rozmowę ze swoim ukochanym, zakończoną, a i owszem, bardzo przydatną informacją o treści: „I jak mi się znów zaczniecie wtrącać w śledztwo, to osobiście wszystkich was zamknę w mamrze!”, którą jednak postanowiła nie dzielić się ze swoimi przyjaciółmi.

– Z tego, co wiem, oficjalnie uznano to całe wydarzenie za przypadek zbiorowego zatrucia – powiedziała ostrożnie. – Sprawa zostałaby umorzona, ale ponieważ jeden z chłopaków zmarł, potrwa to dłużej...

– Ale skąd ten cynek tam się wziął?! – spytała Róża.

– Fosforek – poprawiła Betty. – Podobno był tam od zawsze. Ta restauracja jest tuż nad Wisłą, na terenach, gdzie zawsze było pełno gryzoni. Walczono z nimi różnymi sposobami. Jednym z nich były trutki. Jest taki środek, który zwie się „Zatrute ziarno”, oparty właśnie na tej truciźnie. Był stosowany przez dłuższy czas, ale ponieważ zmyślne zwierzątka nauczyły się go omijać szerokim łukiem, więc ktoś wpadł na pomysł, żeby zdobyć trochę fosforu w czystej postaci i dodawać go do kawałków sera i innych frykasów, a potem zostawiać to na wabia dla gryzoni. Ponoć dopiero to okazało się skuteczne...

– Aż za bardzo! – jęknął Pepe.

– I ten fosforek tam się walał po kątach – dokończyła Betty, po czym popatrzyła na Pawła. – Dziwię się, że o tym nie wiedziałeś...

– Ja tam pracuję dwa dni z dzisiejszym, przecież sama wiesz! – wyjaśnił Pepe. – Nikt mi nigdy nie powiedział o przechowywanych w kuchni truciznach. Przecież od razu kazałbym to wynieść do jakiegoś innego pomieszczenia!

– No dobrze, ale ja nadal nie rozumiem, jak ta trucizna trafiła do potraw – powiedziała niezadowolona Róża. – Sama przeszła, bo się znudziła miejscem w szafce?!

– Tego nikt nie rozumie – wyjaśniła Betty. – Według jedynej osoby, która pracowała w restauracji w czasie wojny ze szczurami, fosforek najpierw leżał w jednej z dolnych szafek w opakowaniu z trupa czaszką, żeby nikt go z niczym nie pomylił. A potem, gdy okazało się, że gryzoni już nie ma, wyrzucono go na śmietnik. Ale chyba nie wszystko poszło zgodnie z planem, bo teraz znalazł się na górnej półce, tuż obok pojemnika z ziołami prowansalskimi. Kucharze nie dają sobie nic obciąć, czy sięgając po zioła, nie dosypali tu i ówdzie trochę fosforu. Twierdzą, że raczej wydaje im się to mało prawdopodobne, niemniej jednak mogło się tak przydarzyć. Podobno w kuchni było ogromne zamieszanie, nerwowa atmosfera i wszyscy uwijali się jak w ukropie. Aż tak ich poganiałeś?!

– Jasne, ja! – oburzył się Pepe. – To ta włochata wywłoka!

– Tak przypuszczałam... – Betty pokiwała głową. – Ale powiem ci coś na pociechę. Jeśli policja dojdzie do wniosku, że cały ten incydent nie był wynikiem zamierzonego działania, to właśnie ona będzie odpowiadać za owo zatrucie, czyli w sumie za nieumyślne spowodowanie śmierci...

– Serio? – Pierwszy raz tego dnia Paweł nieco się rozchmurzył. – Jesteś tego pewna?

– Tak przynajmniej twierdzi Krzysztof. – Betty pokiwała głową. – To całkiem tak jak w gazecie. Nawet jeśli jakieś kłamstwo napisze dziennikarz i ktoś przez niego obszczekany wytoczy proces, to i tak jako strona oskarżona występuje redaktor naczelny i wydawca czasopisma, a nie twórca artykułu.

– Szkoda że z książkami nie jest podobnie... – mruknęła Róża. –

A czy Krzysztofowi nie wydaje się to wszystko dziwaczne? Jeden z kandydatów do tytułu Mistera Polonia nie wie, czemu popełnia samobójstwo, drugi schodzi ze świata w wyniku zatrucia świństwą, które nie wiadomo jak trafiło do jego potrawy. Nie za dużo tu zbiegów okoliczności?

– Teoretycznie te dwie sprawy się nie... – zaczęła Betty.

W tym momencie zadzwonił jej telefon. Menadżerka odebrała i przez długą chwilę w milczeniu słuchała tego, co ktoś do niej mówił. Następnie kilka razy wydała z siebie potakujące „uhm” i się rozłączyła.

– Być może za chwilę uzyskasz odpowiedź na swoje pytanie – powiedziała do Róży. – Dzwonił Krzysiek z pytaniem, jak szybko możesz być na komendzie.

– Bo?!

– Posprawdzali kilka rzeczy i Krzysztof chce się z tobą skonsultować – powiedziała Betty. – Okazało się, że ten chłopak, który zmarł na bankiecie, pracował jako ochroniarz. Zgadnij, gdzie miał dyżur cztery dni temu?

ROZDZIAŁ XII

Rozmowy

Sebastian leżał na dużym fotelu, który niezbyt przyjemnie kojarzył mu się z dentystycznym, i dumał, czy nazistom wpadłoby kiedyś do głowy, że kilkadziesiąt lat po wojnie kobiety będą z własnej nieprzymuszonej woli płaciły ciężkie pieniądze za tortury. Jakaś wytatuowana baba, wyglądająca jego zdaniem na psychopatyczną sadystkę, jeździła mu po twarzy dziwnym przyrządem, wydającym co parę sekund syczący dźwięk niczym rozgrzane żelazko przy zetknięciu z mokrą tkaniną. W każdej z takich chwil Sebastian czuł się tak, jakby w skórę wbijało mu się tysiąc rozgrzanych do czerwoności igieł. *Faktycznie, całkowicie bezbolesny zabieg!* – pomyślał ze złością. Gdyby nie fakt, że na fotelu obok leżała jego mama i z pewnością kazałaby go przywiązać do fotela, gdyby tylko próbował uciec z miejsca kaźni, dawno by już go tu nie było.

– Na kiego wacka mi ten zabieg? – zapytał zirytowanym tonem, korzystając z tego, że sadystka zrobiła przerwę w torturach i gdzieś wyszła. – Przecież codziennie smaruję twarz milionem mazideł, które mi przynosisz...

– Bez nich wyglądałbyś jak chory na ospę – odpowiedziała Manuela spod czarnej maski, która miała za jednym zamachem usunąć jej z twarzy wszystkie nieczystości. – Niestety, choć dmuchałam i chuchałam na ciebie od urodzenia, to geny rodziny twojego ojca dały o sobie znać. Wszyscy krewni z jego strony wyglądali jak obsada filmu o trędowatych.

– Mam najładniejszą skórę na całym roku. – Westchnął Sebastian.
– Ostatnio babka, która wykłada marketing społeczny, wzięła mnie na bok po zajęciach i zapytała, jakiego kremu BB używam, że tak mi idealnie kryje przebarwienia. A ja nawet, kurwa, nie wiem, co to jest krem BB!

– Nie klnij! – zgromiła go Manuela. – A przynajmniej nie publicznie. To źle, że masz ładną skórę?!

– Świetnie. Już nawet mam od tego ksywkę na roku. Bobas. I tak wywalczyłem, że nie mówią już na mnie Mister Pupcia, bo na początku jeden cymbał stwierdził, że jestem gładki jak dupa niemowlaka. I to dosłownie wywalczyłem, bo musiałem nakłaść mu po ryju...

– Biłeś się z kimś?! – przeraziła się Manuela. – Przecież mogłeś sobie coś przy tym zrobić! Niechby ci choć podbił oko! Czy ty wiesz, co by to znaczyło?! Jestem już tak blisko sfinalizowania umowy na twój występ w reklamie frytek karbowanych. Jakbyś w niej zagrał, gdybyś wyglądał jak menel?!

– Bardziej przekonująco, bo tylko menel chciałby tknąć te frytki – powiedział Sebastian z rezygnacją. – One śmierdzą starym knurem! A ten dzisiejszy zabieg... Już naprawdę nie masz na co wydawać kasy!

– Kasa to nie problem, a twój trądzik owszem – rzekła stanowczo Manuela. – Nie możesz pokazać się jurorom z czerwonymi wypryskami. Wyglądałbyś jak jakiś zaniedbany gimnazjalista! Laser Q-Switch raz dwa zlikwiduje ci wszystkie nieczystości ze skóry.

– I przy okazji wyżre rysy twarzy – mruknął Sebastian z goryczą, usiłując pozbyć się natrętnej myśli, że w wyniku działań połączonych sił sadystki i lasera Q-Switch zacznie przypominać Fantomasa.

Przez chwilę pomilczał, postanawiając sobie w duchu, że jeśli kiedykolwiek w Polsce wybuchnie rewolucja, to on w pierwszej kolejności wysadzi w powietrze wszystkie gabinety piękności, po czym zaryzykował pytanie:

– Matka, a powiesz mi wreszcie, co było w tym liście?

– W jakim liście?! – zdziwiła się Manuela.

Sebastian znał swoją rodzicielkę na tyle dobrze, aby mieć pewność, że ta doskonale wie, o co ją pyta. A skoro postanowiła udawać, że jest inaczej, to sprawa musi być wyjątkowo poważna.

– Ten, po przeczytaniu którego o mało co nie wylądowałaś na oddziale intensywnej terapii – przypomniał. – Miałaś mi powiedzieć...

– Ach, ten... – stwierdziła pozornie swobodnym tonem Manuela, po czym wydała z siebie beztroski w zamierzeniu rechot, który w uszach jej syna zabrzmiał wyjątkowo fałszywie. – Taki tam żarcik. Najpierw się przejęłam, a potem doszłam do wniosku, że nie ma czym. Głupota i tyle.

Sebastian odchylił się z fotela, aby uważniej popatrzeć na wyraz twarzy swojej rodzicielki, ale z zaskorupiałej czarnej masy, którą była obłożona, trudno było cokolwiek wyczytać. Z westchnieniem wrócił więc do pozycji leżącej, czując, jak zmasakrowane wcześniej przez sadystkę miejsca zaczynają go nieznośnie piec i swędzieć.

– Dobra, nie chcesz gadać, to nie – powiedział lekceważąco. – Byłem tylko ciekawy, czy ma to coś wspólnego z tymi spotkaniami, które odbywałaś w tajemnicy przede mną, udając, że jeździsz robić zakupy dla babci...

Usłyszał, jak matka bierze szybki oddech.

– Śledziłeś mnie?!

– Nie, jeszcze nie zwariowałem – powiedział Sebastian. – Po prostu na historii ekonomii kazali nam postudiować przepisy dotyczące prawa handlowego. W Internecie jest tego tyle, co kot napłakał, a nie chciało mi się lecieć do biblioteki, tym bardziej, że i tak czegoś tam im nie oddałem i teraz się czepiają. Przypomniało mi się, że dziadek miał takie książki i zadzwoniłem do babci, czy mógłbym pogrzebać w jego zbiorach. I tym sposobem dowiedziałem się, że nie odwiedzałaś jej już od paru tygodni. Przy okazji zostałaś określona mianem niewdzięcznej i wyrodnej wydry. Zaciekawilem się, co robisz w czasie, kiedy teoretycznie udajesz miłosierną samarytanę. Nie żebym chciał cię sprawdzać, bo jak wiadomo w naszym domu kontrola to twoja domena, ale pomyślałem, że jeśli masz na boku jakiś romans, to wolałbym poznać kandydata na mojego nowego tatusia, zanim okaże się, że w tajemnicy wyszłaś już za męża. I takim sposobem odkryłem, że latasz na rendez-vous

z jednym z moich rywali...

Manuela milczała. Sebastian uśmiechnął się złośliwie pod obolałym nosem.

– Ale ponieważ na koniec spotkania tylko podawaliście sobie ręce i nie było żadnego miziu-miziu, uznałem, że niczym to nie grozi i co najwyżej próbujesz go przekupić, żeby nie stawał mi na drodze do korony – dokończył spokojnie. – Potem jednak podpatrzyłem, że spotykasz się nie tylko z nim. A teraz zaczynam podejrzewać, że chodziło o coś więcej...

– Co masz na myśli? – spytała niespokojnie Manuela.

– Wydaje mi się, że doskonale to wiesz – stwierdził spokojnie Sebastian. – Tak jak ja wiem, dlaczego od kilku dni mam o wiele większe szanse na zdobycie tytułu mistera. Nie mam nic przeciwko temu, ale...

– Tak...?

– Jesteś pewna, że warto było zamieniać się w lady Makbet, żeby zapewnić mi koronę...?

* * *

Mario kilka razy przejechał pędzelkiem po swoich policzkach, po czym z zadowoleniem popatrzył w lustro. Ten puder był idealny! Warto było czekać na chwilę, gdy matka zaśnie, żeby gwizdnąć go z jej kosmetyczki. Po co ona kupuje takie drogie kosmetyki, skoro potem nie umie zrobić z nich użytku? On po skorzystaniu z tego pudru wyglądał jak prawdziwa gwiazda, ona – jak rudera przeznaczona do rozbiórki.

– Powinieneś coś zrobić z tymi pieprzykami na plecach, skarbie – powiedział, oderwawszy wzrok od swojej idealnej twarzy i przejechał nim po sylwetce chłopaka, z którym dzielił garderobę. – Strasznie cię szpecą...

– Mam w dupie pieprzyki – warknął jego kolega. – Gorzej, że zaczyna mi się robić jakiś wałek na brzuchu...

– Za dużo pizzy! – Mario się roześmiał. – Pamiętaj o zasadzie numer jeden. Zero węglowodanów! Jak raz cię dopadną, to już

nigdy nie puszczą wolno...

– Łatwo ci mówić – prychnął jego rozmówca. – Ty nie masz skłonności do tycia...

– Zdziwiłbyś się...

– Więc jak dajesz sobie z tym radę?!

– Nie jem – westchnął Mario. – To tajemnica każdej prawdziwej diwy. Nie jeść kolacji. Nie jeść obiadu. Jeśli się da, nie jeść też śniadania. Czuć się głodnym. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przez trzysta sześćdziesiąt pięć, a co cztery lata sześć, dni w roku. Czuć się głodnym przez całe życie!

– Jesteś nienormalny...

– Ale za to nie miałem problemu z zatruciem pokarmowym jak nasi koledzy. – Mario się uśmiechnął. – Dziesięć płukań żołądka jednego wieczoru. Niezła statystyka. Zastanawiająca...

– Przypadek...

– Naprawdę, kochanie? – Mario zrobił dzióbek i duże oczy, przy okazji dostrzegając, że jedna z rzęs nie jest jeszcze przygotowana tak perfekcyjnie, jak tego życzyłby sobie. – Bo ja jestem innego zdania...

– To znaczy?

– Widzisz, mój drogi. – Mario wyciągnął ze swojej kosmetyczki tusz. – Na początku było nas czternastu. Potem jeden popełnił samobójstwo. No, powiedzmy, że to było samobójstwo. Zostało trzynastu. Zatrulo się dziesięciu. W tym jeden na amen. Przetrwiałem ja, bo nic nie jem od liceum, ty i jeszcze nasz beniaminek. Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że doskonale wiem, dlaczego to właśnie nasza trójka wyszła z tego bez szwanku...

Jego wzrok spotkał się w lustrze z gniewnym spojrzeniem kolegi. Przez chwilę obaj patrzyli na siebie, jeden z kpina, drugi ze złością, pomieszaną z niepokojem.

– Tia... – Westchnął w końcu Mario. – A więc miałem rację. Bądź spokojny, nie puszczę pary z ust. I tak nie zależy mi na zdobyciu tytułu. Jestem tu tylko po to, aby podbić popularność mojego

kanalu na YouTube. Przecież nie jestem idiotą i wiem, że taka ciota jak ja nigdy nie wygrałaby waszego męskiego, kipiącego testosteronem w stringach konkursu. Zakwalifikowanie się do finału i tak dużo mnie kosztowało.

– Nie doceniałem cię – mruknął jego rozmówca, wracając do przymierzania koszuli, w której za chwilę miał wystąpić na sesji dla magazynu „Glamour”. – Wcale nie jesteś takim idiotą, na jakiego pozujesz...

– To najprawdopodobniej miał być komplement, więc dziękuję – powiedział Mario kpiąco, rozglądając się za zalotką. Te wszystkie pierdoły do makijażu miały zawsze tendencje do zawieruszania się w momencie, kiedy były potrzebne. – A na przyszłość bądź ostrożniejszy...

– Bo?

– Bo, kotku, ludzie mają mózgi – wyjaśnił Mario. – Niektórzy nawet czasem ich używają. Jak na razie wszystko się wam udawało. Ale z tym zatruciem popełniliście jednak spory błąd.

– Ustalmy, że nie mam pojęcia, o co ci chodzi – powiedział jego kompan. Skończył zapinać mankiety i zrobił kilka kroków w stronę Mario. Stanął za jego plecami i położył mu ręce na ramionach. – Tak będzie lepiej i dla mnie, i przede wszystkim dla ciebie. Jak się przekonałeś, wypadki chodzą po ludziach...

Mario nadal ze spokojem przeszukiwał kosmetyczkę, sprawiając wrażenie, że znalezienie zalotki interesuje go o wiele bardziej niż średnio zawołowana groźba, którą właśnie usłyszał.

– Chcesz mnie udusić, czy zrobić mi masaż? – zapytał obojętnie. – Bo jeśli to pierwsze, to zapewniam cię, że może ci to nie ujść na sucho. Za pierwszym razem udało ci się popełnić zbrodnię idealną, za drugim było już gorzej. Trzeci raz będzie zbyt oczywisty. A poza tym, czy naprawdę myślisz, że siedziałbym tu i tak sobie z tobą spokojnie konwersowałem, gdybym nie miał pewności, że jestem bezpieczny? Jeśli tak, to pomyśl dwa razy!

– Ty mała kanalio... Czego ode mnie chcesz?

– Mówiłem ci, absolutnie niczego – powiedział Mario. – No, może

poza kilkoma rzeczami, które pomogą mi w zwiększeniu popularności mojego bloga. Ale to przecież nie będzie dla ciebie żadna trudność, nieprawdaż? Jedna, dwie sesyjki w ciuchach od moich sponsorów. I może raz pokażę na tobie, jakich kosmetyków powinno się używać, żeby nie wyglądać jak skazaniec na galerach. Sam też się nauczysz przy okazji... To co? Dusisz mnie czy masujesz?

Jego rozmówca przez chwilę trzymał jeszcze ręce na ramionach Mario, po czym przesunął je w stronę jego szyi, ujął w palce krawędzie stójki jego koszuli i odrobinę podciągnął je do góry.

– Po prostu poprawiam ci kołnierzyk – powiedział. – Wiem przecież, jak cenisz sobie perfekcjonizm.

* * *

– Dlaczego mnie oszczędzono? – Głos mężczyzny w komórce nie zostawiał wątpliwości co do tego, że jego właściciel jest mocno zirytowany.

– Nikt nie chciał ci robić kłopotu. Następnego dnia miałeś przecież sesję...

– Ale teraz wyszło beznadziejnie. Policja maglowała mnie dwa razy dłużej niż całą resztę chłopaków. I w ogóle nie wiem, po co była nam ta cała akcja.

– A jakie mieliśmy wyjście?

– Mogliśmy z nim jeszcze raz pogadać, spróbować go przekonać...

– Przekonać? I żyć w wiecznym strachu, że pójdziemy siedzieć za coś, czego nawet nie zrobiliśmy?! Nie. On był zbyt niebezpieczny.

– Po co nam to w ogóle było?! To prawdziwa katastrofa! Nie tak to miało wyglądać! Za dużo mnie to wszystko kosztuje nerwów...

– Już nie biadol. Cel jest blisko. Zostało już tylko kilka dni.

– Mam tylko nadzieję, że w tym czasie nie wykończysz wszystkich kandydatów. W tym i mnie...

* * *

– Tym razem mieliśmy szczęście – powiedziała kobieta, siedząca

w zaparkowanym na skraju Parku Skaryszewskiego samochodzie.
– Nie wiem, skąd ten fiut się dowiedział, ale mogło się to zakończyć katastrofą...

– Nie wyrażajmy się źle o zmarłych – zgorszył się towarzyszący jej mężczyzna. – Kto mógł przypuszczać, że trafimy na kogoś, kto u ciebie pracuje? Bez sensu, że dałaś mu dostęp do wszystkich danych.

– Akurat nie miałam ataku jasnowidzenia – prychnęła kobieta. – Jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzać, czy ktoś nie bierze udziału w jakimś zakichanym konkursie piękności.

– Tylko bez takich! – oburzył się jej rozmówca. – Gdyby nie konkurs, nie ubilibyśmy żadnego interesu.

– Nadal nie wiem, czy go ubijemy. Kiedy w grę wchodził jeden nieboszczyk i to samobójca, to nic by pewnie się nie działo, ale teraz, kiedy drugi odwalił kitę, to pewnie zaczną węszyć.

– Niech sobie węszą. Przecież nie wpadnie im do głowy szukać czegoś, o czym nie wiedzą, że w ogóle istnieje. A żadne z nas nie jest zamieszane w morderstwo...

Kobieta badawczo popatrzyła na swojego rozmówcę.

– Czyżby? – powiedziała cicho.

ROZDZIAŁ XIII

A może Maślak...?

Róża opuściła komisariat, lżąc się w duchu słowami, których nigdy nie powtórzyłaby głośno. Doskonale wiedziała, że Betty i Pepe czekają na nią w samochodzie na parkingu, ale na razie nie chciała im się pokazywać na oczy. Musiała ochłonąć i zebrać myśli. Kilkanaście minut wcześniej, przyciśnięta przez Darskiego, wyznała w końcu całą prawdę o tamtym feralnym wieczorze. Usiłowała też wyjaśnić, dlaczego próbowała ukryć niektóre szczegóły przebiegu zdarzeń, ale tłumaczenie, że nie chciała narazić się na kpiny ze strony współpracowników, zostało przyjęte jako mało rozsądne. Ona sama też uznała, że się wygłupiła i dlatego w czasie dalszych zeznań starała się być już jak najbardziej skrupulatna. Cóż jednak z tego, skoro okazało się, że cierpi na sklerozę, a pamięć krótkotrwałą ma chyba najmniej trwałą w całej Galaktyce. To chyba musi być jakaś choroba. Może pierwsze objawy demencji albo alzheimera? Albo jeszcze coś innego? Zaraz, zaraz, co to było...? Z zakamarków swojej zaburzonej pamięci pisarka z trudem wyciągnęła scenę z jednego ze swoich spotkań autorskich. W czasie podpisywania książek podeszła do niej sympatyczna młoda czytelniczka i kiedy Róża podpisała jej jedną ze swoich pierwszych powieści, stwierdziła, że musi ją sobie odświeżyć, bo już nie pamięta, kto jest mordercą. Na uwagę pisarki, że ona też z reguły może obejrzeć albo przeczytać jakiś kryminał sto razy, a i tak za sto pierwszym nie pamięta, kto i po co zabił, wyjaśniła, że u niej jest to chorobliwe, bo ma torbiel szyszynki. Pisarka poprzysięgła sobie wtedy, że jak najszybciej sprawdzi, czy i ona nie cierpi na tę samą dolegliwość, ale oczywiście błyskawicznie o tym zapomniała. I proszę, teraz ma efekt swojego zaniedbania. Pewnie już ma większą torbiel niż szyszynkę!

Rozgoryczenie Róży wzięło się stąd, że kiedy pokazano jej zdjęcie zmarłego w wyniku zatrucia na bankiecie Marka Krawczyka i zapytano, czy to z nim rozmawiała w wieczór, gdy jego kolega popełnił samobójstwo, nijak nie potrafiła dać jednoznacznej odpowiedzi. Robiła wszystko, aby przypomnieć sobie twarz spotkanego wówczas ochroniarza, ale zamiast niej widziała jedynie rozmazaną plamę. Zero skojarzeń, jedna wielka pustka! Z drugiej strony twarz prezentowanego jej przez Darskiego młodzieńca wydawała jej się znajoma. Zwłaszcza jego bokobrody. Pisarka pamiętała, że tamtego wieczoru zwróciła na nie uwagę. Jednak nijak nie potrafiła stwierdzić, czy to właśnie Krawczyk jest człowiekiem, którego wtedy widziała. Bokobrody wygrały bezapelacyjnie, przysyłając jej cały świat! Choć komisarz nie skomentował tego ani słowem, to po jego wzorku doskonale wiedziała, co o niej sądzi. Sama też nie myślała o sobie lepiej.

Róża westchnęła, wyciągnęła z torebki kalendarzyk i żeby nie zapomnieć o kolejnej sprawie, zapisała w nim kilka słów, które za kilka dni miały jej przypomnieć o zapisaniu się do lekarza. Przez chwilę zawahała się nad tym, któremu specjalście powinna zawracać głowę swoją zanikającą w przerażającym tempie pamięcią i po chwili dopisała na kartce słowo „mózgolog”, postanawiając sprawdzić nieco później, który medyk najprędzej znajdzie lekarstwo na psującą się zawartość jej czerepa – neurolog, psychiatra czy endokrynolog. *Najgorsze jeśli poślą mnie na badania i stwierdzą, że nie tylko nie mam pamięci, ale też i mózgu* – pomyślała z rozgoryczeniem.

Wciąż niechętna na spotkanie ze swoimi współpracownikami i nie bacząc na fakt, że schodek, na którym siedzi, zaczyna jej wrastać w cztery litery, Róża postanowiła jeszcze przez chwilę побыć w samotności. Nieco bezmyślnie zaczęła przerzucać kartki kalendarzyka, jednocześnie porządkując w myślach wszystko, co wiedziała już o sprawie. Dziewczyna, która ją odwiedziła, twierdziła, że samobójca był w niej zakochany. To samo, tyle że w odniesieniu do siebie, stwierdziła później Lala. Która z nich

kłamała? Lala wspomniała też o problemach, jakie nieboszczyk miał w pracy. Niby niewielkich, ale zawsze warto by to sprawdzić. Tylko jak? Co tam dalej? Według aspiranta mężczyzna, który zeznawał w dniu samobójstwa, niekoniecznie był tym, który potem podpisał zeznania. Ale sam nie jest tego pewny. No i jeszcze wieści od Pepe, że wielu kandydatów do korony mistera było mocno zdesperowanych, aby wygrać konkurs. Zaraz, zaraz... Pepe wspomniał coś o kimś, kto zna wszystkie plotki, dotyczące uczestników imprezy. Jak ten ktoś miał na imię? Róża podrapała się po głowie, nieświadomie robiąc sobie we włosach coś, co postronnemu obserwatorowi nasunęłoby z pewnością skojarzenia z gniazdem dla boćków. Hmm... Zapamiętała, że imię tego faceta skojarzyło jej się z Krakowem. Kazimierz? Nie, nie tak. Róża zaczęła w myślach spacerować po dawnej stolicy kraju. Wawel, Sukiennice, rynek, kościół Mariacki... Bingo! Marian! Nie, zaraz, jakoś inaczej. Mario! Tak, na pewno tak. Tylko jak się z nim skontaktować? Pisarka przez chwilę rozmyślała, po czym jej wzrok padł na kalendarzyk. Przez chwilę patrzyła na otwarte strony bezmyślnie, po czym dotarło do niej, co ma przed nosem. Szybko sięgnęła po telefon i wykręciła zapisany na stronie numer telefonu.

– Tomek? – upewniła się. – Słuchaj, ty masz takie tam różne dziwne znajomości. Czy znasz może kogoś, kto ma cokolwiek wspólnego z konkursem Mister Polonia?

– Być może... – odpowiedział znajomy. – A dlaczego pytasz? Chcesz uśmiercić jakiegoś przystojniaka w swojej książce?

– Nie muszę, bo ktoś zrobił to za mnie – mruknęła Róża i szybko streściła przyjacielowi wydarzenia ostatnich dni.

– I naprawdę wszyscy się potruli? – zdziwił się Tomek. – Patrz, nawet o tym nie wiedziałem. Poczekaj, niech się zastanowię... Maślak?

– Nie – zaprotestowała Róża. – Fosforek. Czegoś tam. Chyba cynku.

– Jaki fosforek? O czym ty mówisz?

– Zatruli się fosforkiem, a nie grzybami – wyjaśniła Róża. –

Zresztą, maślaki chyba nie są trujące.

– Głupiaś! – prychnął Tomek. – Maślak może ci pomóc.

– Mam go zjeść i jakoś mnie to oświeci? – spytała niepewnie Róża. – Nie słyszałem o takim zastosowaniu...

– Róża, na jakim ty świecie żyjesz?! – zgorszył się przyjaciel pisarki. – Rafał Maślak to facet. Mister Polski. Jestem jego agentem. Nie mów, że o nim nie słyszałaś...

Róża przez chwilę zastanowiła się, jak odpowiedzieć, żeby po pierwsze, nie wyjść na ignorantkę, a po drugie, nie urazić Tomka.

– Nie mam jeszcze podłączonego telewizora, więc nie za bardzo wiem, co się dzieje na świecie – wyjaśniła niepewnie. – Ostatnio się przeprowadzałam i nie miałam głowy do niczego innego...

– To jak długo się przeprowadzałaś? – zdziwił się Tomek. – I czym? Karawaną zaprzęzoną w leniwe wielbłądy? Bo Rafał zdobył tytuł trzy lata temu i od tego czasu jest wszędzie, i w gazetach, i w telewizji, i na billboardach. Naprawdę go nie kojarzysz?

– Ale jak powiem, że nie, to się na mnie nie obrazisz? – upewniła się Róża. – Bo ja naprawdę nie mam pojęcia, kim on jest. Ale jeśli twierdzisz, że może mi pomóc, to bardzo chętnie go poznam...

– Rafał wygrał konkurencyjną imprezę – wyjaśnił Tomek. – Został Misterem Polski. Bo tu jest tak jak z misskami. Jest Miss Polski i Miss Polonia. Ale ponieważ od czasu wygranej stał się gwiazdą, nieznaną tylko kompletnym ignorantkom...

– Ja jestem artystką! – zaprotestowała Róża. – Artyści żyją ponad takimi przyziemnymi sprawami jak konkursy piękności...

– Jasne, zwłaszcza ci ze spalonego teatru – powiedział kpiąco jej przyjaciel. – Nie przerywaj mi, artystko, tylko słuchaj. Rafała zapraszają wszędzie. Miał zasiadać w jury Mistera Polonia, ale w ostatniej chwili wygryzł go jakiś sponsor. Organizatorzy zaproponowali mu więc współprowadzenie gali, a TelePol zrobienie serii reportaży z przygotowań do imprezy. Jutro z rana wyrusza do Lidzbarka Warmińskiego, gdzie odbędzie się ostatnie zgrupowanie i próby przez finałem. Zapytam go, czy nie zabrałby cię ze sobą. To

uprzejmy facet i pewnie się zgodzi.

– Super! – ucieszyła się Róża, po czym trochę zmarkotniała. – Tylko w jakim charakterze miałabym tam jechać?

– Jego asystentki?

– Nie no, daj spokój – oburzyła się Krull. – Nikt w to nie uwierzy. Przecież jestem gwiazdą! Wszyscy wiedzą, jak wyglądam.

– Róża. – Tomek westchnął. – Z całym szacunkiem dla twojej twórczości oraz dobrego zdania, jakie masz o sobie, ale zapewniam cię, że żaden z facetów ubiegających się o tytuł mistera oraz organizatorów tej imprezy nie ma zielonego pojęcia nie tylko o tym, jak wyglądasz, ale nawet o tym, że w ogóle pałętasz się po tej planecie. A poza tym jesteś kobietą i pewnie wiesz, jak zmienić się nie do poznania. Peruka, jakaś charakteryzacja. Skoro już chcesz się bawić w Sherlocka Holmesa w spódnicy, to musisz nauczyć się stosować jego sztuczki. To co? Dzwonić do Rafała?

– Dzwon! A ja postaram się, żeby mnie nikt nie poznał. Bo jestem pewna, że znajdą się tam jacyś moi czytelnicy. Co prawda jak ich ostatnio potrzebowałam na targach w Krakowie, bo chciałam pokazać jednej mojej koleżance po fachu, jaka jestem popularna, żeby jej z zazdrości botoks popękał na twarzy, to akurat prawie nikt nie przyszedł. Ale wiesz, jak to jest. Kiedy będzie mi zależało, żeby nikt mnie nie zdemaskował, to zaraz się okaże, że całe miasto zapchane jest moimi czytelnikami. Znasz prawo Murphy’ego?

– Myślę, że w tym przypadku nie będzie ono miało zastosowania – rzekł stanowczo Tomek. – Daj mi parę minut, skontaktuję się z Rafałem i dam ci znać. Ale nie sądzę, żeby był jakiś problem...

Po kilku minutach, w czasie których Róża zdążyła sprawdzić w Internecie, kim jest, a przede wszystkim, jak wygląda były Mister Polski, jej przyjaciel zadzwonił z informacją, że ów nie ma nic przeciw temu, aby zabrać ją ze sobą na Warmię i nawet wydawał się nieco podniecony wizją zostania drugim Zordonem. Róża, mimo całego uwielbienia dla twórczości Remigiusza Mroza, skupiła się głównie na słowach „nieco podniecony”. Szczerze mówiąc, nie miałyby nic przeciwko temu, by wywołać takie uczucie

w kimś, kogo plakat mogłaby powiesić sobie nad łóżkiem, aby codziennie rano poprawiał jej humor. Jeszcze lepiej byłoby w ogóle budzić się co rano u jego boku. Wtedy miałyby idealny nastrój non stop.

Pisarka, sama też czując się „nieco podniecona”, wstała wreszcie ze schodków i zaczęła iść w stronę parkingu, po drodze rozkoszując się wizją spędzanych razem z Maślakiem gorących warmińskich ranków, przed- i popołudni, wieczorów oraz nocy. A zwłaszcza nocy!

– Ja pierdzielę... – powiedział ze zgrozą obserwujący ją w tym samym czasie Pepe. – Jak nic Róża coś zmalowała!

Siedząca za nim na tylnym siedzeniu Betty oderwała wzrok od swojej komórki, na której właśnie odczytywała, co jej narzeczony sądzi o stanie umysłu, a zwłaszcza pamięci pisarki, i spojrzała z niepokojem przed siebie. Mimo wysiłków nie dostrzegła jednak w idącej z wolna w ich stronę Róży nic nadzwyczajnego.

– Bo...?

– Znam ten jej wyraz twarzy. – Pepe nadal był zaniepokojony. – Zbyt często go widywałem. Ostatnim razem, kiedy w tajemnicy przede mną zgodziła się udzielić wywiadu dla pisma „Twój Pies”, bo obiecano jej, że będzie na okładce razem ze swoim pupilem.

– Przecież Róża nie ma psa!

– No właśnie. – Pepe pokiwał głową. – Dlatego pożyczyła go od sąsiadki. Po czym w czasie wywiadu zapomniała, jak się wabi i nie potrafiła go nijak uspokoić. Piesek, a mówimy tu o dobermanie, wkurzył się, że mu obce jednostki błyskają fleszem po oczach i usiłował zrobić tam krwawą jatkę. W efekcie płaciliśmy odszkodowanie dziennikarce, której bestia pożarła pół sukienki z Simple, i fotografowi, któremu trzeba było założyć szew na łydkę. Róża wyszła z tego bez szwanku, bo na dzień dobry uciekła. A wcześniej identyczny wyraz twarzy miała, kiedy przygotowywała prezent dla swojej mamy na sześćdziesiąte urodziny. Znasz tę historię?

– Nie...

– Róża postanowiła urządzić przyjęcie niespodziankę. Zaprosiła część rodziny i spisała po kryjomu z jej kalendarzyka jakieś znajome i przyjaciółki. A przynajmniej tak jej się wydawało. Traf chciał, że w tym samym czasie została druhną na ślubie BC Lamer i przygotowywała dla niej wieczorek paniński. Znasz ją? To ta młoda pisarka, która ma w powieściach więcej opisów stosunków niż Wisłocka w *Sztuce kochania*. W sumie Róża robiła naraz dwie rzeczy, co, jak zapewne przypuszczasz, musiało się zakończyć katastrofą. Efekt był taki, że BC Lamer i jej nastawione na rozpasaną rozrywkę koleżanki zostały zapakowane do autokaru i wywiezione do Opinogóry, gdzie w miejscowym pałacyku wysłuchały koncertu fortepianowego a-moll opus szesnaste Edvarda Griega. A mamę Róży biała limuzyna przetransportowała do klubu „Blue Laguna”, gdzie w ramach atrakcji zaserwowano tort, z którego wyskoczył napakowany koleś w stringach. A na domiar złego okazało się, że panie spisane z kalendarzyka, to nie były wcale żadne jej znajome, tylko mocno starszawe członkinie Stowarzyszenia Rodzin Katolickich, którym mama Róży prowadziła kiedyś księgowość i które na domiar złego przywlokły ze sobą na imprezę znajomego księdza. Na widok striptizera jedna z nich zemdląła, druga dostała ataku hysterii i musiała oddychać w papierową torebkę, a trzecia zaczęła uciekać z krzykiem, po drodze wpadła na kelnera, przewróciła się i złamała biodro. Najlepiej z tej całej ferajny bawił się księżulo, po kilku głębszych wywijając na parkiecie jak Travolta w „Gorączce sobotniej nocy”. Rozumiesz już, dlaczego tak bardzo boję się tego wyrazu twarzy u Róży?

Betty pokiwała głową.

– Pytanie tylko, co udało jej się narozrabiać w tak krótkim czasie... – Pepe westchnął z rezygnacją. – Jak znam życie i tak się do tego nie przyzna.

Jego przewidywania miały się spełnić co do joty, bo kilka chwil wcześniej Róża powzięła stanowcze postanowienie, że swój wyjazd do Lidzbarka i znajomość z przystojnym misterem zachowa

w tajemnicy.

– Lepiej od razu powiedz, co przeszkrobałaś – zaczął Pepe zaraz po tym, jak Róża klapnęła na fotelu obok niego. – Bo że coś, to jestem pewny...

– Dostałam ataku sklerozy – powiedziała Róża, przygotowana na to, że Pepe będzie miał jedno ze swoich sławetnych przeczuć i zacznie ją przesłuchiwać w sposób o wiele gorszy niż kilkanaście minut wcześniej Darski. Postanowiła przyznać się więc do blamażu w czasie zeznań, skrzętnie licząc na to, że uda jej się za taką zasłoną dymną ukryć Maślaka. – Nijak nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy facet, z którym rozmawiałam po samobójstwie tamtego przystojniaka, jest tym, którego otrułeś...

– Róża! – krzyknął oburzony Pepe.

– No dobrze. Tym, który sam się otruł – poprawiła się pisarka. – Wydaje mi się, że tak, ale głowy sobie za to nie dam uciąć.

– Jak to?! – zdziwiła się Betty.

– Poczekaj – rozkazał stanowczo Pepe, patrząc na Różę z lekką odrazą. – Zanim odpowiesz, popatrz na siebie.

Szybkim gestem rozłożył osłonę przeciwsłoneczną z wewnętrznym lusterkiem. Róża popatrzyła na siebie i aż się zachłysnęła.

– O, cholera... – jęknęła i nerwowo zaczęła przeszukiwać torebkę w poszukiwaniu grzebienia. – Mogliście mi wcześniej powiedzieć, że wyglądam jak pudełek, któremu ktoś usiadł na głowie...

Przez chwilę pacyfikowała upiorne kudły, miotając pod nosem rozmaite wulgarne określenia pod ich adresem. W tym czasie Betty zdążyła odebrać połączenie i wydać z siebie kilka potakujących odgłosów.

– Zdaje się, że Krzysztof nie jest specjalnie zbudowany tym, co od ciebie usłyszał – powiedziała, kiedy już się rozłączyła. – Dostałam polecenie kupienia ci preparatów opartych na ginkgo biloba i dopilnowania, żebyś je regularnie stosowała.

– A to nie są specyfiki dla zeskleroziałych staruszek? – zdziwiła się Róża.

– No właśnie. Powinnaś zacząć je łykać już ładnych parę lat temu – mruknął Pepe. – Teraz może już być za późno.

– A swoją drogą, wydaje mi się, że Krzysztof zaczyna podejrzewać, że to jednak nie były przypadkowe zgony – powiedziała w zamyśleniu Betty. – To znaczy, nie mówi tego jednoznacznie, ale i tak daje się to wyczuć.

– Mnie bardzo długo maglował o rozmowę z Martyną i Lalą – podchwyciła Róża. – Musiałam mu powtórzyć wszystko, bez mała słowo w słowo...

– Biedny facet – mruknął Pepe.

– Czemu? – zdziwiła się Róża.

– Bo znając ciebie i twoją ułańską fantazję, o połowie rzeczy zapomniałaś, a drugą na poczekaniu wymyśliłaś – wyjaśnił uprzejmie Pepe. – Zawsze tak masz...

– Co ty gadasz?!

– A przypomnieć ci kilka sytuacji? – powiedział Pepe jadowitym tonem. – Na przykład twoje długie i namiętne opowieści o tym, jak fantastycznie przyjęto cię na spotkaniu z Polonią w księgarni w Londynie. Zapomniałaś tylko, że to był Manchester, nie księgarnia, tylko polski pub i że ludzie tam nie przyszli dla ciebie, tylko na akustyczny koncert Klaudii Hutniak...

– Naprawdę? – zdziwiła się Róża. – Wydawało mi się, że to były połączone imprezy i pamiętam, że na pewno coś tam podpisywałam...

– Owszem, jedną książkę, którą przez przypadek miała żona właściciela pubu – potwierdził Paweł. – Oraz rachunek za siedem mohito i solone orzeszki. Wymieniać dalej?

– Nie musisz. Może i faktycznie czasem ponosi mnie fantazja. Mimo wszystko zeznając Darskiemu, starałam się być jak najbardziej dokładna i przy okazji przypominałam sobie jedną rzecz, której nie sprawdziliśmy.

– A mianowicie?

– Martyna powiedziała nam, że kiedy nieboszczyk zaprosił ją do znajomych na Facebooku, to zauważyła, że mają czterech

wspólnych znajomych – przypomniała Róża. – Można chyba sprawdzić jakich?

– Nie można – stwierdził Paweł po chwili manipulacji przy swojej komórce. – Oboje mają tak ustawione opcje ochrony prywatności, że nie dowiesz się, kogo mają w gronie znajomych, samemu nim nie będąc. Dupa blada.

– A może zapytać o to Martynę? – podsunęła Betty. – Chyba to nie jest żadna tajemnica?

– Mogę spróbować... – Róża wystukała numer ich nowej znajomej, ale doczekała się jedynie monotonnego głosu, zachęcającego ją do pozostawienia wiadomości po sygnale. – No trudno, spróbuję do niej zadzwonić wieczorem. Pepe, przypomnisz mi?

– A nie możesz sobie tego zapisać w telefonie i nastawić alarmu? – warknął Paweł. – Czy ja zawsze muszę pilnować wszystkiego?

– Mogę, ale sam wiesz, że pewnie nie zwrócę uwagi na sygnał – powiedziała pisarka, pomna swoich przygód z telefonicznymi przypomnieniami. – Albo akurat rozładuje mi się telefon, albo nastąpi jakiś inny kataklizm...

– Boszzzzz, co ja z tobą mam. – Westchnął Pepe, po czym otworzył w swoim iPhone spis alarmów. Po chwili wydał zdumiony okrzyk. Betty i Róża spojrzały na niego zaskoczone.

– Sam już przy tobie głupieję – powiedział Pepe, wściekły jak stado os. – Za kwadrans mam umówioną wizytę u tego waszego psychoterapeuty, u którego mam symulować depresję i myśli samobójcze. Biorąc pod uwagę, w co mnie na okrągło wciągacie, nawet nie będę musiał specjalnie niczego udawać.

– Świetnie się składa! – zawołała Róża, ucieszona, że nie będzie musiała odpowiadać na pytania wciąż podejrzliwie na nią zerkającego od czasu do czasu Pawła. – W takim razie podrzuc mnie do domu, Betty wysadzimy przy dworcu, a ty pojedziesz na Muranów.

– Jak jaśnie panienka każe – powiedział złośliwie Pepe, odpalając silnik. – Jeszcze jakieś rozkazy dla wiernych sług?

– Betty mogłaby znowu zrobić boeuf bourguignon, bo czuję, że Krzysztof, do którego notabene głupio było mi się zwracać per „panie komisarzu”, ma jakieś nowe wieści, które mogłyby się nam przydać...

– Myślę, że teraz mogłabym mu podać nawet stek wołowy ribeye z mięsa japońskiej krowy Wagyu, polany sosem z białych trufli, oczywiście, gdybym tylko miała wolne dziesięć tysięcy złotych, a i tak nie puściłby pary z ust – powiedziała zrezygnowanym tonem Betty. – Przecież on doskonale zdaje sobie sprawę, że cokolwiek mi powie, zaraz trafi to do ciebie. A tego, że chcesz prowadzić swoje własne śledztwo domyślał się już od pierwszego boeufa. Tak więc mogę spróbować go wypytać, ale raczej nie nastawiaj się na jakieś spektakularne efekty...

– A gdybyś go upiła? – podsunęła zachęcająco pisarka. – W czarnoziem?

– Problem w tym, że sama też musiałabym coś przy tym wychylić. – Westchnęła Betty. – A smutna prawda jest niestety taka, że mam od niego słabszą głowę. Zanim bym się obejrzała, zdradziłabym mu wszystkie tajemnice, w tym takie, których na pewno nie powinien znać.

– Mimo wszystko spróbuj – poprosiła Róża. – A ja... – Złapała w lusterku badawczy wzrok Pepe. – A ja, żebyś już tak nie stękał i nie kwękał, chyba wreszcie usiądę przy komputerze i zacznę pisać nową książkę – dokończyła, wkładając w swoją wypowiedź tyle serca, ile tylko mogła. – Bo w końcu wydawnictwo zerwie ze mną umowę.

Jedno spojrzenie na Pawła dało jej pewność, że jej nie uwierzył. W sumie nie było to aż takie istotne. Ważne, że przez najbliższą godzinę będzie uziemiony na kozetce u psychoterapeuty, a przez ten czas ona zdąży zrealizować swój plan.

Parę minut później Pepe zatrzymał się na rogu Jana Pawła II i Siennej, wysadzając z samochodu swoje pasażerki. Betty pożegnała się z Różą i udała się w stronę Złotych Tarasów. Pisarka pomachała jej jeszcze na do widzenia, po czym wyciągnęła swój

telefon i z listy kontaktów wybrała ten, który dopisała tam kilkadziesiąt minut wcześniej. A kiedy usłyszała wypowiedziane miłym męskim głosem słowa: „Tak, słucham?”, odpowiedziała słodko:

– Dzień dobry, panie Rafale. Tu Róża Krull. Mam dla pana pewną kuszącą propozycję...

ROZDZIAŁ XIV

Psychoanaliza

Pepe siedział na kozetce w gabinecie Adriana Mędrzyckiego z tak cierpiętniczą miną, że nieco przestraszony psychoterapeuta, któremu już przy poprzednim pacjencie zabrakło chusteczek, zaczął się ponuro zastanawiać, dlaczego to jemu zawsze trafiają się najgorsze przypadki. Nie to, co jego koledze przyjmującemu w gabinecie obok. Najpierw przyszła do niego młoda, tryskająca humorem seksoholiczka, odesłana na terapię przez swojego szefa po tym, jak ów odkrył, że przespała się w firmie z każdym, począwszy od jego zastępcy, a skończywszy na gońcu, i wystraszył się, że teraz przyszła pora na niego, a potem żona urwie mu to, co każdy mężczyzna uważa za swój najcenniejszy skarb. Następnie atrakcyjna czterdziestolatka, która odkryła, że życiowy partner ukradkiem podkrada jej bieliznę, żeby później pokazywać się w niej na internetowym czacie, używając nicku „Różowy_peniuarek_40”. A na koniec młodzian, który przez przypadek dowiedział się, że jest adoptowany i wcale nie pochodzi ze starej, zamożnej arystokratycznej rodziny, tylko z sierocińca pod Pasłękiem, co nie zmienia faktu, że i tak odziedziczy wielomilionową fortunę. Wszystkie przypadki – bułka z masłem! A on musi tu tyrać, rozmawiając z samymi łzawymi mazepami. Najpierw fajtłapą, od miesiąca płaczącym mu nad krzywdami, jakich doznał czterdzieści lat wcześniej od rówieśników w przedszkolu. A teraz tym dziwnym człowieczkiem, którego zaciśnięte szczęki i zasznurowane usta wskazywały na potężne problemy emocjonalne. Skaranie pańskie...

– A więc z czym pan do mnie przyszedł? – zapytał, starając się wykrzesać z siebie choć odrobinę życzliwości.

Moja szefowa to wariatka i boję się, że kiedyś z jej powodu odwiozą mnie do psychiatryka w kaftanie bezpieczeństwa – miał ochotę powiedzieć Pepe, ale w porę ugryzł się w język.

– Mam poważny dylemat, którego sam nie daję rady rozwiązać – stwierdził jednak ostrożnie. – Spędza sen z powiek. O niczym innymi nie mogę myśleć.

– A jaki to dylemat? Czy może go pan jakoś opisać?

Taki, że kiedyś uduszę Różę gołymi rękami.

– Przyjacielski, ludzki... Związany z pewnym zaskakującym czynem, którego nigdy się nie spodziewałem.

– Ale może pan to skonkretyzuje? Dokładne określenie problemu często pozwala go zracjonalizować, a co za tym idzie, szybciej znaleźć lekarstwo albo rozwiązanie.

Pepe przypomniał sobie wszystkie rozmowy dotyczące domniemanego samobójcy.

– Miałem kumpla. Był na zabój zakochany w kobiecie, która go nie chciała. To znaczy na początku chciała, bo byli w związku, ale po pewnym czasie się wycofała i zerwała kontakt. Kolega próbował o niej zapomnieć, ale nie potrafił. Miał na jej punkcie obsesję. Po tym, jak go rzuciła, wpadł w depresję, z której długo nie mógł wyjść. W końcu wydawało się, że jednak zdołał się podźwignąć, że jest na dobrej drodze do powrotu do stanu normalności, cokolwiek ten by oznaczał, ale kilka dni temu popełnił samobójstwo.

Czy tylko mu się wydawało, czy też brwi Mędrzyckiego uniosły się lekko ze zdziwienia?

– ...wyskoczył z okna biurowca, w którym pracował – dopowiedział Paweł. – Nie mogę się z tym pogodzić. Może łatwiej byłoby mi, gdybym wiedział, że miał ku temu jakikolwiek powód.

Adrian przez moment milczał, patrząc na Pawła uważnie, najwyraźniej rozważając coś w duchu. Rutyna jednak zwyciężyła.

– I co pan czuł w chwili, kiedy dowiedział się pan o śmierci swojego przyjaciela? – zapytał standardowo. – Jakie emocje panu towarzyszyły?

Ciekawe, co by było, gdybym odpowiedział, że szaleńczo się ucieszyłem i natychmiast otworzyłem szampana? – pomyślał Pepe i z trudem opanował się, żeby tak nie odpowiedzieć, choćby dla samej przyjemności zobaczenia miny sztucznie zatroskanego

psychoterapeuty.

– Przede wszystkim zdziwienie – odpowiedział.

Żeby nie wyjść na bezdusznego, szybko dodał:

– Oczywiście także szok i żal, ale przede wszystkim poczułem zdumienie. To była ostatnia rzecz, jakiej mogłem się spodziewać. Tym bardziej, że mój przyjaciel był pod opieką psychoterapeuty.

– O, doprawdy... – powiedział Adrian, ale w jego głosie nie było ani odrobiny zaskoczenia. – To ciekawe. Ale wie pan, są przypadki, w których psychoterapia, i proszę mi uwierzyć, że mówię to z ciężkim sercem, nie jest w stanie pomóc. Czasem natomiast...

Spojrzał na Pawła wzrokiem, który temu wydał się, znamieny. Pepe był pewny, że już po kilku minutach psychoterapeuta domyślił się, czemu zawdzięcza jego wizytę. Z drugiej strony doskonale zdawał sobie sprawę, że niespecjalnie zawoalował swój cel. *Stają się tak dyplomatyczny jak Róża. Kto z kim przestaje...* – pomyślał w duchu z ekspiacją pomieszaną ze złością.

– ...przerywa się ją za wcześnie – dokończył Mędrzycki. – Czasem człowiekowi wydaje się, że jest już wyleczony i to w momencie, w którym tak naprawdę dopiero powinien poważnie przemyśleć swoje postępowanie i przeanalizować uczucia. A potem, kiedy sobie to uświadamia, cóż... Czasem trudno jest przyjąć rzeczy takimi, jakimi naprawdę są. Rozumie pan, co mam na myśli?

Pepe pokiwał głową.

– Sugeruje pan, że mojemu przyjacielowi tylko wydawało się, że wrócił do stanu równowagi, a kiedy okazało się, że tak nie jest, walnęło go to z większą siłą niż wtedy, kiedy walczył z tym po raz pierwszy?

– Mogło tak być, choć, oczywiście, rozważamy to tylko teoretycznie. – Mędrzycki poprawił się w fotelu. – Proszę pamiętać, że czasem wydarzenie, któremu przypisujemy jakąś dużą wagę, w przypadku pana przyjaciela powrót do byłej ukochanej, tylko na początku dają nam poczucie triumfu, euforii. A potem zaczynają się pojawiać wątpliwości i pytania. Czasem bywa tak, że kiedy już

wreszcie wydarzy się coś, na co bardzo czekaliśmy, wcale nie uszczęśliwia nas to tak, jak sobie wyobrażaliśmy.

– No tak. Najważniejsze to gonić króliczka, a nie go złapać.

– Właśnie! Często ludzie mają większą przyjemność z delektowania się swoimi marzeniami niż z ich spełniania. To tak, jak śnić po nocach o tym, że jest się wielką gwiazdą. Wywiady, sesje zdjęciowe, fani... Ale niech pan popatrzy na tych, którzy to marzenie spełnili. Depresje, nałogi, niepokładane życie rodzinne, czasem właśnie próby samobójcze. Czy pan wie, że prawie wszystkie hollywoodzkie gwiazdy mają swojego psychoterapeutę? A dlaczego? Bo spełnienie marzenia okazało się dla nich koszmarem, przeniosło ich w rzeczywistość, w której nie potrafili się odnaleźć, która ich przerosła. A co do samobójstwa pana przyjaciela...

Mędrzycki znów popatrzył na Pawła znacząco.

– Być może nigdy nie odnajdzie pan odpowiedzi, dlaczego zdecydował się na taki krok – powiedział. – Bo nikt jej panu nie udzieli. Czasem w takich sytuacjach nie ma dobrego wytłumaczenia. Nie istniał żaden racjonalny powód, który mógłby pchnąć tego człowieka do tak desperackiego czynu. Ma pan na to moje słowo. I choć to okrutne, co teraz powiem, ale w takiej sytuacji jedyne, co jest ważne, to tylko pana uczucia i pana emocje. Dlatego, jeśli pan pozwoli, zajmiemy się właśnie nimi...

Przez kolejne pół godziny, które dla Pawła rozciągnęły się do tysięcy lat świetlnych, musiał opowiadać o tym, co czuje. I choć większość z tego zmyślił na poczekaniu, to i tak kiedy psychoterapeuta kazał mu przypominać sobie, ile razy jako dziecko został niesłusznie skarcony przez rodziców, miał ochotę rzucić w niego karafką z wodą. Na koniec jednak mile się uśmiechnął, potulnie zgodził, że potrzebuje większej ilości sesji i nawet z rozpędu zapisał się na kolejną za tydzień. Mimo to wyszedł z gabinetu Mędrzyckiego w stanie, który można byłoby najdelikatniej określić mianem wzburzenia. Czując, że musi sobie czym prędzej ulżyć, najlepiej ochrzaniając kogoś, wystukał numer

Róży. Ponieważ pisarka nie odebrała, zadzwonił do Betty.

– Właśnie pojąłem, dlaczego ludzie chodzą na psychoterapię całymi latami – oznajmił wściekle na początku. – Bo przychodzą z konkretnym problemem, a wychodzą z przekonaniem, że mają setkę innych. Wysłałyście mnie, żebym spróbował coś wyciągnąć o samobójstwie naszego truposza, a wyszedłem z solidną ochotą zrobienia awantury swojej mamie za to, że jak miałem pięć lat, nie chciała mi kupić waty cukrowej w lunaparku w Gliwicach. I przekonaniem, że właśnie to jest genezą moich kłopotów z zamówieniem tych cholernych owsianych gęsi.

– To się nazywa psychoanaliza – pouczyła go Betty. – Ciesz się, że nie wysłałyśmy cię na przykład na tantra jogę. Jak mojej koleżance otworzyły się tam czakramy, to rzuciła męża oraz dwójkę dzieci i uciekła z jakimś Zulusem do Lesotho. Teraz mieszka w lepiance i żywi się robalami. Psychoanaliza spowoduje co najwyżej, że na Dzień Matki zamiast wypasionych prezentów będziesz kupował trzy zdechłe tulipany. A poza tym, czego się dowiedziałeś?

Pepe pobieżnie zrelacjonował przebieg początku swojej wizyty w gabinecie.

– Więc jak widzisz – zakończył – on się od razu zorientował, o kogo chodzi i w okrężny sposób odpowiedział na pytanie, z którym do niego przyszedłem.

– Chyba coś przeoczyłam – przyznała Betty. – Skąd taki wniosek?

– No jak to...? – Pepe zrobił teatralną przerwę. – Bo niby skąd wiedział, że dziewczyna Sergiusza dała mu drugą szansę? Ja mu przecież tego nie powiedziałem!

Po drugiej stronie rozległ się taki odgłos, jakby gdzieś obok Betty hamował pociąg.

– Jesteś na dworcu? – zapytał zdumiony Pepe.

– Nie, czemu?

– Bo chyba słyszałem hamulce lokomotywy...

– Gwizdałam – wyjaśniła nieco urażonym tonem Betty. –

Z ekscytacji. Czyli wychodzi na to, że Martyna kłamała i że to wersja Lali była prawdziwa? Że faktycznie dała mu drugą szansę. Ciekawe. Nic już z tego nie rozumiem.

– Ja też nie – powiedział Pepe. – Ale chyba powinnaś to powiedzieć swojemu pięknemu.

– Chyba powinnam. – Westchnęła Betty. – Tylko jak ja mu wytłumaczę, po co posłaliśmy cię do gabinetu, w którym poprzednio zwierzał się nieboszczyk. Znowu czeka mnie awantura, a potem wyrzuty, nadymanie się i dwa tygodnie bez seksu.

Pepe pomyślał, że usłyszał właśnie o prywatnym życiu swojej przyjaciółki więcej, niż kiedykolwiek chciałby się dowiedzieć.

– Tak czy siak, trzeba mu to jakoś dać do zrozumienia...

– Wiem. – Betty znów wydała z siebie przejmujące westchnienie.

– No nic, co ma być, to będzie.

– A przy okazji – przypomniało się Pawłowi – ciekawy jestem, czemu Róża nie odebrała połączenia. Mówię ci, ona coś kombinuje. Widziałem to po jej minie i czuję przez skórę. A skoro nie chciała się swoim pomysłem podzielić nawet z nami, to pewnie wymyśliła większy idiotyzm niż kiedykolwiek wcześniej. Zapamiętaj moje słowa, ona narozrabia tym razem tak, że popamiętamy.

ROZDZIAŁ XV

Podróż z Misterem

– Chyba pojedziemy mostem Grota Roweckiego na Zegrze, a potem przez Przasnysz i Szczytno...

Róża drgnęła i oderwała wzrok od średnio atrakcyjnego nadwiślańskiego krajobrazu za oknem samochodu. Podziwiała go przez ostatnie minuty głównie dlatego, żeby choć przez chwilę nie pożerać wzrokiem kierowcy. Odkąd jakiś kwadrans wcześniej uścisnęła rękę Rafała Maślaka, który podjechał pod jej blok, szarmancko zaopiekował się jej bagażem, a na koniec ulokował ją w swoim volkswagencie z taką rewerencją, jakby była co najmniej angielską królową, Róża – wbrew danej sobie wcześniej obietnicy, że będzie pilnowała się na każdym kroku – z miejsca straciła kontrolę nad swoją wyobraźnią. Ta najpierw kusząco podsunęła jej kilka erotycznych scen rodem ze *Szkoły żon* Magdaleny Witkiewicz, aby szybko przerzucić się na „Moje wielkie greckie wesele”, a następnie ukazać jej wizję białego domku oplecionego kwieciami bugenwilli, gdzie na ganku bawić się będzie gromadka uroczych małych Maślaczków. Obecnie Róża była na etapie rozkoszowania się wizją emerytury spędzanej u boku poznanego kilkanaście minut wcześniej przystojniaka, który w jej fantazji prawie się nie zestarzał. Podobnie zresztą jak ona sama. Można by rzec, że z upływem lat nawet wypiękniała, a już na pewno sporo schudła.

– Słucham? – powiedziała półprzytomnie, wyrwana ze świata swojej imaginacji.

– Mówię, że pojedziemy mostem – powtórzył Rafał z uśmiechem.

– Bo teoretycznie najlepsza droga do Lidzbarka prowadzi przez Płońsk i Olsztynek, ale tam są wiecznie jakieś roboty i co parę minut stoi się w korku. Lepiej będzie jechać na Zegrze...

Róża, która najchętniej wybrałaby się z Maślakiem w podróż

dookoła świata i to kilka razy z rzędu, pokiwała głową z aprobatą. Zrobiła to z tym większym entuzjazmem, że Zegrze skojarzyło jej się z zalewem, a ten z kąpielą. Może przystaną tam na chwilę, kiedy nadejdzie już zachód słońca, a więc idealna pora, aby zażyć kąpieli. Oczywiście nago, bo przecież nie zabrali ze sobą kostiumów kąpielowych. Cudownie! W tym miejscu jej rozszalała wyobraźnia jednak się poddała, a do głosu doszedł rozsądek. W jego przebłysku pisarka wyobraziła sobie, jak wchodzi razem z misterem do wody w zalewie – lodowatej o każdej porze roku – po czym oboje dostają od niej uczulenia, wysypki i parchów, zaczynają się drapać po różnych częściach ciała i w czasie tej czynności zostają zatrzymani przez policję, a następnie, oskarżeni o ekshibicjonizm, spędzają noc w areszcie owinięci w niedoprane i woniejące kocimi sikami koce. Róża westchnęła i postanowiła na razie zastopować snucie mniej lub bardziej oderwanych od rzeczywistości wizji. W końcu nie wybrała się w tę podróż tylko dla przyjemności.

– Bardzo dziękuję, że zgodził się pan na moją propozycję i przyspieszył swój wyjazd. Z różnych przyczyn bardzo mi na tym zależało – powiedziała z wdzięcznością. Rafał popatrzył na nią z uśmiechem.

– Wiem, że mężczyzna nie powinien tego proponować jako pierwszy, ale może skoro mamy udawać bliskich współpracowników, to przejdźmy na ty?

– Jasne. – Róża się uśmiechnęła. – Możemy nawet wypić bruderszaft. Oczywiście, jak już dojedziemy do Lidzbarka. Gdzie jest nasz hotel? Na jakimś zamku?

– Nie słyszałaś o nim? – zdziwił się Rafał.

Widząc, że pisarka przecząco kręci głową, szybko wyjaśnił:

– Hotel Krasicki jest częścią Zamku Biskupów Warmińskich, który wybudowano, o ile się nie mylę, w XIV wieku. Pokoje dla gości znajdują się tam, gdzie dawno temu było przedzamcze.

– Czyli wszystko się tam sypie ze starości, jest zimno i wilgotno, a o północy straszy Biała Dama?

– Wręcz przeciwnie. Jest tam nowocześnie. Spa, wellness,

genialny basen, kilka sal na imprezy. Sztos klimat! Ale pokoje faktycznie kojarzą się ze średniowiecznymi komnatami. Gdyby nie elektryczność, telewizja i kabiny prysznicowe, można byłoby sobie bez problemu wyobrazić, że jest się księciem albo księżniczką.

Róża znów przestała słuchać, bo na ostatnie słowa mistera wyobraźnia ponownie ruszyła ostro do roboty, podsuwając jej kolejną, tym razem bajkowo-historyczną wizję. Ona zamknięta w komnacie na szczycie wieży zamkowej i Maślak w rycerskiej zbroi, na karym rumaku, z kopią w dłoni, galopujący po warmińskich polach i bezdrożach, żeby uwolnić ją z rąk okrutnych bandytów. Na przykład Krzyżaków. O tak, Krzyżacy znakomicie pasują do zamku, wieży i rycerskiej zbroi. I kolejna scena, kiedy po zabiciu w walce kilkunastu wrogów, jej dzielny rycerz zostaje pojmany, a ona, gdy prowadzą go przed oblicze kata, w ostatniej chwili narzuca mu na głowę białą chustkę z okrzykiem „mój ci on!”.

– Jedzenie też jest tam znakomite, choć bardziej na zahartowane męskie żołądki niż delikatne damskie – zachwalał dalej Rafał, nieświadomy, że jego towarzyszka właśnie wrobiła go w rolę Zbyszka z Bogdańca. – Takie swojskie dania. Kaszanka, dziczyzna, czasem jakaś gąska albo kaczka. Ale jakbyś chciała coś innego, to można spacerkiem wybrać się do centrum. Idzie się jakiś kwadrans, nie dłużej. Tam są pizzerie, kebaby, a nawet chyba jakaś restauracja z daniami dla jaroszy. Bo w sumie nie zapytałem, czy jadasz mięso.

Czy ja wyglądam na osobę, która żywi się marchewką, kiełkami i tofu? – zdziwiła się w duchu Róża.

– Oczywiście, że jadam – zapewniła Maślaka. – Kaszankę wręcz uwielbiam. Oczywiście, jak jest dobrze zrobiona. Dziczyznę też. A jak prezentuje się plan zajęć na kolejne dni?

– Dzisiaj, jak dojedziemy, to możemy zamówić na miejscu kolację albo przejść się do miasta i tam coś zjeść. Choć chyba w zamku będzie bardziej romantycznie i nastrojowo...

Róża pokiwała głową, czego mister, zajęty pilnowaniem, aby nie

przeoczyć zjazdu na most, nie zauważył.

– Możemy też iść do miejscowego klubu – zaproponował, interpretując milczenie swojej pasażerki jako dezaprobatę poprzednich planów. – To co prawda straszna mordownia i grają głównie disco polo, ale piwo mają całkiem niezłe...

Róża, która z clubbingu wyrosła dobre dziesięć lat temu, a piwa i disco polo serdecznie nie znosiła, szybko zrewidowała swoje niedawne postanowienie, że gotowa jest udać się z Maślakiem wszędzie, gdzie tylko ów sobie zażyczy. Tym bardziej, że owo „wszędzie” miało w jej głowie postać bezludnej rajskiej wyspy położonej w tropikach z dala od cywilizacji, a nie jakiejś szemranej speluny. Z dwojga złego lepiej już zostać w zamku, nawet gdyby miano im tam zaserwować nie tylko kaszanke czy dzika, ale nawet salceson i mózdzek, których nie cierpiała.

– Nie, nie – zaprotestowała ogniście. – Gdy dojedziemy, to pewnie będziemy już zbyt zmęczeni na rozrywki. Kolacja w zupełności wystarczy. A do klubu wybierzemy się kolejnego wieczoru.

– Obawiam się, że już nie będzie kiedy – stwierdził Rafał, nieświadomie zdejmując jej kamień z serca. – Potem nie będzie już ani chwili wolnego. Ale nie ma czego żałować. Myślę, że raczej by ci się tam nie spodobało. Zostańmy więc przy kolacji. Jutro z rana zaczną się zjeżdżać chłopaki, kilku pewnie już jest. O czternastej przewidziane jest oficjalne powitanie i lunch, a o dziewiętnastej coś w rodzaju wieczorku integracyjnego, choć na dobrą sprawę wszyscy się już znają jak łyse konie. A od kolejnego poranka zaczynają się próby do gali. Już pod okiem reżysera, choreografa i ludzi z TelePolu, którzy w wolnych chwilach będą kręcić chłopakom wizytówki i robić z nimi wywiady na potrzeby transmisji.

– Powiedziałeś, że wszyscy znają się jak łyse konie? – podchwyciła Róża. – Ty też coś o nich wiesz?

– Tylko o niektórych.

– Na przykład?

– Znam Rolanda Zdunka i Wasyla Miruka, bo ćwiczymy na jednej

siłowni – wyjaśnił Rafał, ku radości Róży rozpinając drugi górny guzik koszuli.

Pisarka nie miała nic przeciwko temu, żeby prowadził auto w ogóle bez żadnych, niepotrzebnych przecież przy tak ciepłym wieczorze, tekstyliów.

– Spotkałem też na kilku imprezach Jakuba Perchucia. Nie zrobił na mnie dobrego wrażenia, choć chyba, niestety, bez wzajemności. Usiłował mnie nawet poderwać.

– Serio? – spytała Róża, starając się udąć zaskoczenie, choć w sumie wcale ją to nie zdziwiło. To oczywiste, że na kogoś takiego jak Maślak musiała się rzucać cała żywina, niezależnie od płci, koloru skóry, wyznania i przekonań politycznych.

– A potem narwał się na mojego brata. – Roześmiał się mister. – Ja tam jestem tolerancyjny. Jak jakiś facet składa mi nieprzyzwoitą propozycję, to po prostu grzecznie daję mu do zrozumienia, że trafił pod zły adres. Ale Olek przyjeżdża do Warszawy rzadko i jeszcze się nie przyzwyczaił do bezpośredniości niektórych tutejszych imprezowiczów, więc czasem zdarza mu się zareagować nerwowo. Trafiło na Jakuba. Ale to i dobrze. Wyjątkowo śliski typ.

Róża słuchała jego słów niezbyt uważnie, bardziej zaciekawiona tym, jak prezentuje się brat jej kompana i czy jest równie przystojny i czarujący. Że też go od razu nie sprawdziła w Internecie!

– No i kilka razy rozmawiałem też z nieboszczykiem – powiedział Rafał. – Oczywiście, jak był jeszcze żywy, bo na szczęście nie jestem medium i nie mam żadnych nadprzyrodzonych zdolności.

Róża błyskawicznie odzyskała przytomność umysłu.

– Znałeś Sergiusza? – Bez mała krzyknęła. – I dopiero teraz mi o tym mówisz?!

– Przecież spotkałem cię pół godziny temu – powiedział Rafał przepraszającym tonem. – Jakoś nie było jeszcze okazji. Nie bij! Tym bardziej, że nie nazwałbym tego nawet znajomością. Widzieliśmy się po prostu parę razy, bo jego szefowa złożyła mi

propozycję reklamowania sprzętu sportowego. Wiesz, że Sergiusz pracował w firmie Projekt Gold? Miałem zostać jej twarzą i szczegóły negocjować właśnie z nim. Na pierwszym spotkaniu ostrzegł mnie, żebym się w to nie pakował, bo mogę potem żałować. To było dziwne, bo Projekt Gold radzi sobie całkiem nieźle i sprawia wrażenie dość prężnej, solidnej firmy. Jest nawet jednym ze sponsorów gali Mistera Polonia.

– A wytłumaczył ci, dlaczego masz nie przyjmować propozycji?

– Nie. Po prostu powiedział, że na moim miejscu nie podpisywałby umowy. Co najdziwniejsze, posłuchałem go. Wiesz, miał w sobie coś, co budziło zaufanie. Poznawałaś go, zamieniałaś z nim kilka słów i od razu wiedziałaś, że to dobry człowiek.

Róża pokiwała głową ze zrozumieniem, bo choć sama nigdy nie zamieniła z samobójcą nawet jednego zdania, to wiele razy spotykała ludzi, o których od razu wiedziała, że są przyzwoici. Właściwie nie tyle ludzi, co mężczyzn. Może dobro wytwarza jakieś pozytywne wibracje? *Dobrze, że nie ma Pepe, bo już on by powiedział, jakie pozytywne wibracje mam na myśli* – pomyślała z przekąsem.

– I tak poza tym pogadaliśmy o jakichś pierdołach – kontynuował Rafał. – Wypytywał mnie trochę o te konkursy, czy faktycznie coś dają. Powiedziałem mu, że owszem. Jeśli tylko człowiek pokaże się z dobrej strony, a w dodatku zwycięży, to można potem coś z tego wyciągnąć dla siebie. Kontrakty reklamowe, fuchy w programach telewizyjnych. Tylko trzeba mieć do tego dryg i pomysł na siebie, a przede wszystkim lubić to, co się robi. No i mieć skórę jak hipopotam. Bo sława ma swoje blaski, i jest ich zdecydowanie więcej, ale ma też i cienie. Ale o tym pewnie nie muszę cię przekonywać.

– Czy ja wiem? – Róża się zamyśliła. – W świecie literackim to słowo ma nieco inne znaczenie. Popularne mogą być co najwyżej nasze książki, a nie my sami. Sam tylko zobacz, w prasie i telewizji zobaczysz piosenkarzy, aktorów, tancerzy, polityków. A pisarzami media interesują się tylko od wielkiego dzwonu.

Trzeba być takim fenomenem jak Grochola albo Bonda, żeby zaistnieć wśród ludzi jako konkretna osoba z krwi i kości, a nie tylko nazwisko na okładce książki. Jedyne miejsca, w których przekonujemy się czasami twarzą w twarz, że ktoś nas lubi, to biblioteki albo targi książki. I tak dobrze, że jest Facebook.

– A czy aby nie jest to bardziej komfortowa sytuacja? – zastanowił się Rafał. – Robicie swoją robotę, pewnie się z niej jakoś utrzymujecie i nie jesteście przy tym specjalnie narażeni na ataki wielbicieli albo raczej pseudowielbicieli. Możecie spokojnie iść środkiem miasta i nikt was nie nakręci z ukrycia albo nie będzie pokazywał palcem znajomym. Niby jestem w tym biznesie od paru lat, a ciągle mnie to trochę krępuje.

– Aż tak cię atakują, biedaku? – powiedziała Róża współczującym tonem, czując, że w dziedzinie hipokryzji zasługuje już na Nobla, bo przecież sama od kilkunastu minut z całych sił opanowywała się, żeby nie zaatakować swojego towarzysza. Jedyne, co ją hamowało, to trzeźwa myśl, że atak na kierowcę auta jadącego ponad sto kilometrów na godzinę niechybnie zakończyłby się koniecznością publikacji w gazetach dwóch nekrologów.

– W granicach normy. Ale miałem kilka psychofaneek, które najpierw wypisywały do mnie niestworzone rzeczy w Internecie, a potem śledziły mnie po mieście albo wystawały pod moim domem. Z czasem stało się to trochę męczące.

– Doskonale to rozumiem... – powiedziała Róża, myśląc smętnie w duchu, że pod jej mieszkaniem nikt nigdy nie wystawał poza jej mamą, która kiedyś zapomniała klucza, i że chyba nie miałyby nic przeciw temu, żeby dorobić się choć jednego psychofana. Oczywiście, niegroźnego i najlepiej nieśmiałego. Takiego, który zostawiałby jej kwiaty na wycieraczkę i wysyłał maile pełne zachwytów nad nią i jej twórczością.

– No właśnie – podchwycił Rafał. – Sergiusz też mnie zrozumiał. Sam miał problem z jakąś kobietą, która nie chciała mu dać spokoju.

– Z jaką kobietą? – spytała z roztargnieniem Róża, zajęta

wyobrażaniem sobie momentu, gdy jej psychofan okazuje się być bliźniaczą kopią Ryana Goslinga, oświadcza się jej na kolanach z diamentowym pierścieniem w dłoni, ona odpowiada „tak”, po czym spędza u jego boku resztę życia, noszona na rękach i czczona niczym bogini Afrodyta.

– Tak dokładnie to już nie pamiętam. Chyba była narzeczoną czy coś w tym stylu. O, kurna!

Okrzyk Rafała sprawił, że Róża oderwała się od swoich romantycznych wizji i z niepokojem spojrzała na drogę. Ponieważ nie działo się tam nic usprawiedliwiającego nerwową reakcją jej kompana, zwróciła wzrok na niego.

– Przepraszam, ale na śmierć zapomniałem, że miałem zabrać do Lidzbarka jednego z chłopaków – wyjaśnił Rafał zmartwionym głosem. – Kiedy zadzwoniłaś i przyspieszyłaś nasz wyjazd, zupełnie wyleciało mi to z głowy.

– Chcesz teraz po niego wracać? – zapytała niepewnie Róża, niezbyt zadowolona nie tyle z faktu, że nadłożą drogi, ile raczej z tego, że w czyjejs obecności nie będzie mogła podrywać Rafała. A przynajmniej nie tak nachalnie jak planowała.

– Nie, on mieszka w Pułtusku – wyjaśnił Rafał. – Mamy go po drodze. Pytanie tylko, czy jest przygotowany do wyjazdu. Musiałbym do niego przekręcić... Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciw temu, żebyśmy go zabrali?

– A cóż mogłabym mieć? – odpowiedziała Róża, w duchu łudząc się nadzieją, że może ów ktoś nie odbierze połączenia.

– To fajny gostek, trochę zakręcony, ale pozytywnie – powiedział Rafał, zjeżdżając na pobocze i powoli wyhamowując samochód. – Na pewno przypadniecie sobie do gustu. Ma na imię Mariusz, ale wszyscy wołają na niego Mario.

W tym momencie Róża wyleciała z głowy wszystkie amory, podrywy i miłosne wizje, a zamiast nich ruszył wreszcie do boju instynkt autorki kryminałów. Mario! Chłopak, którego koniecznie chciała poznać i w tym celu jechała do Lidzbarka, sam pchał jej się w ręce. Lepiej być nie mogło! Choć jeszcze kilka sekund wcześniej

była nabzdyczona i nieszczęśliwa, że ktoś do nich dołączy, teraz w duchu trzymała mocno kciuki za to, aby Mario został ich współpasażerem. I odetchnęła z ulgą na wieść, że ów jest prawie gotowy do drogi i mogą po niego jechać. Oczywiście, gdyby tylko mogła przewidzieć, jak będzie wyglądało ich spotkanie, jej nastrój byłby o wiele, wiele gorszy.

ROZDZIAŁ XVI

Podejrzana

Lala przez kilka minut patrzyła na ekran swojego laptopa, a wyraz jej twarzy z wolna zmieniał się ze zdziwionego w przerażony. Nie rozumiała nic z tego, co wyświetliło jej się przed oczami. Nerwowo jeździła myszką po ekranie, otwierając kolejne aplikacje i programy, aż wreszcie poczuła, że z nadmiaru emocji zaczyna jej brakować oddechu. Odsunęła krzesło, wstała, wzięła kilka głębszych oddechów i zrobiła kilka kroków w stronę biurka, przy którym siedział jeden z jej współpracowników.

– Czy mógłbyś na chwilę oderwać się od montażu i spojrzeć, co się dzieje z moim komputerem? Proszę... – powiedziała łagodnym głosem, starając się ukryć zdenerwowanie. Mężczyzna spojrzał na nią ze zdziwieniem, bo z reguły dostawał od niej jedynie krótkie polecenia wypowiedziane lodowatym, rozkazującym tonem i czasem zastanawiał się, czy w ogóle zna ona jakiegokolwiek, nawet i podstawowe, zwroty grzecznościowe. Jak widać, a i owszem.

– A co jest nie tak? – zapytał, przesuwając się na obrotowym krześle w stronę biurka swojej koleżanki.

– Coś dziwnego stało się z moją skrzynką pocztową. Zniknęły niektóre moje wiadomości, a zamiast nich pojawił się inne...

– Co ty opowiadasz? – zdziwił się mężczyzna, przesuwając laptopa tak, aby mieć go tuż przed sobą. – Na przykład?

– O, popatrz tu. – Lala popukała palcem, wskazując kilka pozycji w katalogu wiadomości odebranych. – Data się zgadza, nadawca maila też, ale treść maila jest zupełnie inna niż była. Jak to możliwe?

– Możesz mieć wirusa – stwierdził niepewnie mężczyzna. – Ale to dziwne, bo one z reguły raczej koszą całe wiadomości, a nie zmieniają ich treść. O takim czymś jeszcze nie słyszałem. Ale chyba wszystko jest możliwe. Masz tu zainstalowany jakiś

program antywirusowy? Poczekaj, sprawdzę.

Przez kilka chwil dokonywał tajemniczych operacji w laptopie, pomrukując coś pod nosem. Lala czuła, jak w tym czasie przez jej głowę przebiega tysiąc myśli. Jeszcze nie umiała ich uporządkować, ale czuła, jak z wolna wszystko zaczyna nabierać kształtu. Niestety, mocno niepokojącego.

– Ściągam ci nowego antywirusa, bo ten, który miałaś, był kompletnie do niczego, a poza tym i tak nie działał, bo skończyła mu się licencja – wyjaśnił mężczyzna. – Nie dostawałaś żadnych komunikatów, że system nie jest chroniony?

– Może i dostawałam. – Lala wzruszyła ramionami. – Ale nie zwracam na takie rzeczy uwagi, tylko od razu je kasuję z ekranu. Kto by się w tym wszystkim połapał...

– Ale ogólnie zdajesz sobie sprawę, że laptopa trzeba czasem uporządkować i wyczyścić? – zapytał ironicznie mężczyzna. – I bynajmniej nie mam tu na myśli przemycia szmatką klawiatury i obudowy.

– Nie traktuj mnie jak idiotki! – prychnęła dziennikarka typowym dla siebie nieprzyjemnym tonem. – Trzy dni temu kręcił się tu przecież wieczorem informatyk, instalował nam nowe wersje programów i przy okazji przeprowadzał konserwację sprzętu, czy jak to tam się fachowo nazywa.

– Naprawdę? – zdziwił się mężczyzna. – I niby jak ten informatyk wyglądał?

– Taki starszy, przygarbiony facet, siwawy, w okularach – przypomniała sobie Lala. – W sumie to nawet go dobrze nie pamiętam. A czy to takie ważne?

– Owszem. – Mężczyzna pokiwał głową. – Bo informatyk w tej firmie jest jeden i tak się składa, że jest młodym szczupłym chłopakiem, który tydzień temu złamał sobie obojczyk na wakacjach. Pojechał z deską na Rodos i chciał się popisać przed lokalnymi dziewczynami, że ma surfing we krwi. Niestety zapomniał, że ma tam przy okazji też prawie dwa promile ouzo. Więc nie wiem, kim był twój starszy facet, ale na pewno nie

naszym informatykiem. Poza tym ja sobie nikogo takiego tu nie przypominam.

Dziennikarka poczuła, jak robi jej się zimno. Dokładnie miała przed oczami scenę, jak przekazuje siwemu panu swój laptop i podaje login do systemu, a potem zostawia go samego i idzie do redakcyjnej kuchni zaparzyć sobie kawę.

– Zapuszczam ci nowego antywirusa. – Głos mężczyzny oderwał ją od wspomnień. – Trochę potrwa, zanim zeskanuje cały dysk. Pewnie tak z kwadrans albo nawet dłużej. Pozwolisz, że dokończę w tym czasie swoją robotę. Już i tak wyrabiam tu normę jak w koreańskim obozie pracy.

Lala kiwnęła głową. Przez chwilę gapiła się w wyświetlający się na ekranie pasek postępu skanowania, po czym odwróciła się i wyszła z podzielonego na kilkanaście komórek open space'u. Przeszła przez korytarz, a potem użyła swojej karty magnetycznej i otworzyła bramkę wyjściową. Znalazła się w holu, gdzie znajdowała się recepcja. O tej porze nie było już żadnej z pracujących tu dziewczyn. Jak zawsze zastąpiło je dwóch ochroniarzy, którzy pilnowali siedziby TelePolu nocą. Jeden z nich był mocno zażywnym i nieco łysawym panem koło pięćdziesiątki, a drugi sympatycznym, szczupłym trzydziestolatkiem z bujną jasną czupryną i wąsem à la Lech Wałęsa.

– Przepraszam – powiedziała Lala, podchodząc do stołu, za którym siedzieli ochroniarze. – Mam pytanie, które pewnie zabrmi idiotycznie, ale czy mogliby panowie sprawdzić, kto wychodził z firmy trzy dni temu koło dwudziestej pierwszej.

– Jasne – powiedział wąsaty, sięgając po jakąś opasłą i mocno sfatygowaną księgę. Przez chwilę wertował jej strony, po czym spojrzał na Lalę z lekkim zdziwieniem. – Trzy dni temu po dwudziestej pierwszej nie wychodził stąd nikt.

– Jest pan tego pewny?!

– Tak przynajmniej wynika z rejestru. O godzinie dwudziestej dwadzieścia pięć zdawał swoje klucze pan Zenon Jasiński, a potem dopiero o dwudziestej drugiej czternaście pan Jasłoń.

– Pani Jasłoń. To ja.

– A, bardzo mi miło – odparł, uśmiechając się do niej sympatycznie. – Przepraszam, ja tu jestem dopiero od dwóch dni i jeszcze wszystkich nie znam.

– Nie szkodzi – mruknęła Lala. – Jest pan pewny, że między mną i Zenkiem nikt nie opuszczał tego gmachu?

– Mnie tu wtedy nie było, a w książce są tylko ci, którzy oddają klucze – zafrapował się wąsaty. – Jak bardzo pani chce, to możemy sprawdzić zapis monitoringu.

– Owszem, bardzo mi na tym zależy.

– To chwila. – Wąsaty spojrzał niepewnie na swojego towarzysza. Ten wzruszył obojętnie ramionami. – Bo my tutaj nie mamy dostępu. Tam jest hasło, które zna tylko nasz szef. Musiałaby go pani przekonać, żeby je pani podał.

W tym momencie Lala gotowa byłaby nawet nakłonić Donalda Trumpa, żeby przefarbował się na bruneta, więc i szef ochrony nie był jej groźny. W ciągu kilku minut wydobyła od niego telefonicznie niezbędne hasło, a po kolejnych paru patrzyła już na obraz pokazujący puste bramki wejściowe do siedziby telewizji. Ponieważ oglądała go na przyspieszeniu, nie potrzebowała dużo czasu, aby przekonać się, że wąsaty się nie mylił. Faktycznie, tego wieczoru ani nocy siedziby TelePolu nie opuścił nikt, kto przypominałby człowieka podającego się jej wtedy za informatyka. Nie było po nim żadnego śladu, po prostu nic. Jakby się rozpląnął w powietrzu! Jak to możliwe?!

– Czy pan miał wtedy dyżur? – zapytała wąsatego, filującego jej z ciekawością przez ramię.

– Nie – odpowiedział. – Pracuję tu dopiero od wczoraj.

– Trzy dni temu – włączył się starszy ochroniarz – dyżurował tu tylko jeden kolega, bo drugi się wtedy rozłożył. Jakaś grypa go złapała czy coś.

– A ten, który tu wtedy był, to kiedy będzie miał znowu dyżur?

– Obawiam się, że jego pani już tu więcej nie zobaczy – powiedział ochroniarz. – I nie tylko tu.

– Co pan ma na myśli? – zapytała Lala, znów czując dziwny niepokój.

– Nie żyje – odpowiedział ochroniarz. – Zatruli się na jakimś bankiecie, no i niestety go nie odratowali. Pewnie grzyby. To zdradliwe swołócze. Ja to unikam ich jak mogę. Moja matka kiedyś też o mało co nie wysłała przez nie połowy rodziny na tamten świat. Ma szkła w okularach jak denka od butelki, ledwo co ślipi, wnuków nie potrafi już odróżnić po twarzach, ale oczywiście poszła do lasu i nazbierała kurek. A przynajmniej tak jej się wydawało. I zrobiła z nich supę. Dobrze, że pierwszy dobrał się do niej pies. Biedak padł po kilku minutach. Szkoda go, bo rasowy był i nasienie miał dobre. Reprodukował jak się patrzy. Ile myśmy na nim zarobili! No, ale lepiej, że trafiło na niego, a nie na przykład na moich synów. Chociaż z drugiej strony na nich tyle nie zarabiamy...

Do Lali nie za bardzo dotarła opowieść o mającej problemy okulistyczne trucicielce reproduktorów, bo od dłuższej chwili zajęta była swoimi doznaniem wewnętrznymi. Wyraźnie czuła, jak zaciska jej się żołądek, serce przesuwa w stronę przełyku, a żyły w głowie zaczynają pulsować niczym wulkaniczna lawa tuż przed erupcją. Ostatkiem sił podziękowała ochroniarzom i wolnym krokiem wróciła do open space'u.

– Dobrze, że jesteś – powitał ją kolega. – Antywirus nic nie znalazł w twoim kompie. Jest czysty. Jesteś pewna, że te wiadomości się zmieniły? Bo jeśli to nie sprawka wirusa, to naprawdę nie wiem, jak mogły się zamienić. Musiałabyś się dopytać jakiegoś fachowca. Jeśli chcesz, to mogę ci dać adres do dobrego serwisu komputerowego.

Lala kiwnęła głową. Jej kolega zaczął szukać adresu polecanego przez siebie zakładu, a ona podeszła do okna, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i spróbować choć na moment opanować bałagan w swojej głowie. Dziennikarka słynęła z tego, że nawet w najgorszej sytuacji potrafi zachować zimną krew. Dotyczyło to jednak głównie kwestii służbowych, a ta obecna do takich nie należała. To, co się zdarzyło, nie miało żadnego sensu. Po co ktoś

miałby zmieniać treść jej prywatnych maili. Czemu miało to służyć, skoro osoby, z którą konwersowała, nie było już na świecie? Chyba że... W głowie Lali zaczęło się tworzyć pewne podejrzenie. Początkowo uznała je za absurd, ale gdy raz je sprecyzowała, nie mogła się już od niego oderwać. Znowu poczuła, że po plecach przechodzi jej dreszcz i w tym samym momencie zobaczyła, jak pod siedzibę TelePolu podjeżdża radiowóz. Przez chwilę bezmyślnie patrzyła, jak wysiada z niego dwóch policjantów, po czym rzuciła okiem na swój komputer wyświetlający treść jednego z podmienionych maili. Znowu spojrzała za okno. Policjanci kierowali się w stronę wejścia do gmachu. Lala uświadomiła sobie, że nie ma wiele czasu do namysłu. Przez chwilę rozważyła wszystkie za i przeciw, po czym szybko podbiegła do swojego biurka. Otworzyła górną szufladę i sięgnęła po mały okrągły przedmiot. Następnie przebiegła do wyjścia z open space'u, po drodze wyłapując zdziwione spojrzenie swojego kolegi. Dopadła do windy, która na jej szczęście stała na piętrze i od razu się otworzyła. Lala nerwowo wcisnęła guzik z napisem „-1”, a kiedy na wyświetlaczu pojawił się komunikat „Access denied”, przejechała zabranym przez siebie przedmiotem między przyciskami. Ku jej uldze rozległ się krótki sygnał dźwiękowy, a napis na wyświetlaczu zmienił się na „Access authorised”. Winda ruszyła. Po kilkunastu sekundach Lala znalazła się w miejscu, gdzie jeszcze kilka miesięcy temu znajdował się podziemny parking. Kiedy jednak TelePol się rozrósł, zdecydowano się utworzyć wygodniejszy, wielopoziomowy garaż naziemny, a miejsce po starym wykorzystać w inny sposób. Ponieważ jednak nikt nie wymyślił w jaki, stało ono puste. Zablokowano jedynie wejście do niego, szyfrując odpowiednio windę, która na tym poziomie się nie otwierała. No chyba, że miało się do niej magnetyczny klucz. Lala rozejrzała się po pomieszczeniu, usiłując przypomnieć sobie, gdzie znajdował się wyjazd z niego i dumając w panice, czy oby nie został on czymś zastawiony albo wręcz zamurowany. Na szczęście nic takiego nie miało miejsca. Po kilku chwilach Lala wyszła z gmachu od drugiej

strony niż ta, którą kilkadziesiąt sekund wcześniej weszli do niego policjanci. Po czym, nie zastanawiając się już ani chwili, zaczęła biec. Zwolniła dopiero wtedy, kiedy siedziba TelePolu zniknęła jej z oczu, zasłonięta innymi budynkami.

ROZDZIAŁ XVII

Mario

– Cześć Maślaczku, mój kochany – zapiszczał cienki, ale niewątpliwie męski głos.

Róża odwróciła się w lewą stronę, ale w szybie, za siedzącym obok niej Rafałem, zobaczyła jedynie fragment spodni w upiornym, wściekle różowym kolorze. Rafał westchnął, powiedział do niej: „No, to się przygotuj” i wysiadł z samochodu. Po chwili usłyszała, jak otwiera, a potem zamyka bagażnik, a następnie, jak po jej stronie auta otwierają się tylne drzwi.

– Ciao, bellissima! – usłyszała za sobą.

Odwróciła się i w ostatniej chwili zdławiła okrzyk przestachu. Miała wrażenie, że patrzy na upiora. Chłopak, bo niewątpliwie był to osobnik płci męskiej, miał upiornie bladą twarz, z dziwnymi czerwonymi plamami na policzkach, na nosie ogromne czarne okulary, na głowie dziwaczny bordowo-granatowy kapelusz i prezentował się jak postać z horroru. Róża też musiała zrobić na nim nie najlepsze wrażenie, bo młodzieniec rzucił na nią okiem, po czym złapał się za serce.

– Uoooh... – Teatralnie zaczerpnął oddech, po czym zsunął sobie z nosa okulary. Miał duże oczy z nienaturalnie wyglądającymi długimi czarnymi rzęsami i gęste, prezentujące się jak dolepione, czarne brwi. – Odrost!

– Słucham? – zdziwiła się Róża.

– Co to za odrost?! – jęknął młodzieniec. – Nie mogę na to patrzeć!

Pisarka miała wrażenie, że chłopak za chwilę się rozplacze. Odwróciła się i spojrzała w lusterko. No owszem, farbowała się już jakiś czas temu, ale jej zdaniem ciągle wyglądała całkiem nieźle.

– Agnieszka Stańczyk – powiedziała, pomna swoich ustaleń z Maślakiem, odwracając się z powrotem do młodzieńca

i wyciągając rękę. – Jestem nową asystentką Rafała...

– Z tym odrostem też bym się na pani miejscu nie przyznawał do swojego prawdziwego nazwiska – powiedział złośliwie chłopak, omdlewającym gestem ściskając jej dłoń. – W takim razie ja dla pani jestem Conchita Gaga Miley Kardashian, ale może mi pani też mówić Mario. Oczywiście pod warunkiem, że ja będę panią tytułował Różą, albo oboje, pajace, wyjaśnicie mi, o co tu chodzi.

Róża i Rafał wymienili się niepewnymi spojrzeniami. Mario westchnął i otworzył kuferek, z którym wszedł do samochodu.

– Zastanówcie się, co chcecie mi powiedzieć, a przez ten czas jeszcze nie ruszajmy – powiedział, wyjmując z kufereka kilka tubek, małych pojemniczków i pędzelków. – Muszę dokończyć twarz. Narobiliście takiego alarmu, że musiałem przerwać w połowie. Przecież nie mogę się tak nikomu pokazać na oczy! Już wystarczy, że wy mnie widzicie w takim dramatycznym stanie. Wyglądam jak nieboszczyk po ekshumacji.

Z tym akurat Róża skłonna była się zgodzić. Przez chwilę z podziwem obserwowała, jak Mario, ze sprawnością godną doświadczonej kosmetyczki, nakładał sobie na twarz kolejne kosmetyki, po czym wróciła wzrokiem do Rafała. Ten rozłożył bezradnie ręce.

– Wydaje mi się, że trzeba go wtajemniczyć... – powiedział z uśmiechem. – Zdaje się zresztą, że on i tak wszystko wie.

– O tym, że znana pisarka kryminałów stała się świadkiem samobójstwa świetnie zapowiadającego się młodego pracownika biznesowego, który, tak się składa, był murowanym kandydatem do tytułu Mistera Polonia – rzekł obojętnym głosem Mario, zajęty nakładaniem na twarz rozświetlającego korektora. – A potem jej przystojny agent, a zarazem całkiem zdolny kucharz usiłował za pomocą swoich potraw wysłać na tamten świat pozostałych przy życiu uczestników imprezy? Czy też o tym, że potem owa pisarka postanowiła jechać w towarzystwie byłego mistera do Lidzbarka Warmińskiego, gdzie, cóż za koincydencja, odbywają się ostatnie próby przed galą, w czasie której zostanie wybrany nowy

najprzystojniejszy Polak? I niestety, mimo nieskazitelnej urody, nie będę to ja? To niby mam wiedzieć?

Róża i Rafał gapili się na niego niczym na przybysza z innej planety. Obojgu nie przychodziła na myśl żadna kwestia, którą dałoby się w tej chwili wygłosić.

– Od razu, kochana, powiem ci – kontynuował Mario, odkładając korektor i sięgając po puder w kremie – że nie masz co się napalać na naszego gładkoliciego Maślaczka. Jak znam twoją reputację, to zdążyłaś już go w myślach nie tylko zbałamucić, ale i poślubić. Rozczaruję cię, skarbie. On ma narzeczoną. Młodszą, seksowniejszą, znacznie, znacznie szczuplejszą i bez takiego koszmarne go odrostu.

Rafał parsknął. Róża zrobiła oburzoną minę.

– Co ty sobie wyob... – zaczęła gniewnie, ale Mario oderwał od swojego policzka gąbeczkę, którą rozprowadzał puder, i pacnął ją zalotnie w nos.

– Oj, już się tak nie dąsaj, skarbie – powiedział pojednawczo. – Bo ci się ze złości te linie przy oczach zaczną zamieniać w kaniony.

Róża aż zachłysnęła się z irytacji.

– Przecież i tak wiem, że nie jedziesz tam tylko dla Rafała – dokończył spokojnie Mario. – Tylko dla... no, zastanówmy się. Obstawiałbym, że przemierzasz tę piękną drogę do Lidzbarka, aby poznać tam i pociągnąć za język największego plotkarza wśród potencjalnych misterów. A przy okazji cudownego i pięknego chłopca, który najlepiej orientuje się, co w trawie piszczy. Któż to może być?

Z kuferka wyjął niewielkie lustro w stylizowanej na starodawną i bogato zdobionej ramce. Wolno zbliżył je do swojej twarzy.

– Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie... – wyszeptał, po czym oderwał wzrok od swojego odbicia i popatrzył badawczo na Różę. – Mam rację?

Pisarka, oszołomiona performancem odstawionym przez nowego znajomego, bez słowa pokiwała głową.

– To jak? Jesteś w stanie pomóc, ty nasza Śnieżko? – zapytał za nią Rafał. – Faktycznie wiesz coś o tej całej aferze?

Mario spojrział na niego z zaskoczeniem.

– Ależ oczywiście! – prychnął. – Nawet jeśli czegoś nie wiem, to wielu rzeczy się domyślam. Niektóre sprawy są dla mnie oczywiste, a niektóre tylko zgaduję. Ale nie powiem niczego, póki ta kobieta nie zrobi czegoś z tym diabelnym odrostem. I twarzą! W końcu nie jesteśmy w buszu afrykańskim, żeby wyglądać jak zwierzęta. Nie życzę sobie rozmawiać z kimś, kto prezentuje się tak, jakby nigdy nie przekroczył świętego progu Sephory. Mój warunek brzmi następująco: idziemy do mnie na górę, włączamy kamerę i filmujemy, jak zaniedbana znana pisarka przeobraża się w oszałamiająco piękną znaną pisarkę. Spróbuję dokonać tego cudu. A potem dostanę na piśmie gwarancję, że mam prawo wykorzystać ten filmik na swoim blogu. Oczywiście po montażu. Muszę nałożyć jakiś mocny filtr i na tę twarz, i na odrost, bo przecież moi widzowie zemdleją na widok takiej ohydy. Taka jest moja propozycja. Jeśli jej nie przyjmiecie, kończymy negocjacje.

– Nie przesadzasz, stary? – zapytał Rafał z lekkim niesmakiem, widząc nieszczęśliwą minę Róży. – A poza tym, przydałoby się trochę dyplomacji...

– Albo pozwolicie Mario działać, albo jego usta są zasznurowane!

Rafał popatrzył pytająco na Różę. Ta z kwaśną miną skinęła głową, zgadzając się na żądanie chłopaka.

– W takim razie ruszamy do Lidzbarka za jakieś dwie godziny – powiedział uszczęśliwiony Mario. – A teraz zapraszam do mojego królestwa.

Róża otworzyła drzwi i już chciała wysiąść z auta, kiedy przyszła jej do głowy jedna myśl.

– Zgodzę się na tę całą szopkę – powiedziała stanowczo, odwracając się do Mario. – Pod warunkiem, że odpowiesz mi na jedno pytanie...

Chłopak spojrział na nią uważnie i lekko zmrużył oczy, przybierając poważną minę.

- Cały zamieniam się w słuch.
- Czy te dwie śmierci to były morderstwa? – zapytała Róża.
- Kochanie... – Twarz chłopaka wykrzywił trudny do zdefiniowania grymas. Rozbawienie? Politowanie? Irytacja? – Nie miej co do tego żadnych złudzeń.

ROZDZIAŁ XVIII

Poszukiwania Róży

– O święty Antoni z Padwy! – Wyraźnie wstrząśnięta Cecylia szorowała patelnię druciakiem, nie zwracając nawet uwagi na to, że tym sposobem czyni ją niezdatną do użytku. – Takie nieszczęście, takie nieszczęście...

Pepe z trudem hamował irytację. Wynikała ona zarówno z tego, że z gospożą Róży rozmowa szła mu tego wieczora jak po grudzie, jak i z faktu, że Cecylia na jego oczach niszczyła sprzęt kuchenny. Podobnie jak on musieli się zapewne czuć mieszkańcy starożytnego Rzymu, kiedy patrzyli na barbarzyńców rujnujących ich ukochane miasto.

– Ale nic nie wspominała? – zapytał kolejny raz. – Nie zostawiła żadnej wiadomości?

– No, toć mówię, że nie! – Cecylia miała łzy w oczach. – Wyszłam zrobić sprawunki na jutro. Jak przyszłam, to jej już nie było. I walizki nie było. Tej ładnej, drogiej ze złotą rączką...

– Gdzie ją wyniosło? – Pepe zadał to pytanie bardziej sobie niż gospośi. – Żeby tylko w nic się nie wpakowała.

– A ja mówię złociutkiemu, że to jakieś nieszczęście. – Cecylia dokończyła rzeź patelni i przerzuciła się z druciakiem na garnek. Pepe ostatkiem woli opanował się, aby jej nie udusić gołymi rękami. – Pani Różyczka nigdy nie wyłącza telefonu. Nawet jak idzie za potrzebą do ubikacji, to też go tam ze sobą zabiera. Musiało się zdarzyć coś przerażającego. Ja to czuję w kościach. Zaraz pójdę różaniec zmówić i do świętej Blandyny się pomodlić. Ona nad pomocami domowymi opiekę roztacza, to może i mnie pomoże. Tylko dokończę kuchnię sprzątać.

Chyba rujnować – pomyślał Pepe. Westchnął ciężko i żeby nie patrzeć na to, co Cecylia wyczynia w jego ulubionym domowym pomieszczeniu, przeszedł do salonu. Tam wyciągnął telefon

i zadzwonił do Betty. Zaniepokojona menadżerka z miłą chęcią przerwała burzliwą dyskusję ze swoim ukochanym i w niecały kwadrans pojawiła się w mieszkaniu pisarki.

– Po drodze wszystko przemyślałam i zrozumiałam, że popełniliśmy niewybaczalny błąd – powiedziała na powitanie. – Daliśmy Róży do zrozumienia, że uważamy jej wątpliwości za idiotyczne. I że włączamy się w jej śledztwo tylko dla świętego spokoju, żeby się odczepiła i przestała marudzić. I mamy efekt. Doszła do wniosku, że wyjaśni wszystko sama. Tymczasem to naprawdę może być groźna sprawa.

– Wiesz coś nowego? – Pepe spojrzał na nią bystrze.

Betty kiwnęła głową i streściła mu to, co udało jej się wyciągnąć od narzeczonego. Bazując na podpowiedziach intuicji, Darski wbrew zdaniu swoich przełożonych, skłonnych oba zgony uznać za przypadkowe, rozpoczął śledztwo. Najpierw ustalił, że kamera rejestrująca obraz wokół budynku, w którym pracował Prokop, została popsuta kilka godzin przed jego śmiercią. Z kolei analiza zawartości komputera należącego do nieboszczyka potwierdziła, że prowadził on zażyłą korespondencję z Martyną Mroziak. Ciekawostką był jednak fakt, że dowody na to znajdowały się jedynie w jego mailach, nie istniał natomiast żaden ślad ich kontaktów na Facebooku. Podobnie było z rozmowami z Lalą – zachowały się tylko maile. Z ich treści wynikało, że była narzeczone faktycznie wysyłała Sergiuszowi sygnały świadczące o tym, że rozważa możliwość dania ich związkowi drugiej szansy. On jednak nie brał tego pod uwagę. Wnikliwa analiza komputera nieboszczyka przyniosła Darskiemu jeszcze jedno niespodziewane odkrycie, a mianowicie, że usiłował on szantażować swoją pracodawczynię. Choć może szantaż to zbyt duże słowo. Sergiusz podzielił się z nią troską, że nie wszystkie dokumenty księgowo w firmie odpowiadają stanowi faktycznemu jej finansów. Nadmienił także, że choć wielu przekrętów nie jest w stanie udowodnić, to ma w ręku dowód na to, że sponsorowanie wyborów Mistera Polonia jest sposobem na „wypranie” dość sporej kwoty,

o którą w innym przypadku upomniałby się urząd skarbowy. W odpowiedzi dostał od Barbary Pająk dwuznacznie brzmiące zapewnienie, że nie ma ona bladego pojęcia o żadnej z poruszanych przez niego kwestii i zwróci się do głównej księgowej z prośbą o wyjaśnienie wszelkich wątpliwości, a Sergiuszowi przypomina, że pisze o konkursie, w którym ma stuprocentowe szanse na wygraną i w związku z tym nie powinien robić nic, co by go udaremniło. Maile co prawda zostały wykasowane, a dysk oczyszczony, ale na szczęście niesformatowany. Policjanci specje odzyskali jego zniszczoną zawartość tylko częściowo, ale i ten skąpy materiał dał komisarzowi do myślenia. Darski na wszelki wypadek pchnął całą tę korespondencję do wydziału zajmującego się przestępstwami gospodarczymi z prośbą o zbadanie, czy podejrzenia Prokopa miały uzasadnienie. Zbadał też alibi szefowej Projekt Gold. Okazało się, że cały wieczór, w który Sergiusz popełnił samobójstwo, spędziła w kasynie, a potem padła ofiarą zatrucia na bankiecie. To oczywiście nie był żaden dowód, bo mogła komuś zlecić sprzątnięcie niewygodnego świadka swoich machlojek, dlatego Darski wziął się też na wszelki wypadek za sprawdzanie alibi kolegów samobójcy oraz jeszcze raz przeanalizował wszystkie okoliczności obu wypadków. Był właśnie na etapie ściągania obrazów z okolicznych kamer, aby zobaczyć, o której parkowały w okolicy samochody uwiecznione na zdjęciach z miejsca samobójstwa i do kogo należały, kiedy zadzwoniła do niego Betty. Po wysłuchaniu jej opowieści Darski postanowił przyspieszyć swoje działania. A przede wszystkim wysłać ludzi i do Martyny, i do Lali.

– I dupa blada – dokończyła Betty. – Obie rozpląnęły się w niebycie. Martyny od dwóch dni nikt nie widział w miejscu zamieszkania, a Lala nawiała na widok policjantów.

– Żartujesz? – zdziwił się Pepe. – Jak to nawiała?

– Normalnie. Sam Krzyś się do niej pofatygował, bo chciał w końcu wyjaśnić, dlaczego kłamała Róży, że Sergiusz chciał do niej wrócić.

– A tak nie było?

– Wszystko wskazuje na to, że nie. Kiedy Krzyś przyjechał do TelePolu, Lala teoretycznie była w redakcji, ale nie można jej było nigdzie znaleźć. Dopiero monitoring pokazał, że uciekła tylnym wyjściem, o którego istnieniu nie wiedzieli nawet ochroniarze. Od tego czasu ślad po niej zaginął. Jej kolega twierdził, że tego wieczoru była zdenerwowana. Twierdziła, że ktoś włamał się do jej komputera albo że ma w nim wirusa. Ale ten kolega twierdził, że zainstalował jej odpowiedni program, który nic nie wykazał. Oczywiście Krzyś sprawdził jej laptopa. Treść maili pokrywała się idealnie z tymi, które odczytał w kompie Sergiusza.

– Czyli Lala to mała kłamczuszka?

– Na to wychodzi.

– Myślisz, że chciała wrócić do byłego narzeczonego, a kiedy ten wysłał ją do diabła, postanowiła go zabić? I że Martyna miała rację?

– Nie wiem. I nie za bardzo sobie wyobrażam, jak mogłaby to zrobić. Przecież Róża dokładnie widziała, jak Sergiusz popełnia samobójstwo.

– No, właśnie zastanawiam się nad tym, co właściwie widziała Róża... – powiedział Pepe, wykonując w stronę Betty gest zapraszający do wyjścia na balkon. – Sprawdźmy. Z tego miejsca, w którym teraz stoimy, owszem, widać okno biura nieboszczyka. Ale samo wnętrze tego pomieszczenia już nie za bardzo.

– Pamiętaj, że Róża obserwowała je przez lornetkę – przypomniała Betty, sięgając po zakupiony przez pisarkę na Allegro wyrób firmy Bresser i przykładając go do oczu. – Voilà! Widać więcej, aczkolwiek myślałam, że będzie jeszcze lepiej, sam spójrz.

Pepe przejął lornetkę i przez chwilę sondował widok.

– Jak rozumiem, masz teorię, że Róża wcale nie widziała samobójcy, tylko kogoś innego – powiedziała Betty, patrząc z zadumą na krajobraz za oknem. – Ten ktoś skoczył z okna, jakimś cudem nic sobie nie zrobił, a potem w to miejsce podrzuciono zwłoki Sergiusza. Mam rację?

– Mniej więcej – powiedział Paweł, odkładając lornetkę na stolik.
– Pytanie, czy Róża mogła się aż tak pomylić. Bo w końcu obserwowała go przez kilka dni...

– Może ktoś go zastępował przez cały ten czas? – podsunęła Betty.

– Może... – Pepe nie wyglądał na przekonanego. – Acz wydaje mi się to z lekka idiotyczne. Poczekaj, zrobimy mały eksperyment. Pora jest akurat zbliżona do tej, jaka była wtedy. Pobiegnę do tego budynku i spróbuję dostać się na taras nad biurem. To tylko dwa piętra wyżej. A ty poobserwujesz mnie przez lornetkę. Będziemy wiedzieli, jak wyraźny daje obraz. A przy okazji, jakbyś zobaczyła panią Cecylię, to poproś, żeby zrobiła nam coś do jedzenia. Jestem głodny jak wilk!

– A to ona tutaj jest? – zdziwiła się Betty.

– Owszem – powiedział Pepe z przekąsem. – Przerobiła sypialnię Róży na kapliczkę i zamawia tam nowennę do jakiejś świętej Blondyny czy kogoś w tym guście...

– Ej! – Betty zrobiła złą minę. – Nie ma nic zabawnego w tym, że ktoś jest religijny!

– Religijny to jestem ja – odpowiedział Pepe zgodnie z prawdą. – I nigdy nie kpię z osób wierzących. Ale ona jest po prostu walnięta. Istnieje subtelna granica między wiarą a dewocją. W moich oczach przekraczasz ją w chwili, kiedy nosisz przy sobie święconą wodę, żeby pokropić nią łóżko swojej pracodawczyni, zanim zaczniesz się przy nim modlić!

– Ona naprawdę nosi przy sobie święconą wodę?!

– Naprawdę. W buteleczce po perfumach „Pani Walewska”. A poza tym uważa twojego faceta za diabła, bo jest zbyt ładny.

– No wiesz... – Betty puściła do niego oko. – Są sytuacje, kiedy Krzyś faktycznie zamienia się w demona.

– Nie chcę o tym słuchać! – Pepe demonstracyjnie zatkał sobie uszy i opuścił balkon.

Betty odczekała chwilę, zobaczyła, jak jej kompan wychodzi z bloku, kieruje się w prawą stronę, po czym znika za barakami.

Westchnęła, wyjęła z kieszeni telefon i wystukała numer Róży. Nie usłyszała ani jednego sygnału, tylko od razu zgłoszenie poczty głosowej. To oznaczało, że telefon pisarki nadal był wyłączony. Kliknęła przycisk „rozłącz” i wykręciła numer Pepe.

– Już prawie jestem. – Betty usłyszała nieco zasapany głos. – Kosztowało mnie to dwóch Kazimierzy Wielkich, bo podobno ten taras jest firmowy i nie można tam wchodzić samopas na swoje widzimisię. Lezie tu za mną nawet ochroniarz dopilnować, żebym niczego nie buchnął albo nie powtórzył wyczynu Sergiusza. Poczekaj chwilę. O, widzisz mnie?

Betty skierowała wzrok w stronę tarasu, na którym pojawiła się najpierw szczupła postać Pepe, a następnie nieco zażywniejsza strażnika.

– Widzę – powiedziała. – Nie musisz mi machać. A teraz poczekaj chwilę...

Sięgnęła po lornetkę. Przyłożyła ją do oczu i przez moment wodziła wzrokiem po budynku, aby wreszcie dojechać do tarasu. Zobaczyła Pepe zdecydowanie wyraźniej. Czy jednak na tyle, aby być pewną jego tożsamości? Betty przez chwilę manipulowała przy lornetce, próbując nastawić odpowiednio jej ostrość. Po czym, olśniona, przerwała tę czynność. Skoro obraz nie był najwyraźniejszy, to przy założeniu, że od chwili, kiedy Róża obserwowała Sergiusza, nikt nie ruszał lornetki, tamtego wieczora pisarka też widziała obiekt swoich stalkerskich zapędów niezbyt wyraźnie. Może więc Pepe miał rację, że mężczyzną, który na jej oczach popełnił samobójstwo, wcale nie był Sergiusz...

– Na świętego Gezelina! – Głos rozlegający się za plecami Betty sprawił, że o mało co nie dostała zawału. – I pani też ślipi w ten szatański przyrząd?!

Agentka odwróciła się jak razona piorunem i zobaczyła za sobą gniewne oblicze gosposi Róży. Cecylia patrzyła na nią potępiająco.

– Pani Różyczka też non stop gapiła się przez ten okular – powiedziała gniewnie. – Myślała, że tego nie widzę. A ja tam nic jej nie mówiłam, bo to nie moja sprawa. Ludzie bywają wścibscy, nie

mnie to oceniać. Tyle, że często patrzą w niebo, a nie widzą, co mają przed nosem.

– Co ma pani na myśli? – zdziwiła się Betty.

– Że pani Różyczka gapiła się i gapiła przez ten okular – wyjaśniła Cecylia – ale jak przyszło co do czego, to ludzi, którzy pod blokiem wystawali, nie poznała.

– Jakich ludzi?!

– A była taka jedna młoda – kontynuowała gospośa gniewnie. – Niewiniątko udawała, że nikogo nie zna, że pierwszy raz w okolicy. Ja tam nie podsłuchiwałam, ale przecież panienka Różyczka drzwi tu żadnych między kuchnią a pokojem nie ma, to com miała usłyszeć, tom usłyszała. I tak gadała, i gadała jak potłuczona. A przecież łążęgowała tu już kilka dni wcześniej. Zaglądała, niuchała.

– Jaka młoda? – Betty poczuła się lekko skołowana.

– A ta, co to tu z panem Pawełkiem przyszła. Takie oczka niewinne miała, minki niebożątka robiła, ale mnie nie nabrała. Ja zawsze umiem zło rozpoznać!

– Chce pani powiedzieć, że widziała Martynę w okolicach domu już wcześniej? Przed tym wypadkiem?

– A jakże. – Cecylia stanowczo pokiwała głową. – Przyjrzałam się jej. Nawet mnie nie zauważyła. Młode pogardę mają dla starych, nie zwracają na nich uwagi. Lekceważą. Ale widziałam, że tu krąży i że patrzy na nasz balkon. I obserwuje, jak pani Róża tam stoi z tym okulem. I widzi, że i na nią patrzy.

– Chce pani powiedzieć, że Róża też ją widziała?

– No toż mówię! Jak komu dobru! – oburzyła się Cecylia. – Ze sklepu wracałam chyba w przeddzień tego, jak ten bidok wyskoczył z okna, niech go święty Serafin ma w opiece. Pijaka tam jakiegoś łapali. Ta młoda tam była i gapiła się na nasz balkon. Pani Różyczka z okulem na nim stała i też ją widziała!

Betty, czując, że potrzebuje wsparcia, oderwała na moment wzrok od gospośi i skierowała go w stronę budynku. Pawła nie było już na tarasie. Menadżerka spojrziała na trzymany w rękach

telefon i uświadomiła sobie, że go nie wyłączyła i Paweł cały czas słucha ich konwersacji.

– Idziesz tu? – upewniła się, przykładając telefon do ucha. – Słyszysz, co pani Cecylia mówi?!

– Owszem. Już do was biegnę!

– Dlaczego pani nikomu wcześniej o tym nie powiedziała? – zapytała z wyrzutem Betty, rozłączając się.

– A po co to wścibiać nos w nie swoje sprawy?! – oburzyła się gospoś. – I tak niepotrzebnie mi się wyrwało do pani.

– Ale kiedy to bardzo ważne – prawie krzyknęła Betty. – Musi pani o tym opowiedzieć policji!

Cecylia spojrzała na nią z przerażeniem i aż się przeżegnała.

– O święty Sewerze, nigdy w życiu! – rzekła stanowczo. – Nikt z mojej rodziny od pradziejów nic nie miał wspólnego z policją! Jakby się matka nieboszczka, niech jej ziemia lekka będzie, dowiedziała, że idę na komisariat, toby z grobu wstała i mnie zadusiła. Nigdy, przenigdy tego nie zrobię!

Betty, nieco skonfundowana nieobywatelską postawą swojej rozmówczyni, postanowiła obgadać kwestię jej zeznań wtedy, kiedy opadną już emocje. Na razie na pierwszy plan wysunęło się zupełnie coś innego.

– Musimy znaleźć Różę – oznajmiła Pawłowi, kiedy tylko przekroczył próg mieszkania pisarki. – Jeśli Martyna jest morderczynią, to widzę tylko jeden powód, dla którego tu przyszła. Chciała sprawdzić, czy Róża ją rozpozna. Uspokoila się, że nie. Ale wie, że w każdej chwili może sobie ją przypomnieć. Nie zna Róży tak jak my i nie wie, że można ślepo liczyć na jej sklerozę. A poza tym nie przewidziała tego, że Róża tak bardzo zaangażuje się w śledztwo. Pewnie myślała, że będzie ją raczej uspokajała, że to było samobójstwo. A gdy Róża zaczęła węszyć, poczuła się zagrożona. To oczywiście tylko teoria, bo przez cały czas pamiętam, że jej wersja wydarzeń się sprawdziła. I w związku z tym nie widzę powodu, dla którego miałyby zabijać kogoś, kogo kochała.

Pepe słuchał jej, kręcąc głową – na zmianę to potakująco, to przecząco.

– Straszliwie to wszystko zagmatwane – podsumował. – Ale faktycznie teraz najważniejsze jest dla nas tylko jedno. Dowiedzieć się, dokąd pojechała Róża! Pani Cecyljo, niech pani też się zastanowi.

ROZDZIAŁ XIX

W drodze

Dwie osoby siedzące w nowym Suzuki Swift od dłuższego czasu nie zamieniły ze sobą słowa. I to nie tylko dlatego, że przemierzały drogę do Lidzbarka przy ogłuszających dźwiękach dyskotekowych łupanek, składających się na płytę „Eska hity na czasie”. Cisza między nimi panowała już od dobrych kilkunastu godzin.

– Nie wytrzymam tego! – wybuchła gdzieś w okolicach Nowego Dworu Mazowieckiego prowadząca auto Manuela, przyciszając nieco krzyki jakiejś wokalistki, brzmiące tak, jakby producent piosenki w czasie nagrania mordował ją tępym nożem. – Jeszcze raz powtarzam ci, że nikogo nie zabiłam!

Siedzący obok niej i grający na iPhone w „Quizwanie” Sebastian spokojnie dokończył rundę, po czym zsunął ciemne okulary z czoła na oczy i zaczął pogwizdywać pod nosem, okazując w ten sposób, że słowa matki do niego nie docierają.

– Nie miałam żadnego powodu! – tłumaczyła ta z rozpaczą. – A ten list to był zbiór jakichś idiotyzmów. Odkąd twój ojciec porzucił nas dla tej rudej mały, której machnął dziecko, wypruwam z siebie flaki, żeby zapewnić nam obojgu życie na godziwym poziomie. Kilkanaście lat ciężkiej harówki i co z tego mam. Podejrzenia, dąsy, oskarżenia. Jesteś niewdzięcznym okrutnikiem!

Sebastian znów przesunął okulary na czoło. Wyczekał na moment, kiedy jego matka oderwie wzrok od drogi i spojrzy na niego, aby właśnie w tej chwili nadmuchać balon z gumy, przekłuć go palcami i włożyć sobie z powrotem do ust.

– Rozumiem, że moje tłumaczenia cię nie interesują – powiedziała płaczliwie Manuela. – To może choć uwierzysz moim łzom...

Jej oczy faktycznie się zaszklily. Manuela zaczęła pociągać

nosem. Lewą ręką sięgnęła do kieszeni w drzwiach samochodu, próbując znaleźć tam chusteczki. Ponieważ ich nie namacała, skierowała tam wzrok. Dokładnie w tej samej chwili z bocznej drogi, zza jakiegoś budynku, zaczął wyjeżdżać tir. Suzuki puło prosto na niego. Dźwięk klaksonu ciężarówki rozległ się niczym trąby jerychońskie. Manuela wróciła wzrokiem na drogę, wydała okrzyk przerażenia i prawie w ostatniej chwili skierowała pojazd w lewą stronę, po której na jej szczęście nic nie jechało. Minęła tira o milimetry!

– Rozumiem, że pozbywasz się moich konkurentów – powiedział ironicznie Sebastian, kiedy już oboje trochę ochłonęli – ale pojąć nie mogę, dlaczego chcesz też wykończyć mnie.

– Nie pozbywam się żadnych twoich konkurentów – zaprotestowała Manuela. – Nie wiem, dlaczego to sobie ubzdurałeś.

– Matka, może ja i dzięki twoim staraniom wyglądam jak pipa, ale rozumu mi na szczęście nie odebrało. I zdolności do kojarzenia faktów. Najpierw widuję cię na kawie z jednym z moich konkurentów, a potem z laską, o której dowiaduję się, że kręciła z chłopakiem, który też startuje w wyborach Mistera Polonia. Potem ten chłopak popełnia samobójstwo. A na koniec przychodzi list, po przeczytaniu którego, kiedy myślisz, że tego nie widzę, idziesz do naszej piwnicy i grzebiesz tam w poszukiwaniu pewnego proszku. Tego samego, który przywiózł ci dziadek, kiedy walczyliśmy z plagą szczurów. Mija kilkanaście godzin i dziwnym trafem na bankiecie kilkanaście osób ulega zatruciu tym proszkiem, a jedna umiera. I jakoś magicznie tylko parę osób, ze mną na czele, uchodzi z tego cało. Proszę cię, czy ty masz mnie za idiotę?!

– Przypominam ci, że i ja wylądowałam w szpitalu.

– Tak, pamiętam. Jak też i to, że wyszłaś z niego jako jedna z pierwszych. Nawet nie zrobili ci płukania żołądka!

Manuela milczała, rozważając w duchu, co ma zrobić. Nagle przyszła jej do głowy dość przerażająca myśl.

– Czy ty zamierzasz z tymi głupotami iść na policję? – zapytała,

starając się, aby w jej głosie nie było słycać paniki.

Sebastian roześmiał się głośno.

– A co? – zapytał. – Zaczynasz powoli żałować, że nie poczęstowałaś mnie tym proszkiem? Albo nie skosiłaś przed chwilą tirem?

– Nie bądź głupi!

– Po tobie można się wszystkiego spodziewać – mruknął Sebastian. – Nie, nie zamierzam nikomu o niczym mówić. Oczywiście pod pewnymi warunkami...

– Jakimi?

– Zrobię ci tę przyjemność i wezmę udział w tej szopce, bo gdybym teraz się wycofał, byłoby to podejrzone. Ale na tym koniec! Nawet jeśli ją wygram, to ja będę decydował o swoich dalszych losach. Po powrocie do Warszawy wyprowadzę się z domu i wynajmę samodzielne mieszkanie. Mam szczerą nadzieję, że będziesz mi się dokładała do czynszu. Przynajmniej na początku. Nie chcę, żebyś mnie tam odwiedzała częściej niż raz na miesiąc i w jakikolwiek sposób ingerowała w moje życie. Skończyło się ustalanie mi harmonogramu dnia, wysyłanie do gabinetów piękności, kontrolowanie postępów na siłowni i cała ta tresura. Jak chcesz mieć niewolnika, to polecam przenieść się do Birmy. Tam ponoć ciągle jest to legalne. Moja praca na twojej plantacji właśnie się skończyła. Finito, raz na zawsze. Kiwnij głową, że to do ciebie dotarło!

Manuela posłusznie wykonała polecenie.

Faktycznie trzeba było wjechać w tego tira – pomyślała w tym samym czasie.

* * *

– Mam dzisiaj zrypany nastrój – powiedział Wasyl, przejeżdżając ręką po czole. – Od rana boli mnie łeb. Wziąłem już procha, ale niewiele pomógł. Pociągnę jeszcze do Ostrowi Mazowieckiej, a potem się zamienimy, ok?

– Jasne... – zgodził się niezbyt entuzjastycznie Roland. – Chociaż

też nie jestem dzisiaj w jakiejś rewelacyjnej formie.

– Ja zawałem sesję foto. – Westchnął Wasyl. – Od kilku dni nie mogę się na niczym skupić. I nadal boli mnie żołądek. Tobie to fajnie. Wyszedłeś cało z tego cholernego bankietu. Trochę to podejrzane.

– Nie tylko ja – przypomniał Roland. – Sebastian się nie zatruł. I Mario też, ale on chyba nigdy nic nie je, więc to nic dziwnego. Ktoś jeszcze? Nie pamiętam.

– Tia, nie pamiętasz! – prychnął Wasyl. – Zwłaszcza że to twój ulubieniec...

– Pizduś? – zdziwił się Roland.

– Tylko nie mów, że wypadło ci to z głowy – powiedział z politowaniem Wasyl. – Poudawał trochę, że niby wymiotuje, ale tak naprawdę nawet nie pojechał do szpitala. Wiesz przecież o tym, bo obserwujesz go tak, jakbyś był jego psychofanem. Widziałem to na bankiecie. Wzroku od niego nie odrywałeś!

– Mam swoje powody... – mruknął Roland. – I to dość poważne.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytał Wasyl. – Za mniej więcej dziesięć kilometrów mamy stację benzynową i hotel z knajpą. Nic się nie stanie, jak dojedziemy do Lidzbarka jutro z rana. I tak pierwotnie mieliśmy tak zrobić, więc nawet nikt się nie zdziwi. Strzelimy sobie po piwku i przegadamy parę spraw. Bo mam wrażenie, że obaj czujemy potrzebę wygadania się. Ale, oczywiście, decyzja należy do ciebie.

Roland długo milczał.

– Nie wiem, czy warto w ogóle o tym gadać... – powiedział wreszcie niechętnie.

– To może ja ci co nieco ułatwię. – Wasyl się uśmiechnął. – Miejmy to za sobą. Przespałeś się z pizdusiem...

Roland odchylił głowę i ciężko westchnął. Wasyl popatrzył na niego ze współczuciem, po czym poklepał go po kolanie.

– Naprawdę bywają w życiu gorsze przewinienia... – powiedział łagodnie.

– Nawet nie wiem, czy tak było! Byłem kompletnie zalany! –

jęknął Roland. – Poszliśmy do jakiejś knajpy, potem do klubu. Ostatnie, co pamiętam, to że jechaliśmy limuzyną z jakimiś laskami i piliśmy z nimi szampana nad Wisłą, pod pomnikiem Syrenki. A potem urwał mi się film. Obudziłem się nad ranem w jego apartamencie. Leżeliśmy w łóżku. Czujesz? Nago! I to, kurwa, przytuleni! W sumie to nawet nie wiem, co robiliśmy, ale jego zachowanie, kiedy się obudził, wskazywało na to, że raczej nic przyzwoitego.

Wasył wyglądał na rozbawionego.

– Zgubne skutki alkoholizmu – powiedział. – Nie zamierzam w ogóle tego oceniać. Na pociechę powiem ci, że kiedyś przespałem się z siedemdziesięciolatką.

– Jak to?!

– Też przez przypadek i też w wyniku zgubnych nałogów. To było jeszcze, gdy mieszkałem na Krymie. Kombinowałem z jej wnuczką, ale cała rodzina strasznie jej pilnowała. Matka podrzucała do liceum, ojciec odbierał po lekcjach. Wyliczanie się z każdej wolnej minuty. Po prostu więzienie o zastrzonym rygorze. I kiedyś, jak jej rodzice gdzieś wyjechali na weekend, a ona oczywiście dostała prikaz, żeby murem siedziała w domu. Umówiliśmy się, że wejść do niej nocą przez okno. Pierwsze piętro, nad daszkiem, szeroki gzyms, banał. Ale chlapnąłem sobie dla kurażu o jeden łyk za dużo i pomyliłem okna. Zamiast do niej, trafiłem do sypialni jej babci. Sęk w tym, że łóżko stało w cieniu, a mnie doskonale oświetlał księżyc. No i babcia, która się obudziła i mnie poznała, spokojnie sobie patrzyła, jak się rozbieram, a potem wchodzę do jej łóżka i... no, sam wiesz.

– Nie zorientowałaś się?! Jakim cudem?

– Po pierwsze, było ciemno. Po drugie, byłem zdenerwowany, bo to był mój pierwszy raz. Po trzecie, miałem, jak wy to mówicie, w czubie. A po czwarte, babcia była całkiem nieźle zakonserwowana. Jak już pojałem swoją pomyłkę, to było trochę za późno.

– I jak to się skończyło?

– Po wszystkim uciekłem, gdzie pieprz rośnie. Ale traf chciał, że kilka dni potem spotkaliśmy się w cerkwi. I po nabożeństwie ta dziewczyna podeszła do mnie i zapytała, dlaczego mnie wtedy nie było i czemu jej unikam. Zacząłem coś tam zmyślać, a na to podbiegła babcia, wzięła ją za rękę i powiedziała: „Choć, Nataszko, on nie jest dla ciebie. Zdecydowanie za szybko by się to skończyło. Babcia wybierze ci kogoś lepszego i wolniejszego”.

Roland przez chwilę dumał w duchu, co jest gorsze. Wylądować w łóżku z facetem i nie wiedzieć, czy coś między nimi zaszło, czy mieć przez całe życie wspomnienie utraty dziewictwa z siedemdziesięciolatką. Uznał, że te sytuacje mniej więcej się równoważą.

– Bardzo ci dziękuję za to magiczne wyznanie, od razu mi lepiej – powiedział ironicznie. – Mam nadzieję, że od tego czasu popracowałeś nad timingiem...

– Owszem, od dawna już mi się nigdzie nie spieszy. – Wasyl mrugnął okiem. – To co? Zatrzymujemy się i robimy nocne rozmowy rodaków? W końcu w świetle przepisów jesteśmy już rodakami.

– O czym mamy gadać? – zdziwił się Roland. – Najważniejszego już się i tak domyśliłeś...

– Naprawdę uważasz, że to jest najważniejsze? – zapytał Wasyl, mrużąc oczy i rzucając swojemu koledze dziwne spojrzenie. – I że nie mamy już innych tematów?

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Myślę, że doskonale rozumiesz – powiedział Wasyl. – I lepiej, żebyśmy sobie jak najszybciej uzgodnili, jaką wersję wydarzeń opowiemy już niebawem policji...

* * *

– Co to za mąż? – zapytała Róża, patrząc z odrazą na zbliżający się do jej twarzy wacik z czymś przypominającym zaprawę murarską.

– Dwa wymieszane podkłady – powiedział Mario. – Użyłbym

jednego, ale obawiam się, że po tylu latach zaniedbań, okazałyby się niewystarczający.

– Zaniedbań?! – Pisarka usiłowała zabić go wzrokiem. – Jak śmiesz! Dbam o cerę i malować też się potrafię bez niczyjej pomocy.

– Kochanie, Florence Foster Jenkins też była pewna, że umie śpiewać, a Rogoziński uważa, że pisze zabawne książki – powiedział stanowczo Mario, rozmazując jej po twarzy zawartość wacika. – O, od razu lepiej. Maślaczku, podaj mi korektor. Ten w czarnym, okrągłym opakowaniu. Użyjemy bardziej wyrazistego, bo przecież tę twarz trzeba praktycznie namalować na nowo. To jest prawdziwa ruina. Czuję się jak konserwator zabytków. Renowacja fresków w Kaplicy Sykstyńskiej to przy tym błahostka.

Rafał z nieodgadnioną miną podał mu wskazane pudełko. Mario posłał mu całusa i zwrócił spojrzenie w stronę Róży.

– Nie krzyw się tak! – fuknął gniewnie. – Bo ci zostanie za dużo korektora w tych wąwozach pod oczami. Czemu się nie ostrzykniesz? W tym wieku to już obowiązek!

– Mam trzydzieści pięć lat! – zaprotestowała Róża. – Jestem młodą kobietą, a nie starym pudłem.

– Młodą kobietą?! – Mario się roześmiał. – Czytało się ostatnio „Zwierciadło”, nieprawdaż? Skarbie, przyjmij do wiadomości, że dzisiejsze trzydzieści pięć to wczorajsze pięćdziesiąt. Żyjesz w wielkim mieście, pełnym spalin i smogu, które źle działają na skórę. A w dodatku jesz przetwarzaną chemicznie żywność, masz więcej stresów i szybciej się przez to wszystko starzejesz. Na Zachodzie zdają sobie z tego sprawę. Popatrz na takie Stany. Tam ostrzykują się już nawet uczennice college’u. Pobudka, jogging, listek sałaty na śniadanie, botoks i można zaczynać dzień!

– Na listku sałaty nie doszłabym na botoks, tylko padła po drodze – wyszczała pisarka. – A co to znowu za jajo?

– To jest, skarbie, beauty blender – powiedział pouczająco Mario, przykładając jej do twarzy owalną gąbkę. – Powinien zostać twoim najlepszym przyjacielem. Zobacz, jak łatwo się nim wklepuje

korektor. I jak równo, nawet na tej twojej porowatej skórze słonicy. O, proszę! A teraz czas na puder matujący, żebyś się nie świeciła jak Pałac Kultury po zmierzchu. Rafał?

Maślak z cierpliwością godną Szymona Słupnika podał mu następny pojemniczek. Róża poczuła, jak na jej twarzy ląduje kolejna warstwa tapety. Było jej już wszystko jedno, bo i tak czuła się już jak mumia.

– Teraz pora na cienie – stwierdził Mario. – Poczekaj, sprawdzę tylko, jak to wychodzi w kamerze. O, wspaniale! Oczy opracuję ci na turkusowo z perłowym akcentem. I pożyczę ci swoje sztuczne rzęsy, bo przecież te twoje wyglądają jak u gąsienicy...

Młotek. To jest to, czego mi teraz brakuje – pomyślała Róża.

– Jeszcze konturówka, błyszczak i... – W głosie Mario dawało się wyczuć dumę. – Rafał, popatrz, dokonałem niemożliwego! Zrobiłem z niej prawdziwą kobietę!

Obrócił ruchomy fotel tak, aby Róża znalazła się vis-à-vis mistera. Maślak oderwał wzrok od swojej komórki. Pisarka zobaczyła, jak ze zdziwienia podnoszą mu się brwi. *Albo wyglądam jak ostatni praszczur, w dodatku zmalowany jak klaun, albo...* – pomyślała pisarka i wiedzona ciekawością gwałtownie wstała z fotela. Podeszła do biurka, na którym leżały kosmetyki i akcesoria. Sięgnęła po sporych rozmiarów zwierciadło. Podniosła je do oczu i zamarła. Przez chwilę usiłowała odgadnąć, gdzie zniknęła kobieta, której podobiznę oglądała codziennie rano w łazienkowym lustrze, i kim jest ta piękna dziewczyna, która patrzy na nią ze zwierciadła. Potrzebowała kilku długich chwil, aby ochłonać.

– Jak to... – powiedziała, odwracając się do Mario. – Jak to możliwe?!

Chłopak patrzył na nią z zadowoloną miną.

– Mario cudotwórca – powiedział, kłaniając się jej z rewerencją. – Zawsze do usług!

Przez chwilę wszyscy milczeli. Mario z zachwytu nad sobą, Róża nie mogąc oderwać wzroku od lusterka, a Rafał, aby nie psuć

oboju chwili uniesienia. Ten ostatni w końcu nie wytrzymał.

– Wiem, że to szczególnie moment – powiedział – i że radzi bylibyście się nim napawać w nieskończoność, ale jeśli mamy dojechać do zamku w porze kolacji, to musimy wyruszyć w ciągu kwadransa.

Róża, z trudem odrywając wzrok od widoku swojego nowego, wielce atrakcyjnego oblicza, kiwnęła głową. Mario zaczął pakować kosmetyki. Po kilku minutach cała trójka siedziała już w volkswagenie Maślaka.

– No dobrze... – powiedziała Róża, która tym razem ulokowała się obok Mario na tylnym siedzeniu samochodu. – Ja wypełniłam swoją część umowy i przyznaję, że wcale tego nie żałuję. Teraz pora na to, abyś i ty dotrzymał swojej. Obiecuję, że też nie będziesz żałował. Umiem dotrzymać tajemnicy i jeśli będziesz chciał, aby cokolwiek z tej rozmowy zostało między nami, mogę ci to obiecać. Oczywiście, jeśli nie będzie dotyczyło spraw, o których trzeba będzie opowiedzieć policji.

Mario wzrokiem dał jej znać, że docenia jej ofertę.

– Zacznijmy od najważniejszego pytania – rzekła Róża. – Skoro mówisz, że obie te śmierci to morderstwa, dokonane z premedytacją, to... czy wiesz, kto je popełnił?

– Przypuszczałem, że od tego zaczniesz. – Mario się uśmiechnął. – I wiem, że moja odpowiedź cię nie zadowoli. Bo akurat to jest jedyną rzeczą, której nie jestem pewny.

Po czym, widząc grymas rozczarowania na twarzy Róży, szybko dodał: – Ale wiem, kto mógłby to zrobić...

* * *

Mniej więcej w tej samej chwili, ale w innym miejscu, komisarz Darski patrzył na swoją narzeczoną takim wzrokiem, że ta zastanowiła się, czy oby nie jest to ich ostatnie spotkanie. Obserwujący ich w milczeniu Pepe dumiał, czy w razie czego wspólnie z panią Cecylią dadzą radę spacyfikować jakoś komisarza w momencie, gdy rzuci się dusić swoją, do niedawna jeszcze

ukochaną, kobietę.

– Jak to zginęła wam Róża? – powtórzył Darski wściekłym głosem. – I co macie na myśli, mówiąc, że grozi jej niebezpieczeństwo?

Betty cierpliwie powtórzyła mu treść rozmowy z Cecylią.

– Teraz sam widzisz, do czego prowadzi dławienie obywatelskiej inicjatywy! – zakończyła.

– Jakiej znowu inicjatywy? – jęknął Darski.

Pepe był pewny, że komisarz ostatkiem sił powstrzymuje się przed wyrwaniem sobie włosów z rozpacz.

– Gdybyś tak nam nie wbijał do głowy, że nie wolno nam prowadzić żadnego prywatnego śledztwa – wyjaśniła Betty z lekką desperacją w głosie – i gdybyśmy nie byli przez ciebie tacy złąknieni i zniechęceni, tobyśmy pewnie z większym zapałem pomagali Róży. Przynajmniej ja, bo Pepe jest taki sam praworządny jak ty i od początku mu się ta akcja nie podobała. Ale ja wzięłabym w tym udział choćby dla samej zabawy. I żeby przy okazji mieć Różę na oku. Ale nie i nie! „Nie wolno się wam w to mieszać”, „wszystkich was w końcu zamknę”, „doigracie się”. Samo straszenie. I masz efekt. Róża się na nas wypięła i mamy kłopot.

– Czyli mam rozumieć, że to wszystko moja wina? – zapytał komisarz, a w jego oczach pojawiła się jeszcze wyraźniejsza żądza mordu. Pepe, czując, że za chwilę na jego oczach dojdzie do scen rodem z szekspirowskich tragedii, postanowił dyplomatycznie włączyć się do dyskusji.

– A może poszukamy winnych w innym terminie? – zaproponował ugodowo. – A teraz jednak skoncentrujmy się na Róży?

Darski jeszcze przez chwilę gniewnym wzrokiem mierzył swoją ukochaną, po czym sięgnął po telefon i wysłał komuś SMS-a.

– Za chwilę być może się czegoś dowiemy – zakomunikował. – A teraz spróbujmy uporządkować koncepcje, które stworzyliście sobie w głowie. Bo na razie brzmią one jak jeden wielki chaos. Jak rozumiem, uważacie, że Prokop nie popełnił samobójstwa i że ten

ktoś, kto wyskoczył z okna, jest jego mordercą. A za wszystkim stoi dziewczyna, która odwiedziła Różę dwa dni po wypadku. Pięknie. Tylko czemu miałyby mordować chłopaka, z którym dopiero co zaczęła się spotykać?

Betty i Pepe popatrzyli na siebie niepewnie.

– Tego do końca nie przemyśleliśmy... – przyznał niepewnie Paweł. – Ale może się pokłócili. Albo on faktycznie dogadał się ze swoją byłą narzeczoną i posłał ją do diabła.

– Uprzejmie przypominam, że korespondencja, którą znaleźliśmy w komputerze Prokopa, wskazuje, że było inaczej i dziewczyna mówiła prawdę – przypomniał Darski. – I tym samym wasza koncepcja trochę kuleje.

Pepe poczuł, że od czegoś, co przed chwilą powiedział Darski, jego intuicja aż podskoczyła z ekscytacji niczym wygłodzony kot na widok karmy. Szkoda tylko, że nie miał zielonego pojęcia, co też właściwie wywołało taką jej reakcję. Zapewne coś, co powinien sobie teraz szybko skojarzyć, tyle że nijak nie mógł. Widać wieloletnia współpraca z Różą spowodowała, że w końcu zaczynał idiociec.

– Idźmy dalej – powiedział Darski. – Myślicie też, że w domniemane zabójstwo Prokopa wplątany jest ktoś biorący udział w wyborach Mistera Polonia. To z kolei, jak rozumiem, wniosek z faktu, że na bankiecie, wydanym z okazji tej imprezy, zginął ochroniarz, pracujący w budynku, z którego wyskoczył samobójca? Bo chyba nic więcej na poparcie tej tezy nie macie?

Betty pokręciła głową, nagle czując, że ich śledztwo to jakaś dziecinada i że wszystko, co do tej pory zrobili i myśleli, nie ma najmniejszego sensu.

– No to powiem wam – dokończył Darski – że to jest dokładnie ten sam wniosek, do którego doszedłem kilka godzin temu.

ROZDZIAŁ XX

Sirtaki

– Fiu, fiu! No, patrzcie panowie, Maślak dorobił się asystentki! – powiedział Wasyl, rozpinając koszulę. – Miał już agenta, teraz ma asystentkę. Niech jeszcze zatrudni stylistkę, wizażystkę, fryzjera i panie do wachlowania go w upały, to niedługo nawet i w takim zamku nie starczy miejsca na jego ekipę.

– Zazdrośnik – mruknął Roland, z obrzydzeniem biorąc do ręki jedną z dziwacznych koszul przyniesionych przed chwilą przez znerwicowaną, chudą i sprawiającą wrażenie choleryczki kobietę, przedstawioną im w czasie porannej odprawy jako „specjalistkę od kostiumów”. – Co to, do jasnej cholery, ma być? Myślałem, że mamy próbę taneczną, a nie sianokosy.

– Mamy tańczyć sirtaki – poinformował go smętnie jeden z towarzyszących im kandydatów na mistera. – Będziemy wyglądali jak ostatnie pokraki w tych strojach, ale nic się na to nie poradzi, bo jednym ze sponsorów jest grecki producent sera feta. I musimy go, rozumiecie, ufetować...

Roland włożył koszulę, a potem spodnie do kompletu i przejrzał się w lustrze.

Wyglądał jak Janosik. Do kompletu brakowało mu tylko ciupagi i zbójnickiego kłobuka.

– Co to jest sirtaki? – zapytał z wściekłością.

– A oglądałeś „Greka Zorbę”? – podpowiedział mu Wasyl, kończąc zapinanie spodni. – Oni tam to tańczyli. To taki grecki kankan w męskim wydaniu. Z tą różnicą, że nie musisz tak wysoko zadzierać nóg.

Roland westchnął i wrócił wzrokiem do lustra. Tym razem jednak mniej skupił się na sobie, a bardziej rozejrzał się ukradkiem po sali, wypełnionej rywalami. Właśnie dochodził do nieco pocieszającego wniosku, że większość z nich w greckim kostiumie

kojarzy się ze starym Boryną z *Chłopów* i na ich tle wcale nie prezentuje się tak źle, kiedy zobaczył, jak do sali wchodzi Jakub. Ich spojrzenia skrzyżowały się w lustrze. Roland z gniewem zmrużył oczy, Perchuć za to uśmiechnął się kpiąco i mrugnął do niego okiem. Zdunek miał ochotę podejść do niego i wymierzyć mu lewego sierpowego w twarz. Pohamował się przed tym ostatkiem sił.

– Swoją drogą, ta asystentka Maślaka kompletnie do niego nie pasuje – powiedział kolejny z kandydatów. – Wygląda na intelektualistkę. No i jest tłusta. Prędzej spodziewałbym się jakiejś wychudzonej seksbomby z implantami.

– Rafał jest teraz pod pantoflem. – Uśmieł się kolejny z potencjalnych misterów. – Może narzeczona mu ją wybrała. Celowała w taką, żeby nie była dla niej zagrożeniem.

– A o kim mowa? – zapytał Jakub, zdejmując koszulę, spodnie i zaczynając ściągać slipki. – Dopiero co przyjechałem i nie wiem, o co kaman...

– Już ty się tak nie striptizuj! – fuknął na niego Wasyl. – Gaci nie zmieniamy! Wiem, że chcesz wykorzystać kolejną okazję, żeby się pochwalić swoim wackiem, ale naprawdę nie musisz. Prawie wszyscy doskonale wiemy, że nie masz się czego wstydić.

Kilku chłopaków się roześmiało, Roland spojrzał na Miruka wzrokiem rannej łani.

– Dobra, dobra – mruknął Jakub, sięgając po przygotowany dla niego grecki strój. – Więc... O kim mówicie?

– O asystentce Maślaka – wyjaśnił chłopak, który poprzednio opisał Różę. – Taka starszawa babina przy kości i zmalowana jak transwestyta na paradę miłości...

Na te słowa ocknął się Mario, do tej pory siedzący w kącie, milczący i nieco zaspany, bo pisarka obudziła go o ósmej rano z żądaniem zrobienia z niej bóstwa.

– Ma bardzo ładny makijaż! – zaprotestował z urazą, stając w obronie swojego dzieła, na które zużył jeszcze więcej dobrej woli i kosmetyków niż za pierwszym razem. – I w trendach...

– Sam masz trąd – prychnął chłopak. – Wygląda, jakby wyskoczyła z horroru o Draculi!

– Gotyk jest teraz na czasie – pouczył go Mario. – I moim zdaniem do niej pasuje...

– Panowie jeszcze nie gotowi?! – przerwała im, pojawiając się w drzwiach, znerwicowana pani kostiumolog. – Szybciej, szybciej, bo choreograf już czeka. Nie mamy czasu! Kto już się przebrał, niech szybko przejdzie na ganek. No, już, biegiem, biegiem!

Kandydaci przyspieszyli przygotowywanie się, a następnie jeden za drugim zaczęli opuszczać zamienioną w przebieralnię salę, w której kiedyś znajdowała się jadalnia dla pałacowej służby. W końcu w pokoju zostali tylko Mario, Roland, Wasyl, Jakub i najbardziej spóźniony ze wszystkich Sebastian, który dopiero zaczynał się przebierać.

– No i widzicie, warto bić się o tytuł – powiedział Perchuć, stojąc przed lustrem i poprawiając sobie grzywkę. – Zostajesz misterem, dwa lata i masz asystentkę...

– Srentkę... – mruknął wciąż wściekły za krytykę makijażu Róży Mario. Jakub popatrzył na niego badawczo.

– Chcesz nam coś powiedzieć? – zapytał.

Mario pohamował cisnące mu się na usta słowa, przypominając sobie, że przysiągł zachować tożsamość pisarki w tajemnicy.

– Nic, nic... – mruknął.

Jakub jeszcze przez chwilę mierzył go uważnym spojrzeniem, po czym wrócił do układania sobie włosów.

– No, dobrze – powiedział po chwili. – Chodźmy pofikać sobie i poudawać Greka...

W tym samym czasie Róża klapnęła na jeden z dmuchanych i szalenie niestabilnych plastikowych foteli, walających się w okazałych ilościach przy rozstawionym na zamkowym ganku olbrzymim białym namiocie ekipy telewizyjnej. Pisarka od samego rana usiłowała poukładać w głowie wszystko, czego dzień wcześniej i rankiem przy robieniu makijażu dowiedziała się od Mario. Szybko doszła jednak do wniosku, że zamiast porządkować chaos myśli,

w wyniku rozważań zaczyna go potęgować. A w dodatku skołowana łepetyna zaczynała ją boleć. W sumie nic dziwnego, bo myślenie zawsze jej szkodziło. Tęsknym wzrokiem wyszukała Rafała, z którym chętnie przegadałaby sytuację. Ten jednak zajęty był rozmową ze scenarzystą gali.

– Mogę się przysiąc? – usłyszała za plecami. Róża odwróciła się, o mało co przy okazji nie wypadając z fotela. Kto wymyśla takie wynalazki?!

– Oczywiście – powiedziała do patrzącej na nią pytającym wzrokiem kobiety w czarnych okularach. – Uprzedzam tylko, że to nie jest zbyt rewelacyjne siedzisko. Agnieszka Stańczyk, jestem asystentką Rafała Maślaka.

– Manuela Orłow – powiedziała kobieta, ściskając dłoń pisarki, nieświadoma uczuć, jakie wywołuje swoim nazwiskiem w pisarce. – Mama jednego z kandydatów.

– Którego? – zapytała Róża, starając się ukryć ekscytację. Jej rozmówczyni potoczyła wzrokiem po znajdujących się już na ganku mężczyznach.

– Jeszcze go nie ma – powiedziała. – Mieliśmy dość burzliwą noc, długo rozmawialiśmy, późno poszliśmy spać i dzisiaj z rana nie mogłam go dobudzić. Pewnie się dopiero przebiera.

Manuela wyciągnęła telefon, sprawiając wrażenie niezainteresowanej dalszą konwersacją. Róża przez chwilę zastanawiała się, jak ma zagaić rozmowę, aby wypadło to naturalnie. Z nieoczekiwaną pomocą przyszedł jej przechodzący koło nich reżyser gali.

– Miało być czternastu! – mówił wściekłym głosem do towarzyszącego mu rozczochranego młodzieńca w bufiastych spodniach z krokiem między kolanami, dla stworzenia których inspiracją była najwyraźniej baśń o Sindbadzie Żeglarzu. – Jest dwunastu. To oznacza, że nie będzie dwóch rozmów z jury, dwóch wizytówek i sześciu prezentacji. W sumie odpada nam ponad dziesięć minut. Nie możemy skrócić gali, bo jej czas jest określony w umowach z telewizją i sponsorami. Ona musi zaśpiewać jeszcze

dwie piosenki!

– Ale Klodi nie jest przygotowana! – zaprotestował rozczochrany, w którym Róża rozpoznała asystenta największej polskiej diwy, Klaudii Hutniak. – Zemdleje, jak się o tym dowie! To już będzie trzecie omdlenie w tym tygodniu, a mamy dopiero wtorek!

– Do czego nie jest przygotowana? – warknął reżyser. – Do śpiewania?

– Do zmian! – jęknął asystent. – Dawno już wybrała repertuar na tę galę. A to jest dla niej zawsze ciężkie zadanie. Musi się koncentrować, medytować pod okiem tybetańskiego przewodnika duchowego.

– Co mi pan tutaj pieprzy? – zdenerwował się reżyser. – Jakiego znowu przewodnika?

– Duchowego – powtórzył smętnie asystent. – Guru Rangdziung Czoki Chongtul. Razem z nim wybrała trzy piosenki. A teraz pan mi mówi, że ma ich być pięć. I co ja niby jej powiem, skoro guru wrócił do Tybetu i nie ma z nim kontaktu?

Reżyser przez chwilę patrzył na niego jak na zjawę z innego wymiaru.

– Niech pan jej kupi różaniec – powiedział w końcu. – A ja wyślę do niej siostrę Bernadette, która prowadzi chór w mojej parafii. Wybierze jej lepsze piosenki niż ten tybetański pomyleniec. I niech pan jej powie, że witamy ponownie na łonie kościoła katolickiego!

Obaj zniknęli w namiocie. Zadowolona z pchającej jej się w ręce okazji, Róża odwróciła się do Manueli.

– Dwunastu? – powiedziała, starając się to zrobić z jak największym zdziwieniem. – Myślałam, że w finale jest czternastu kandydatów?

Manuela oderwała wzrok od komórki.

– To pani nic nie wie? – spytała. – Dwóch uczestników wyborów nie żyje!

– Jakiś wypadek?

– Nie. Jeden popełnił samobójstwo, a drugi zmarł w wyniku zatrucia pokarmowego – wyjaśniła Manuela.

– Nie mogli na ich miejsce wybrać kogoś innego?
– Chyba nie mieli za bardzo już czasu. Oba te wypadki wydarzyły się w ciągu ostatnich kilku dni.
– Cóż za zbieg okoliczności! – wykrzyknęła Róża. – Aż nie chce się w coś takiego uwierzyć.
– Co ma pani na myśli? – zapytała Manuela, wreszcie obdarzając ją nieco większą uwagą.
– Że to dziwne – wyjaśniła Róża. – Tuż przed wyborami ginie dwóch uczestników konkursu. Gdybym była policją, na pewno wydałoby mi się to podejrzane. O, idzie pani syn...
Pisarka zbyt późno ugryzła się w język.
– Skąd pani wie, że to mój syn? – Głos Manuela zabrzmiał zimno i nieprzyjemnie.
– Ja... – Róża w panice starała się naprędce wymyślić jakieś kłamstwo, ale w jej bolącej coraz mocniej głowie nie pojawił się żaden pomysł. – Widziałam... To znaczy oglądałam...
– Kim pani jest? – spytała ze złością Manuela. – Śledzę uważnie karierę Rafała Maślaka i z tego, co wiem, nie ma żadnej asystentki!
– Zatrudnił mnie niedawno... – próbowała zaoponować Róża, ale uczyniła to bez przekonania.
– Niech pani nie kłamie! – Manuela patrzyła na nią stalowym wzrokiem. – Nie jest pani żadną asystentką tylko policjantką, prawda?
Pisarka wahała się tylko przez chwilę. I tak nie miała czasu, aby oszacować ryzyko, związane z odpowiedzią.
– Tak – potwierdziła. – Jestem.
Manuela wzięła głęboki oddech.
– Czy jestem o coś podejrzana? – zapytała cicho.
– Nie mogę na to odpowiedzieć – powiedziała Róża, usiłując wczuć się w swoją nową rolę. – Na tym etapie nie mogę zdradzić żadnej rzeczy dotyczącej śledztwa. Jestem tu incognito. Sprawdzamy pewne detale i dopiero kiedy skończymy, będę chciała, żeby złożyła pani zeznania. Na razie nasza rozmowa jest

nieoficjalna. W związku ze śledztwem prosiłabym jednak, aby na razie nie opuszczała pani Lidzbarka.

Jodie Foster w Milczeniu owiec to przy mnie pikus – pomyślała jednocześnie z zadowoleniem.

– Rozumiem... – Manuela skinęła głową. – Proszę mi tylko powiedzieć jedno. Czy mój syn się już z wami kontaktował?

– Tak jak powiedziałam – rzekła stanowczo Róża – to nie ja jestem tutaj od udzielania odpowiedzi. Ja tylko zadaję pytania. A właściwie zadam je w odpowiedniej chwili.

– Czyli jednak... – szepnęła Manuela. – Niewdzięczny gnojek!

– Niech pani nie wyciąga pochopnych wniosków – pouczyła ją Róża. – Niczego przecież nie potwierdziłam!

– Już ja wiem swoje! – powiedziała Manuela, zrywając się z fotela. – Pani daruje, muszę się uspokoić na osobności.

Róża odprowadziła ją zdumionym wzrokiem i przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna za nią pobiec. Nie zdążyła tego jednak rozstrzygnąć, bo w tym samym momencie z głośnik za jej plecami ryknął męskim basem: „Uwaga! Uwaga! Zaczynamy próbę”. Pisarka spojrzała na ustawionych na środku ganku w szeregu dwunastu przystojniaków. Jeśli wnioski, do jakich doszli wczoraj wspólnie z Rafałem i Mario, są słuszne – znajdował się wśród nich morderca. Poprzedniego wieczoru wiedza Róży o kandydatach do tytułu znacznie się zwiększyła. A do tego pisarka miała też w pamięci to, czego dowiedział się o nich wcześniej Pepe. Przez chwilę gapiła się na potencjalnych misterów bezmyślnie, po czym nagle uświadomiła sobie, że widzi ich tak samo mało wyraźnie jak Sergiusza owego feralnego wieczora. Od pewnego czasu jej wzrok lekko się pogarszał. Próbowwała co prawda nosić soczewki, ale z ich powodu wiecznie łzawiły jej oczy, a do tego po pewnym czasie zaczynały robić się męty. Ponieważ oglądanie świata poprzez dziwaczne fafroły, z racji kształtu i ruchliwości nasuwające skojarzenia z plemnikami, sprawiało jej sporo dyskomfortu, Róża zrezygnowała z soczewek. Przez chwilę rozważała zakup okularów, ale uznała, że ich noszenie będzie

przejawem osuwania się w starość. W końcu wada nie była znów taka wielka, jakieś głupie pół dioptrii w każdym oku, i spokojnie dawało się z nią na co dzień egzystować. Z drugiej jednak strony jej wzrok trudno już było nazwać sokolim. Teraz niby rozpoznawała bez trudu postaci, ale nie widziała dokładnie detali ich twarzy czy strojów, bo ich kontury lekko jej się rozmywały. Róża uświadomiła sobie, że podobnie było tamtego wieczora. Czy umiałaby rozpoznać mężczyznę, którego obserwowała przez kilka dni przez lornetkę? Niekoniecznie. Owszem, kilka razy udało jej się złapać na nim ostrość, ale przez większość czasu widziała go w charakterze, mniej lub bardziej wyraźnej, ale jednak plamy. Tak jak teraz jego kolegów. Gdyby dzisiaj tu stał i miałaby go wskazać palcem, rozpoznałaby go tylko po brodzie. Ale przecież tę zawsze można przykleić...

– Zaczynamy z osobna! Podnosimy ręce do góry! Trzymamy ramę! – Padały kolejne komunikaty choreografa, pokazującego, jak tańczyć sirtaki. – Robimy krok w lewo, wymach nogą, obrót, krok w prawo, wymach nogą i wracamy do pierwotnej pozycji. Obracamy się, powtarzamy, wracamy do frontu. Wyciągamy ręce, tak aby znalazły się na ramionach stojącego obok, i wszyscy razem robimy krok w lewo, wymach, powrót, krok w prawo, wymach, obrót. Rozłączamy się i kłaniamy. I od początku. Przećwiczmy to. Muzyka, proszę!

Z głośników zaczęły wydobywać się dźwięki buzuki. Kandydaci na misterów nieporadnie próbowali w ich takt powtórzyć to, co przed chwilą pokazywał im choreograf. Ten na widok ich wygibasów o mało co nie zszedł na zawał serca. Potężnym rykiem dał znać, aby wyciszono muzykę.

– To ma być grecki taniec, a nie występ z okazji światowego dnia paralizu wszystkich kończyn! – wrzasnął. – Może i wyciskacie po tryliard kilo na siłce, ale tańczycie jak łamagi. Ty – wskazał na jednego z uczestników – o mało co przy obrocie nie zwicznąłś sobie nogi. Ty – jego palec powędrował w stronę kolejnego chłopaka – podskakujesz jak mogot na Gibraltarze, a ty... Jakbym nie

wiedział, co próbujesz zrobić, to byłbym pewny, że oblaży cię mrówki. A Mulata proszę o niekręcenie biodrami. Nie jesteśmy w jakimś cholernym „Tańcu z Gwiazdami”, ja nie nazywam się Czarna Mamba i to nie jest pokaz salsy, tylko sirtaki.

– Nie jestem Mulatem! – zaprotestował stanowczo wskazany przez niego Mario.

– Naprawdę? – zdziwił się choreograf. – To czemu jesteś taki śniady?

– Bo mam na twarzy bronzer Bobbi Brown – wyjaśnił Mario ku uciesze kilku kolegów. – Znakomicie podkreśla mi kości policzkowe!

– Jak dla mnie możesz, kurwa, mieć nawet i warkoczyki Fizi Pończoszanki, bylebyś tylko przestał kręcić tyłkiem jak jakaś pomyłona Beyoncé. Panowie, pokazuję jeszcze raz! Zaczynamy osobno...

Zaprezentował ponownie taneczne kroki, po czym znów poprosił o włączenie podkładu muzycznego. Róża w tym czasie przesiadła się nieco bliżej. Teraz widziała już kandydatów wyraźnie. Zestresowani chłopcy posłusznie powtarzali układ. Tym razem wyszło im to o wiele lepiej. Aż do momentu, kiedy przyszło im się uklonić. Jeden z nich zrobił to inaczej niż pozostali. Choreograf spojrzał na niego groźnie.

– Przepraszam – powiedział winowajca z przeproszającą miną. – Jakoś tak mi to naturalnie wyszło... Jestem leworęczny...

I w tym momencie w głowie Róży nagle, jak grom z jasnego nieba, pojawiło się pewne skojarzenie. Wiedziała już, co ją męczyło od samego początku i o co wiecznie zapominała wszystkich zapytać. Musiała się tego dowiedzieć, teraz, natychmiast! Zerwała się z krzeselka, na którym przysiadła, i w tym momencie jej wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem mężczyzny, który chwilę wcześniej pomylił się w czasie tańca. Przez moment patrzyli na siebie – Róża z przestraczem, którego nie umiała opanować, on – z zaskoczeniem i czymś, co pisarka odebrała jako szyderstwo. W końcu opuściła wzrok, po czym szybkim krokiem udała się do swojego pokoju.

Kiedy się w nim znalazła, przysiadła na łóżku, chwyciła leżącą torebkę i z niecierpliwością wyszarpała z niej telefon. Włączyła go, zignorowała kilkanaście krótkich sygnałów, oznajmujących, że otrzymała nowe SMS-y i wiadomości w Messengerze tudzież że ma kilkanaście nieodebranych połączeń, przeczuwając, że stoją za nimi głównie Betty i Pepe, zaniepokojeni jej przedłużającą się nieobecnością, i wyszukała numer, który był teraz dla niej najważniejszy. Dotknęła napis: „Wyślij wiadomość” i w okienku, które jej się otworzyło, drżącymi z emocji rękami wstukała krótkie pytanie. Odpowiedź przyszła po kilkunastu sekundach. I w tym momencie Róża uświadomiła sobie, że być może nie wie jeszcze dokładnie, co się wydarzyło tamtego wieczoru i w jakiej kolejności, ale chyba właśnie trafiła na brakujące ogniwo. Dowiedziała się, kto najprawdopodobniej jest mordercą! Chciała czym prędzej podzielić się tym odkryciem z kimkolwiek, Pepe, Betty, Darskim, ale zamiast otworzyć spis kontaktów, z emocji przycisnęła ikonkę otwierającą galerię zdjęć. Ostatnimi były te, które zrobiła na Nowym Świecie po rozstaniu z Lalą. Przypomniała sobie jej dziwny wzrok w czasie rozmowy i kliknęła w jedno ze zdjęć. Przybliżyła je i zaczęła przeglądać milimetr po milimetrze. I nagle znalazła znajomą twarz! Tyle że należącą do kogoś innego niż mężczyzna, którego chwilę temu wytypowała jako mordercę. Róża poczuła, jak zaczyna jej się kręcić w głowie. Musiała koniecznie z kimś porozmawiać! Jeszcze raz spojrzała na twarz w telefonie, kiedy nagle nieładowany od wczorajszego wieczoru iPhone wydał z siebie kilka piknięć i się wyłączył. Róża rozejrzała się bezradnie w poszukiwaniu ładowarki, niepewna, czy ją w ogóle ze sobą zabrała. Jak znała siebie, raczej nie. Co robić? Pisarka przez chwilę próbowała włączyć telefon, zdając sobie sprawę z beznadziejności swoich wysiłków, po czym uświadomiła sobie, kto może jej pomóc. Rafał! Też ma iPhone’a. Podeszła do okna, z którego rozciągał się widok na opustoszały ganek. Widać choreograf zarządził przerwę w próbie. Róża przypomniała sobie, jak wczoraj wieczorem Rafał mówił, że oddał jej swój pokój na trzecim piętrze, a sam wziął

ostatni wolny na parterze. Wyszła z pokoju, dopadła do windy, nacisnęła przycisk „stop”, postąpiła przez chwilę, nabierając podejrzeń, że najprawdopodobniej urządzenie się popsło, bo nie słysząc, aby krążyło między piętrami, po czym zniecierpliwiona ruszyła w stronę schodów. Znalazła je nawet dość szybko, zeszła trzy piętra, a następnie skierowała się w lewą stronę, gdzie jej zdaniem powinny znajdować się pokoje hotelowe. Jednak ku jej zaskoczeniu, nie dość, że trafiła na długi i kręty korytarz, to jeszcze po kilkunastu metrach zaczynał się on robić ciemny. Niezadowolona odwróciła się, zamierzając wrócić do schodów i w tym momencie na końcu korytarza zamajaczyła jej czyjaś sylwetka. Ostatni przebłysk światła pozwolił jej na identyfikację człowieka, który za nią tu zszedł... Róża poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Ów ktoś zaczął z wolna iść w jej stronę! Pisarka instynktownie zrobiła w tył zwrot i nie myśląc wiele, pobiegła prosto w ciemność. Po kilku chwilach dotknęła ręką ściany, a potem, wciąż nie zmniejszając tempa biegu, przesunęła ją w poszukiwaniu jakichkolwiek drzwi. Trafiła na nie po kilku sekundach. Prawie czując na karku oddech zbliżającego się mężczyzny i nie przyjmując do wiadomości, że tak naprawdę ten musi wciąż jeszcze być daleko od niej, namacała klamkę. Szarpnęła za nią z całych sił. Ku jej uldze drzwi zaczęły się otwierać. Róża weszła do środka ciemnego pomieszczenia i czym prędzej zaczęła macać drzwi z drugiej strony w poszukiwaniu zamka. Czując jak słabnie z ulgi, namacała zasuwę. Żelazna, ciężka jak cholera, stawiała opór, nijak nie dając się pchnąć. W doprowadzoną do granic przerażenia Różę wstąpiły nadludzkie siły. W tym momencie była silniejsza nawet od Schwarzeneggera! Wydając z siebie jęk niczym batożony niewolnik, z całej mocy naparła na upiorną zasuwę. Ta drgnęła i z wolna zaczęła poruszać się we właściwą stronę. I w tym momencie zobaczyła, jak klamka przesuwa się w dół. Ryzykując uszkodzenie dłoni, pisarka złożyła ją w pięść i walnęła w zasuwę. Poczuła przeszywający ból, promieniujący bez mała do łokcia, ale boleć zasuwę wsunął się na

swoje miejsce. Ktoś po drugiej stronie przez chwilę siłował się z klamką, po czym zapadła cisza, w której Krull słyszała tylko swoje serce, z niewiadomych przyczyn bijące jej w głowie. *Zaraz szlag mnie tu trafi* – pomyślała i pomna wskazówek swojej lekarki, którą kiedyś poprosiła o lekarstwo na nagły stres, zaczęła głęboko oddychać i okrężnym ruchem masować sobie skronie. Po chwili serce wróciło na swoje miejsce, a ona trochę się uspokoiła, co pozwoliło jej w miarę trzeźwo ocenić sytuację. Niewątpliwie źle policzyła schody i zeszła niżej, niż powinna. Czyli przebywa w jakichś dawnych pomieszczeniach gospodarczych, o ile nie w lochach. Za drzwiami stoi zaś morderca. Róża nabrała bowiem pewności, że mężczyzna, którego jeszcze kilkanaście minut wcześniej stawiała jedynie na samym szczycie listy podejrzanych o zbrodnię, jednak je popełnił. A przynajmniej jedną. Teraz zaś chce sprzątnąć z tego świata ją! Po cóż innego ganiałby ją po pałacowych podziemiach? No dobrze, na razie jest bezpieczna. Ona znajduje się po jednej stronie drzwi, on – po drugiej. Pytanie tylko, jak długo utrzyma się takie status quo. On niewątpliwie będzie musiał niebawem iść na próbę, a ona... Róża poczuła, jak na samą myśl o wyjściu z pomieszczenia, w którym się znajdowała, zaczyna jej się robić słabo. Nie ma mowy! A co, jeśli ten bandzior zrezygnuje z próby i gdzieś się na nią zaczai? Z drugiej strony, nie będzie tu przecież siedziała w nieskończoność. Acz jej nieobecność powinna przecież w końcu zaniepokoić Rafała. Zaalarmuje kogoś i zaczną jej szukać. Pytanie tylko, czy znajdą. Oczyma wyobraźni Róża zobaczyła, jak po tygodniach przetrząsania zamku i jego okolic, ekipa ratownicza wreszcie wyważa zamknięte przez nią przed chwilą drzwi, zastając w środku już tylko jej zbielełe kości. *Przynajmniej raz w życiu nie będę za gruba* – pomyślała z niesmakiem, po czym przyszło jej do głowy, że może powinna zacząć wołać o pomoc. Na razie jeszcze nie miała na to ochoty. Póki ten tam stoi za drzwiami, nie da mu żadnej satysfakcji. Róża zauważyła, że oczy przyzwyczyły jej się do ciemności, które zresztą ku jej zaskoczeniu nie były tutaj aż tak egipskie jak

powinny. Ciekawe dlaczego? Pisarka oderwała wzrok od klamki, w którą od chwili wejścia wpatrywała się jak zahipnotyzowana, i rozejrzała po pomieszczeniu. Chwilę później wiedziała już, dlaczego widzi co nieco w ogromnej sali, do której przez przypadek trafiła. Przeciwległa do drzwi ściana oświetlona była od podłogi do mniej więcej połowy wysokości delikatnym mlecznym światłem, wychodzącym, ku zaskoczeniu Róży, spod podłogi. Zaintrygowana pisarka zaczęła ostrożnie iść w tamtą stronę. Kiedy wreszcie dotarło do niej, na co patrzy, było już za późno. Dziwnie chybotliwa w tym miejscu podłoga nagle uchyliła się, tworząc zapadnię. Róża nie miała się nawet czego chwycić. Wydając z siebie okrzyk przerażenia, runęła w dół.

ROZDZIAŁ XXI

Zagubiona

– Widziałeś Różę? – spytał Rafał z wyraźnym niepokojem, patrząc pytająco na Mario.

– Nie... – odpowiedział ten, uciekając misterowi wzrokiem.

– Na pewno? – Rafał zbyt dobrze znał swojego rozmówcę, aby nie wyczuć w jego odpowiedzi i zachowaniu nutki fałszu.

– Z rana zrobiłem jej makijaż, bo się uparła, że chce być tak atrakcyjna jak wczoraj albo jeszcze bardziej – odpowiedział Mario.

– A potem oglądała naszą próbę. Ale jak skończyliśmy, to już jej nie widziałem.

– Nie pojawiła się na obiedzie – zastanowił się Rafał. – Nie ma jej też w pokoju, bo pukałem do drzwi dość długo. Nawet, jakby spała, tobym ją obudził. Chyba że ma w uszach stopery i śpi przykryta trzema poduszkami. Ale raczej nie sędzę. Jej telefon jest wyłączony. Dziwne.

– Może poszła do miasteczka? – podsunął Mario niepewnie.

Rafał dałby sobie głowę uciąć, że chłopak coś przed nim ukrywa. Wiedział jednak, że na razie nie ma co go ciągnąć za język. Czuł się jednak mocno zaniepokojony. Od wczoraj zdążył się już nawet nieco wciągnąć w to amatorskie śledztwo. I choć wydawało mu się ono do tej pory miłą i niecodzienną rozrywką, to teraz uświadomił sobie, że może takową wcale nie być. W końcu dwie osoby straciły życie i jak bardzo absurdalną nie wydawałaby mu się myśl, że pozbawił ich go ktoś z uczestników konkursu, to nie można było wykluczyć takiej możliwości. A teraz jeszcze zaginęła Róża. Co zrobić? Rafał wyciągnął z kieszeni spodni telefon, jeszcze raz spróbował połączyć się z pisarką, a kiedy znów zgłosiła się poczta głosowa, wybrał numer do swojego agenta. Zadał mu jedno pytanie, a po chwili wystukał kolejny numer.

– Pan Paweł Kwiatek? – upewnił się. – Nazywam się Rafał

Maślak. Tak się składa, że od wczorajszego wieczora miałem przyjemność towarzyszyć pani Róży w podróży do Lidzbarka Warmińskiego.

– Dokąd? – usłyszał po drugiej stronie.

– Lidzbarka – powtórzył. – Odbywają się tutaj próby przez konkursem Mister Polonia i pani Róża chciała koniecznie być przy nich obecna. Ze względu na śledztwo, które państwo prowadzicie.

W słuchawce rozległ się cichy jęk.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Rafał.

– Tak, tak. Wyrywam sobie tylko włosy z głowy...

– Aaaa, w porządku, rozumiem – powiedział Rafał, myśląc jednocześnie, że bycie agentem kogoś tak oryginalnego jak Róża z pewnością musi być ciężkim zadaniem i że dobrze, że jego rozmówca pozbawia się tylko owłosienia, a nie na przykład tnie żyletką. – I teraz mam pewien problem. Bo Róża zaginęła...

– Panu też?! – krzyknął Pepe. – Jakim sposobem?!

Rafał w zwięzłych słowach streścił Pawłowi, wszystko, co wydarzyło się od chwili, kiedy podjechał na Emilii Plater i poznał pisarkę.

– Za chwilę wsiadam w samochód i jadę do Lidzbarka – powiedział Pepe stanowczo. – Niech pan spróbuje przycisnąć tego całego Mario, ale delikatnie, żeby go nie spłoszyć.

– Czy mam też wezwać policję?

– Nie – rzekł stanowczo Paweł. – Ja to zrobię. Znam przynajmniej jedną osobę, która szaleńczo się ucieszy, że będzie mogła zapuszkować Różę za utrudnianie śledztwa. Przynajmniej na czterdzieści osiem godzin...

* * *

Róża z trudem wstała się z podłogi, czując, że znajdujący się w niej kościotrup nie jest specjalnie zadowolony z przygody, która ich przed chwilą spotkała, i że w przyszłości ukarze ją niezliczoną ilością dolegliwości. Na razie postanowiła się tym jednak nie przejmować, zaskoczona miejscem, w którym tak niespodziewanie

się znalazła. Musiała minąć dłuższa chwila, zanim uświadomiła sobie, że zapadnia służyła do spuszczenia nieczystości, a ona stoi w średniowiecznym wychodku. A nawet nie tyle w wychodku, co pod nim, w miejscu, gdzie gromadziły się wszelkie nieczystości i fekalia. Na szczęście z miejsca tego najwyraźniej nie korzystano już od paru setek lat, bo czuć było tu jedynie specyficzny odór wilgoci i starych murów. W pomieszczeniu, choć z pewnością znajdowało się ono pod ziemią, ku zaskoczeniu Róży było całkiem widno. Pisarka szybko zorientowała się, dlaczego. Komnata tworzyła coś w rodzaju trapezu o nieco krzywej podstawie. Nieczystości, gromadzące się na samym środku, odprowadzane były niegdyś z tego miejsca specjalnymi rynnami. Szły one pod kątem i znikaly pod posadzką, prawdopodobnie prowadząc do znajdującej się nieopodal zamku rzeki. Do ich spłukiwania używano najwyraźniej deszczówki, spływającej specjalną bardzo grubą drewnianą rurą, której wylot znajdował się tuż obok miejsca, gdzie przed chwilą spadła. Snop światła wydobywał się z górnego, dziurawego wlotu tej rury, trudno ocenić, czy to skorodowanego czy też zniszczonego przy jakiejś okazji. Światło było bez wątpienia naturalne, słoneczne i wskazywało na to, że ta przedziwna konstrukcja kończy się na zewnątrz pałacu. Róża przez chwilę rozważała, co zrobić. W tym pomieszczeniu z pewnością nie znajdzie jej już nikt! Nawet i za sto lat. Może niby krzyczeć przez rurę, ale licho wie, gdzie znajduje się jej wylot. Pewnie poza zamkiem, w szczerym polu. Przez chwilę popatrzyła na rynny, ale szybko dotarło do niej, że musiałaby się zmienić w mysz, szczura albo jakiegoś innego gryzonia, żeby wydostać się tamtędy na wolność. Zostawało jedno... Róża westchnęła i sprecyzowała w głowie plan: musi wspiąć się po idącej do góry skosem rurze na samą górę, a tam wydostać się na zewnątrz za pomocą świecącego się otworu, modląc się, żeby okazał się na tyle szeroki, aby przez niego przelazła, a nie na przykład zaklinowała się w połowie. *Wziąwszy pod uwagę, gdzie jestem, będę mogła z czystym sumieniem powiedzieć, że udało mi się wydostać z prawdziwego*

gówna – pomyślała z przekąsem. Podeszła do rury i chwyciła ją rękami z obu stron. Lekko się podciągnęła, po czym objęła rurę nogami. *Muszę wyglądać jak miś koala* – przyszło jej do głowy. Przesunęła się do góry. Szło ciężiej, niż myślała. Przez kolejnych kilka minut pisarka, pomstując na swoją wagę i obiecując sobie w duchu, że kolejne miesiące spędzi o wodzie i marchewce tudzież codziennie od rana do wieczora będzie ćwiczyła na zmianę z Chodakowską i Lewandowską, a na noc smarowała się balsamami redukującymi tkankę tłuszczową, pokonała kolejnych parę metrów. Czowała, że mdleją jej ręce, a drzazgi od drewna ma już wszędzie. Rozpaczliwie dumiała, ile to cholerne pomieszczenie może mieć wysokości. *Wieża Eiffla to jest, kuźwa, Pałac Kultury?! –* pomyślała z rozpaczą, czując, że za chwilę braknie jej sił i znów klapnie na posadzkę oraz żałując, że nie może się zamienić w Spidermana. Otuchy dodawała jej jedynie myśl, jaki podziw zyska w oczach Rafała, kiedy opowie mu o tym, jak bohaterko się zachowała. A nie, zaraz, Rafał ma narzeczoną. No dobra, to w oczach Pepe i Betty. *Naprawdę uważasz, że byłbym zachwycony, patrząc, jak wpadasz do średniowiecznego wychodka, a potem wylazisz z niego z gracją zdechłej krowy, sapiąc przy tym jak nimfomanka na widok Greya? To pomyśl raz jeszcze!* – powiedział z politowaniem Pepe, znów pojawiając się jej przed oczami w postaci Dzwoneczka. Widok fruującego agenta tradycyjnie dodał Róży wigoru. Nie wiedzieć kiedy pokonała ostatni odcinek rury. *No, to teraz wóz albo przewóz* – pomyślała, chwytając ręką za krawędź otworu, ostatkiem sił podciągając się do niego i z triumfem konstatuując, że jest w stanie tym sposobem wydostać się na zewnątrz. A więc jednak! Udało się!

Róża wygramoliła się z wlotu rury i niezdolna na razie do kolejnego wysiłku, padła na trawę rosnącą obok niego. Po chwili jednak przypomniała sobie, jakim sposobem znalazła się w tym miejscu i co powinna czym prędzej zrobić. Wstała i podążyła w stronę wejścia do zamku. Przeszła przez tradycyjnie pustą recepcję i stanęła przed windą. Nacisnęła przycisk i czując, że ma

rozpaloną z emocji głowę, oparła ją o zimne metalowe obramowanie wejścia. Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie! Róża poczuła, jak coś chwyta ją za szyję i zaczyna dusić. W tym samym momencie jakiś ciężar z tyłu przycisnął ją do ściany. Chciała się wyrwać, ale uścisk na szyi był stalowy i pisarka poczuła, że nie jest w stanie nic zrobić. Rozpaczliwie zaczęła łapać powietrze, ale nie przechodziło ono przez zaciśnięte gardło. Z wolna zaczynała słabnąć. Poddała się i osunęła się, czując jak oczy zachodzą jej łzami. Za sobą widziała odbijającą się w metalu niewyraźną sylwetkę. Nagle uścisk na jej szyi stracił na sile, a po chwili zniknął też ciężar przypierający ją do ściany. Szybko złapała kilka oddechów, nieco przy tym kaszląc. Do jej uszu dobiegł odgłos silnego uderzenia, a potem jęk i rumor. Odwróciła się i zobaczyła Rafała, rozprostowującego sobie prawą rękę tak, jakby złapał go tam jakiś skurcz.

– Nawet nie wiedziałem, że umiem tak mocno kogoś uderzyć – powiedział do niej z uśmiechem. – Ale temu sukinsynowi należało się od samego początku! Chyba musimy wezwać do niego pogotowie. I policję!

Róża przeniosła wzrok z jego ręki na postać leżącą pod ich nogami. Twarz znokautowanego osobnika skierowana była w stronę podłogi.

– Kto to jest? – zapytała półprzytomnie.

– Wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazują na to, że morderca – powiedział Rafał, podchodząc do nieprzytomnego mężczyzny i odwracając go na wznak. – Nazywa się Jakub Perchuć. I niebawem będzie misterem więzienia. Wróżę mu tam ogromną popularność...

ROZDZIAŁ XXII

Rekonstrukcja

W zamkowej sali, niegdyś audiencyjnej, w wygodnych, głębokich fotelach zasiadło kilka osób. Rafał Maślak miał zabandażowaną prawą rękę, a do lewej przyrośniętą niczym huba do pnia drzewa Różę, wyrażającą mu takim sposobem wdzięczność za uratowanie życia. Tuż obok nich siedział nadąsany Mario. Jego rozgoryczenie brało się z faktu, że policja najpierw zerwała go z łóżka bladym świtem, a potem nie pozwoliła mu zrobić makijażu, mimo oferty, że chętnie wykona go też funkcjonariuszom, i to za darmo. Obok Mario siedział Sebastian Orłow, a dalej Wasyl Miruk, Betty, Pepe i Lala. Ostatnią osobą, obecną na sali i siedzącą naprzeciw całej reszty tak, jakby przyszedł zdawać egzamin przed komisją, był Krzysztof Darski.

– Wiem, że to trochę teatralne i nie do końca zgodne z przepisami – powiedział komisarz – ale postanowiłem spotkać się z wami, aby dokładnie wyjaśnić, co się wydarzyło przez ostatnie dni. Jako że wszyscy braliście w tym udział, a niektórzy nawet wbrew moim zakazom – tu potoczył gniewnym wzrokiem najpierw po Róży, a potem Pepe i swojej narzeczonej, która zrobiła złośliwą minę i pokazała mu język – czuję, że jestem wam winny wyjaśnienia. Przez ostatnich kilkanaście godzin udało nam się przesłuchać wszystkie zamieszane w tę sprawę osoby i na podstawie ich zeznań dokładnie zrekonstruować przebieg zdarzeń oraz aresztować wszystkich podejrzanych. No dobrze, prawie wszystkich, bo na niektóre próby otrucia postanowiliśmy przymknąć oko, tym bardziej, że nie wniesiono co do nich żadnego oskarżenia.

– Żądam za to podwyżki, wolnych piątek i zaprzestania szydzenia z mojej garderoby – rzekł stanowczo Pepe, odwracając się do Róży. – I to natychmiast!

– Spodnie – wyjaśniła pisarka, czując, że wszyscy wpatrują się

w nią pytająco. – Nie ma ani jednej całej pary. Wszystko w dziurach. Kupiłam mu na imieniny zestaw krawiecki, żeby sobie pocerował i zaszył, bo aż żal było patrzeć...

– Nie po to stu projektantów wzięło gruby szmal za zrobienie tych dziur, żebym miał coś zaszywać! – rzekł gniewnie Pepe. – A, i jeszcze życzę sobie udostępnienia pani Cecylii w te wolne piątki. Będę ją trzymał z dala od moich garnków, ale prawdziwa z niej skarbnica przepisów kulinarnych. Książki siostry Anastazji ma wykute na blachę! Musi mi parę pokazać...

– A bierz ją sobie! – mruknęła Róża, do której godzinę wcześniej zadzwoniła jej mama, informując ją z przerażeniem w głosie, że podczas jej nieobecności gospodyni wprowadziła kilka „ulepszeń” w mieszkaniu, które teraz wygląda, jak to się wyraziła, „niczym skrzyżowanie Muzeum Narodowego z kościołem Mariackim”. – Nawet i na stałe.

– A możecie wasze osobiste porachunki załatwić później? – zapytała z wyrzutem Betty. – Bo jestem ciekawa, na ile nasze podejrzenia były słuszne...

– To Krzyś ci tego jeszcze nie zdradził? – zdziwiła się Róża.

– Mamy ciche dni – wyjaśniła Betty. – A właściwie jeden dzień, bo milczy od wczoraj.

– Porozmawiamy później i na osobności – powiedział Darski, a morderczy błysk w jego oczach zapowiedział, że bynajmniej nie ma na myśli nic przyjemnego. – A teraz pozwolicie, że przejdę do sedna. Otóż wszystko zaczęło się od tego, że któregoś dnia Sergiuszowi Prokopowi wpadła na Facebooku w oko pewna dziewczyna.

– Martyna! – wyrwało się Róży. Pepe zgromił ją wzrokiem.

– Tak, Martyna Mroziak – potwierdził Darski. – Zaprosił ją do grona znajomych, zaczęli rozmawiać. Nie wiedział, że trafia na psychopatkę. Martyna miała już za sobą kilka nieprzyjemnych dla jej znajomych czynów. Ponoć nawet w ramach ostrzeżenia otruła psa koleżanki jednego ze swoich chłopaków, podejrzewając, że oboje spotykają się za jej plecami.

Róża poruszyła się niespokojnie, ale nic nie powiedziała. Komisarz to jednak zauważył.

– Wiem, że sprzedawała wam to jako opowieść o kimś innym – powiedział. – Ale tak naprawdę dotyczyło to jej samej. U osób z zaburzoną psychiką często bywa tak, że cudze przeżycia opowiadają jako swoje własne i na odwrót, w swoje ubierają inne osoby. Tak czy siak, już w czasie pierwszego spotkania Sergiusz doszedł do wniosku, że z tej znajomości nic nie wyjdzie i próbował dać to Martynie do zrozumienia. Ona miała jednak zupełnie inne odczucia. Wmówiła sobie, że oto spotkała mężczyznę swojego życia i nie zamierzała go wypuścić z rąk. Pisała do niego coraz bardziej nachalne wiadomości, nalegała na kolejne spotkania, krążyła w okolicach jego pracy, aby go niby to przypadkiem spotkać. Prokopowi nie wydawało się to specjalnie groźne, chyba nawet łechtało jego ego, a poza tym miał już na głowie inny dylemat. Mniej więcej w tym samym czasie odkrył, że jego pracodawczyni oszukuje urząd skarbowy i pierze brudne pieniądze, między innymi sponsorując konkurs, w którym traf chciał, że i on sam brał udział. Zamiast iść na policję, co jak widać przychodzi z trudem nawet tym osobom, które wiedzą, że można mieć do niej zaufanie – tu znów wymownie spojrzął na Betty – napisał list do swojej pracodawczyni, informując ją, że wie o tym, co dzieje się w firmie i daje jej czas na to, aby to naprawiła. I tym samym poniekąd podpisał na siebie wyrok. Nie wiedział bowiem, że Barbara Pajak ma romans z Jakubem Perchuciem i jest jego, jak to się teraz dyplomatycznie nazywa, mecenaszką. Choć ja wolę słowo sponsorką, bo jest bliższe prawdy. Dla Jakuba uporządkowanie przez Barbarę spraw, czyli spłata zobowiązań wobec urzędów, oznaczało odcięcie od całkiem miłego źródła dochodów. Razem zaczęli więc obmyślać, w jaki sposób pozbyć się przeszkody.

– I tak od razu zaplanowali morderstwo?! – zdziwił się Rafał.

– Według tego, co mówią, nie – odpowiedział Darski. – Rozważali przekupienie Prokopa pieniędzmi albo wygraną w konkursie, choć na to drugie Perchuc nie chciał się zgodzić, bo trudno mu było

rezygnować z tytułu, który miał już przez Barbarę obiecany.

– Ale przecież wszyscy zgodnie twierdzili, że to Sergiusz miał być mурowanym kandydatem do tytułu – przypomniała Róża.

– A bo to byłby pierwszy przypadek, kiedy wygrywa czarny koń? – zapytał Darski. – Im bardziej szokująca byłaby niespodzianka, tym głośniejszy hałas wokół werdyktu, a co za tym idzie więcej okazji do lansu. A w tych czasach sami wiecie, że nieważne, co o człowieku mówią, byleby nie przekreślali nazwiska. Ostatecznie jednak stanęło na tym, że Prokopa trzeba sprzątnąć. I wszystko byłoby fajnie, gdyby nie fakt, że ten zniknął.

– Jak to? – zdumiała się Róża.

– Ano tak... To w całej tej historii był największy zbieg okoliczności. W tym samym czasie, kiedy Barbara i Jakub obmyślali, jak się pozbyć Sergiusza, Martyna ostatecznie straciła nadzieję na to, że ten kiedyś będzie jej. Dostała od niego długiego maila, w którym wytłumaczył, że przez cały czas był zakochany w swojej byłej narzeczonej. I że postanowili dać sobie kolejną szansę.

– Dokładnie tak, jak to pani opowiedziałam – powiedziała Lala, patrząc na Różę w lekkim wyrzucie. – Ale mi pani nie uwierzyła...

– Przepraszam... – powiedziała cicho Róża. – Ta dziewczyna była bardzo przekonująca.

– Martyna wpadła w szal i postanowiła, że skoro ona nie może go mieć, nie będzie miał go nikt. – Darski wrócił do tłumaczenia przebiegu zdarzeń. – Była sprytna i inteligentna jak większość psychopatów. Pragnęła śmierci Sergiusza, ale nie spieszyło jej się za kratki. Chciała wszystko wykonać cudzymi rękami. Ponieważ przez ostatnie tygodnie żyła jego życiem, znała na pamięć wszystkie szczegóły konkursu Mistera Polonia, a przede wszystkim wiedziała, kto w nim startuje. Najpierw w jakimś klubie poderwała Rolanda Zdunka, a potem skontaktowała się z Manuelą Orłow...

– No właśnie, dlaczego z nią? – spytała z ciekawością Betty. – Po co było wciągać w to obcą osobę?

– To bardzo proste – uśmiechnął się Darski. – Bo przecież ona wcale nie była obca.

Popatrzył znacząco na Sebastiana.

– Może pan wyjaśnić? – zapytał.

– Mój tata porzucił dom, gdy byłem jeszcze niemowlakiem, a po rozwodzie mama zmieniła mi nazwisko na swoje – powiedział chłopak. – Wcześniej nazywałem się Sebastian Mroziak. Martyna jest moją przyrodnią siostrą.

– Teraz już wszystko jest bardziej zrozumiałe, prawda? – upewnił się komisarz. – Martyna wiedziała, że Manuela ma pod Warszawą domek, w którym można byłoby przetrzymać Sergiusza i zabić go w chwili, kiedy ona sama postara się, aby pani Jasłoń, którą też przy okazji chciała ukarać, nie będzie miała alibi. Poza tym musiała mieć kogoś, kogo Sergiusz zna, żeby zwabić go na miejsce. Wmówiła Manueli, że Prokopa, jako murowanego kandydata do zwycięstwa, trzeba porwać i trzymać pod kluczem do końca konkursu. Powiedziała jej też, że ma znajomości w jury. Manuela uwierzyła jej zapewnieniom, że gdy Prokop zniknie, korona na pewno ozdobi głowę jej przyrodniego brata.

– Cała matka! – mruknął Sebastian. – Naiwność i krótkowzroczność...

– Wszystko działo się pod presją czasu, bo finał konkursu zbliżał się nieubłaganie – kontynuował Darski. – Nie wiemy tylko, na jakim etapie Martyna przekonała Zdunka do tego, że Sergiusza powinno się nie tylko porwać, ale i uciszyć na zawsze i jakiego użyła argumentu. Zdunek nie chce na ten temat rozmawiać, a Martyny nie udało nam się jak dotąd znaleźć. Zapadła się pod ziemię.

– Obawiam się, że nie musiała go w ogóle przekonywać – powiedziała Lala. – Roland usiłował mnie kiedyś podrywać. To było tuż po tym, jak rozstaliśmy się z Sergiuszem, ale gdy ktoś mu doniósł, że randkujemy, wpadł w szal. I pewnego wieczoru doszło między nimi do awantury, a potem bijatyki. Obaj grozili, że się wzajemnie pozabijają. Myślałam, że to taka walka kogutów

i groźby rzucające na wiatr. Ale Roland wylądował po konfrontacji w szpitalu, ponoć stracił przez to jakieś kontrakty reklamowe. W każdym razie miał powód, żeby się zemścić. Tym bardziej, że po wyjściu ze szpitala, powiedziałam mu, że jednak to nie jest jeszcze dla mnie dobry moment na randki i wchodzenie w jakiegokolwiek nowe związki. Nie przyjął tego najlepiej, delikatnie rzecz ujmując.

– Czyli miał powód, żeby źle życzyć i Sergiuszowi, i pani. – Darski wyraźnie odetchnął z ulgą, że wyjaśniła mu się kolejna zagadka. – Sprawy jednak nie potoczyły się tak, jak to sobie zaplanowali. Udało im się bez problemu wykonać pierwszą część planu. Manuela zwabiła Sergiusza do swojego domku, gdzie ten oberwał po głowie, a potem został przywiązany do łóżka na poddaszu. Regularnie też podawano mu środki nasenne. Jego miejsce w biurze zajął Zdunek.

– Czyli obserwowałam jakiegoś psychologa?! – oburzyła się Róża.

– Ciągnie swój do swego... – mruknął Pepe.

– Zamknijcie się, jak rany... – rozkazała gniewnie Betty. – Po co Zdunek siedział w tym biurze?

– Po pierwsze, gdyby Sergiusz nie stawił się w pracy, wzbudziłoby to podejrzenia, a po drugie, w biurze znajdował się komputer, w którym Zdunek musiał zmienić treść maili między Prokopem a Martyną...

– A potem to samo zrobił w moim... – mruknęła Lala.

– Owszem. – Darski pokiwał głową. – Że też go pani nie rozpoznała!

– Był nieźle ucharakteryzowany – wytłumaczyła Lala. – I dobrze zagrał starszego pana...

– Przypominam, że chodził do szkoły aktorskiej – powiedział Darski. – Musiała pani przeżyć nie lada zdziwienie, zaglądając potem do swojej skrzynki pocztowej.

– Zdziwienie? – prychnęła Lala. – Raczej szok! Myślałam, że zwariowałam albo mam zaburzenia świadomości!

– Ale niekoniecznie trzeba było od razu uciekać...

– Wielka mi ucieczka. – Lala wzruszyła ramionami. – Zgłosiłam

się do was jeszcze tego samego wieczoru, jak tylko przemyślałam sprawę. Tym bardziej, że zobaczyłam go w czasie, gdy rozmawiałam z panią Różą. Nie pierwszy zresztą raz. Często trafiałam na niego niby to przypadkiem. Pomyślałam wtedy, że być może ma na moim punkcie jakąś obsesję...

– Wydaje mi się, że może pani mieć rację – potwierdził komisarz.
– Wróćmy jednak do przebiegu zdarzeń. Wszystko szło zgodnie z planem, aż do chwili, kiedy Roland zabalował, upił się w trupa i w przypiływie pijackiej szczerości wygadał cały plan Jakubowi. Ba! Powiedział mu też nawet o wariatce, która codziennie obserwuje go przez lornetkę.

Róża poczuła, jak mimowolnie się rumieni.

– Jakub w mig pojął, że trafia mu się jedna w swoim rodzaju okazja! Śledził Rolanda do domu Manueli. Po czym skontaktował się z Barbarą. Szybko ustalili plan akcji. Zaczęli od zepsucia kamery w biurowcu, w którym pracował Prokop. Następnego dnia oboje pojechali do domu Manueli, upewnili się, że nikogo tam nie ma, włamali się tam, po czym wypchnęli Sergiusza przez okno, a zwłoki zapakowali do vana Barbary, wcześniej usunąwszy z niego tablice rejestracyjne. Podjechali pod biurowiec, gdzie Jakub zastąpił ochroniarza...

– No właśnie, co z nim? – zapytała Róża, ale Darski machnął niecierpliwie ręką.

– Do niego jeszcze wrócimy – obiecał. – Na razie lećmy po kolei. Jakub odczekał na stosowną chwilę, kiedy budynek całkowicie opustoszeje, a potem razem z Barbarą podrzucił zwłoki na upatrzone miejsce. Dokleił sobie brodę i bokobrody, upewnił, czy nikt poza Różą go nie widzi, i wykonał na jej oczach skok, lądując bezpiecznie na gzymsie na drugim piętrze. To było odrobinę ryzykowne, ale dla tak wysportowanego człowieka jak Perchuc nie stanowiło dużego problemu. Odkleił sobie brodę i zbiegł na dół, a potem spokojnie poczekał, aż zjawi się Róża. Następnie na jej życzenie teoretycznie poszedł sprawdzić, czy ciało samobójcy leży pod budynkiem, a po drodze podrzucił Barbarze swoją brodę. Ta

odczekała jeszcze kilka minut w vanie i odjechała. Przyjechała policja i tu nastąpił ostatni ze zbiegów okoliczności. Policjant spisujący zeznania zapomniał poprosić Jakuba o ich podpisanie. To był dla Perchucia prawdziwy cud, bo de facto ten moment był najslabszym ogniwem jego planu. A tu nagle wszystko magicznie samo się rozwiązało. Następnego dnia zeznania podpisał już Marek Krawczyk...

– Który wkrótce po tym został otruty... – dokończyła Róża. – A właściwie dlaczego?

– Chciwość – powiedział Darski. – Najpierw dostał kasę od Zdunka, żeby nie narobił rabanu, że to on przychodzi do biura zamiast Sergiusza, a potem od Jakuba, żeby w dniu zabójstwa zrobił sobie wolne...

– Ach! – wyrwało się Lali. Darski spojrzał na nią pytająco.

– Już wiem, co mnie gnębiło! – powiedziała Lala. – Tego dnia Sergiusza w ogóle nie powinno być w biurze. Rozmawialiśmy o tym, że bierze sobie wtedy wolne, bo musi zrobić jakieś prace remontowe w domu. Z góry przeproszał, że i tego dnia, i przez kilka poprzednich może nie dawać znaku życia, bo musi objechać markety budowlane i będzie miał po kokardy roboty. Nawet z tego powodu się nie umówiliśmy wieczorem! Kompletnie o tym potem zapomniałam!

– No to rychło w porę to sobie pani przypomniała – stwierdził Darski z wyrzutem. – Ale przynajmniej rozumiem, dlaczego nie było wtedy w biurze Zdunka udającego Prokopa. A wracając do Krawczyka, to ten najpierw trochę zgłupiał, że w odstępie kilku dni ktoś znajomy wręcza mu łapówkę, ale po śmierci Sergiusza postanowił zarobić jeszcze więcej.

– Kolejny, który zamiast iść na policję, zaczął kombinować – mruknął Pepe.

– Dokładnie! – Darski spojrzał na niego z wdzięcznością. – Dobrze, że tym razem powiedział to ktoś inny, bo głupio tak się co parę minut powtarzać. Jakub nie zdążył zareagować na jego list z żądaniem kolejnej wypłaty, ale za to Martyna, Roland i Manuela

poczułi, że znaleźli się w pułapce. Najpierw ktoś im ukradł i ukatrupił porwanego. Na ich szczęście uznano to za samobójstwo. Po czym dostali pogróżki, że o całej sprawie dowie się policja. Postanowili, że uciszą świadka i to w taki sposób, żeby wyglądało to na kolejny przypadek. I najzabawniejsze, że mieli spore szanse na to, żeby ten plan im wypalił. Gdyby nie moja intuicja...

Betty głośno chrząknęła.

– No tak, i wasze idiotyczne śledztwo – dodał Darski. – Pewnie pierwsza śmierć została uznana za samobójstwo, a druga za przypadek. Na całe szczęście nie ma to jak złapać kogoś na gorącym uczynku. Swoją drogą, długo to trwało, moja droga Rózo, zanim się zorientowałaś, co w tym wszystkim nie grało. Pogratulować refleksu. Jakbyś od razu wpadła na to, że facet, którego obserwujesz najpierw jest praworęczny, a potem znienacka leworęczny, mielibyśmy sprawę zakończoną w kilkanaście minut, a nie kilka dni.

– Jak obserwowałam mężczyznę w biurowcu, oczywiście przelotnie i niezbyt dokładnie – powiedziała obrażonym tonem Róża – to ostatnim, na co zwracałam uwagę, było to, którą ręką porusza touchpada na swoim laptopie. Dopiero jak ten tutaj źle się uklonił i wyjaśnił, że jest mańkutom, zaczęłam sobie przypominać sceny z tamtego wieczoru. I uświadomiłam sobie, że domniemany samobójca też był leworęczny. Kiedy dostałam SMS-a od pani Magdy, że Sergiusz był praworęczny, wiedziałam już, kto go wtedy zastępował. Tym bardziej, że wcześniej wszystko obgadaliśmy z Mario.

– A swoją drogą – włączył się Rafał – skąd ty się nagle zrobiłaś taki wszechwiedzący?

Mario skrzywił się lekko.

– Wszyscy mnie nie doceniacie – powiedział. – Najpierw dowiaduję się, że Jakub sypia ze sponsorką gali, a potem, że ta ma problemy finansowe. Później Sebastian opowiada mi o tym, że jego matka coś kombinuje z jego przyrodnią siostrą i że jest zaskoczony ich komitywą, bo nigdy się jakoś przesadnie nie lubiły. Potem

Sergiusz pokazuje mi zdjęcie psychopatki, która go prześladowa i okazuje się, że jest to siostra Sebastiana. Potem idziemy z Sebkiem Krakowskim Przedmieściem i natykamy się w jakiejś restauracji na jego mamę w towarzystwie Rolanda. Ginie Sergiusz, a ja na przyjęciu widzę, jak mama Sebastiana w toalecie wysypuje do sedesu jakiś proszek. Tylko idiota nie nabrałby podejrzeń, że coś tu śmierdzi i to bardzo.

– Co robiłeś w damskiej toalecie? – zdziwił się Rafał.

– Byłem! – Mario wzruszył ramionami. – Co cię to obchodzi? Może chcę zmienić płeć? A może w damskiej toalecie jest lepsze światło i łatwiej można poprawić makijaż? Co to za różnica?

– Nic, tak po prostu pytam – wycofał się z uśmiechem mister.

– A na koniec, kiedy w ciemno zarzucam haczyk – dokończył Mario – okazuje się, że trafiam w sedno. Choć szczerze mówiąc myślałem, że mordercą jest jednak Zdunek. Ma przynajmniej jaja. Po Jakubie się ich nie spodziewałem.

– A ja zastanawiam się tylko, skąd to polowanie na mnie... – powiedziała Róża. – Dlaczego ten facet koniecznie chciał mnie zabić?

Mario drgnął niespokojnie. Darski wskazał na niego dłonią.

– Przyzna się pan, czy mam powiedzieć? – zapytał.

– Przyznam – powiedział z rezygnacją chłopak. – To przeze mnie.

– Jak to?! – zdumiała się Róża.

– Jak zostaliśmy we trzech w szatni, ja, Roland i Jakub, to obaj zaczęli mnie wypytywać o panią – powiedział Mario. – W końcu pomyślałem, że może takim sposobem któryś z nich się zdekonspiruje, bo przecież do końca nie byliśmy pewni, kto jest mordercą. I...

– I co zrobiłeś?!

– Powiedziałem, że wcale nie jest pani asystentką Rafała, tylko pisarką, która była świadkiem morderstwa, i że wie pani, kto go dokonał. I że nikomu pani tego na razie nie powiedziała, ale wkrótce to zrobi, tylko czeka na prasę i policję, żeby zrobić sobie większą reklamę.

– Użyłeś mnie jako przynęty?! – zapytała Róża z oburzeniem.
Po chwili z zaskoczeniem dodała:
– I on w to uwierzył?! Że chcę sobie zrobić reklamę?! Co za baran!
– Kotku... – Mario spojrzał na nią z politowaniem. – Naprawdę jeszcze nie zauważyłaś, że jesteś wśród osób, które oddałyby nerkę, upubliczniły swoje prześwietlenia rentgenowskie i wymordowały pół Polski za chwilę sławy?

ROZDZIAŁ XXIII

Gala

– To była niezrównana Klaudia Hutniak, której na gitarze towarzyszyła siostra Bernadetta. Czyż nie były wspaniałe?! – Dźwięczny głos Rafała Maślaka rozbudził widownię uspioną nieco senną, jedenastominutową interpretacją pieśni *Chwalcie łąki umajone*, którą diwa w wyniku doznanej w Licheniu iluminacji wybrała na ten wieczór, doprowadzając przy okazji reżysera spektaklu do migotania przedSIONKÓW. – A teraz pora na najbardziej ekscytujący moment naszego spotkania. Zapraszamy do nas wszystkich uczestników dzisiejszej gali.

Na scenę wyszło dziesięciu przystojnych mężczyzn w garniturach.

– Napięcie sięga zenitu! – powiedział towarzyszący mu na scenie w roli współprowadzącego galę Mistera Polonia aktor Tomek Ciachorowski. – Przed nami już tylko jedna informacja. Ale za to ta najważniejsza! Za chwilę na tej scenie pojawi się kobieta, która dźrzyżyć będzie kopertę z nazwiskiem nowego Mistera Polonia! Przywitajcie ogromnymi oklaskami jedną jedyną i niepowtarzalną królową polskiej kuchni, Marię Tycjan!

Restauratorka wyszła na scenę zdecydowanym krokiem. Siedzący w pierwszym rzędzie Pepe na jej widok aż się zachłysnął. Restauratorka miała na sobie powłóczystą białą szatę obramowaną futrem, białe szpilki i ogromny dziwaczny biały kapelusz. Wyglądała w tym tak, jakby przed chwilą ktoś ją wydobył z zasy. Wygłosiła kilka słów podziękowania pod adresem organizatorów, po czym otworzyła trzymaną w rękach kopertę i wyjęła z niej niewielką kartkę.

– Miło mi ogłosić – powiedziała – że tytuł Mistera Polonia 2017 roku zdobywa... Sebastian Orłow!

Wyraźnie zaskoczony chłopak podszedł do restauratorki, odebrał

z jej rąk kopertę, a następnie – na widok zmierzającej w ich stronę hostessy, trzymającej na wyciągniętych przed siebie dłoniach poduszkę z koroną – przyklęknął na jedno kolano. Maria uroczyście nałożyła mu na głowę koronę, a następnie opasała go przyniesioną przez drugą hostessę szarfą. Sebastian wstał i podszedł do mikrofonu.

– To... to... prawdziwy szok! – wyjąkał. – Nie mogę w to uwierzyć...

Odczekał, aż umilkną oklaski.

– Jest tyle osób, którym chciałbym podziękować – powiedział ze wzruszeniem. – Przede wszystkim mojej mamie. Bardzo żałuję, że dzisiaj nie może tu z nami być. To było przede wszystkim jej marzenie. Wiem, że tam, gdzie przebywa, na pewno czuje się teraz bardzo szczęśliwa.

* * *

Róża sięgnęła po jeden z roznoszonych przez kelnerów kieliszków szampana i wzrokiem wyszukała Rafała. Z żalem dostrzegła, że towarzyszy mu wysoka, szczupła, piękna blondynka. *To pewnie ta cała narzeczona* – pomyślała niechętnie i ciężko westchnęła. W porównaniu z towarzyszką mistera poczuła się nagle jak stara, utyta i zaniedbana gropa. A jeszcze chwilę temu miała wrażenie, że dzięki makijażowi i stylizacji Mario przypomina hollywoodzką seksbombę! Najchętniej poprosiłaby Pepe, żeby zawiózł ją do domu. Pisarka przeszła po sali, usiłując namierzyć wzrokiem swojego agenta, ale ten najwyraźniej gdzieś się przed nią zaszył. Nic w sumie dziwnego, skoro przez ostatnią godzinę siedem razy kazała mu podziwiać, jaka jest piękna i atrakcyjna.

– To była naprawdę niezapomniana przygoda... – rozległ się za nią znajomy głos.

Róża odwróciła się i zobaczyła przed sobą uśmiechniętego Rafała.

– Miło, że tak będziesz to wspominał – powiedziała, odwzajemniając uśmiech. – Ale ja się cieszę, że już się skończyła. Kryminały o wiele lepiej pisać, niż przeżywać w życiu.

– A wiesz, że nie czytałem jeszcze żadnej twojej książki? – przyznał Rafał ze skruchą. – Będę musiał nadrobić.

– Wyślę ci kilka – zaproponowała Róża. – Tych lepszych...

– To piszesz też i gorsze?

– Zdarza się – przyznała Krull, która do swojej twórczości od początku miała zdrowy dystans. – W końcu nie zawsze jest niedziela. A co do naszej przygody, to plus taki, że przynajmniej się poznaliśmy. Szkoda tylko...

Ugryzła się w język.

– Tak... – Rafał spojrzał na nią przymrużonymi oczami.

– Wiesz, co chcę powiedzieć... – szepnęła zmieszana Róża.

– Nie wiem – odpowiedział Maślak. – Ale mogę się domyślać...

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Róża z żalem, Rafał z lekkim rozbawieniem.

– A więc... – pisarka przerwała ciszę, czując, że atmosfera z wolna zaczyna być krępująca. – Masz brata...

– Owszem.

– Jest zajęty?

– O, tak! – odpowiedział Rafał, a widząc rozczarowaną minę pisarki, cicho się roześmiał. – Robi w życiu bardzo dużo rzeczy. Ale odpowiedź na to, o co w tym przypadku pytasz, brzmi: nie. Nie jest TAK zajęty...

– A jak ma na imię?

– Bardzo ładnie. Aleksander.

Róża przez chwilę wahała się, czy wypowiedzieć kolejną kwestię, i nagle ku własnemu zaskoczeniu usłyszała, jak z jej ust pada niewinne pytanie:

– A myślisz, że przyjmie moje zaproszenie na Facebooku...?

EPILOG

Było sporo po północy, kiedy Róża – ostatnimi siłami i z poczuciem, że uszła z niej cała energia – dowlokła się do swojego mieszkania. Ku jej zdumieniu pani Cecylia jeszcze go nie opuściła, choć z reguły żegnała się z nią w okolicach dwudziestej pierwszej. Teraz jednak siedziała przy stole, na którym rozrzucone były jakieś kartki.

– Dobry wieczór – powiedziała pisarka, rzucając torebkę na fotel i kładąc się na kanapie. – Jestem wykończona. Już się chyba nie nadaję na takie imprezy...

Cecylia odwróciła się w jej stronę. Róża ze zdumieniem odnotowała, że jest dziwnie podniecona i sprawia wrażenie szalenie czymś przejętej.

– Co to jest? – zapytała, wskazując na kartki.

Pisarka podniosła się z kanapy, podeszła do stołu i rzuciła okiem na papiery. Szybko zorientowała się, co zawierają.

– To korekta mojej książki – powiedziała. – Ktoś mi ją wysłał bez sensu po raz drugi z jakimiś idiotycznymi znaczkami. Jeszcze na stare mieszkanie. Miałam to wyrzucić, ale zapomniałam. Myśleliśmy nawet z Pepe i Betty, że te znaczki mają jakieś znaczenie, że to jakiś szyfr, ale w sumie nie miało to większego sensu. Jakieś idiotyczne słowa nam wychodziły z tego...

– Na świętą Gryzeldę! – wykrzyknęła Cecylia. – To nie są żadne idiotyczne słowa. Tylko nie zgadza się w nich jedna samogłoska. Jak wymieni pani „u” na „e”, to wyjdzie pani nazwa mojej wsi i kilku innych położonych w jej pobliżu!

Przysypiająca Róża z miejsca się rozbudziła.

– Jest pani pewna? – zapytała. – Czyli te hasła mają jakiś sens?

– Oczywiście! – powiedziała stanowczo gospoś, po czym popukała palcem w kartkę leżącą na samym wierzchu. – A to tutaj,

to jest data, prawda?

– Tak nam się wydaje – potwierdziła Róża. – A co?

– A przy niej słowo „śmierć” – powiedziała Cecylia. – A teraz niech pani spojrzy, którego dzisiaj mamy...

Róża posłusznie zerknęła na leżący przed nią kalendarz, po czym wróciła wzrokiem do gosposi.

– Ta data jest dzisiejsza – powiedziała ze zdumieniem.

– Tak. – Cecylia pokiwała głową. – Dzisiejsza. A kilka godzin temu moja córka, która mieszka w naszej wsi razem z mężem i synami, wysłała mi SMS-a o tragedii, jaka się u nich wydarzyła.

– Tragedii?

– Tak. – Cecylia spojrzała Róży prosto w oczy. – Ktoś zamordował tam z rana wójta. A teraz niech mi pani powie, skąd wiedział o tym ktoś, kto przysłał do pani te kartki?

PODZIĘKOWANIA

Ta książka powstawała w bardzo trudnym momencie mojego życia. Momencie, w którym zrozumiałem, jak dobrze mieć dokoła siebie Dobrych Ludzi. Bardzo dziękuję za każde ciepłe słowo, za każdy uśmiech i nieustające wsparcie.

A szczególne słowa wdzięczności należą się:

– Adrianowi Tomczykowi, bo kiedyś obiecałem mu, że od niego zacznę podziękowania. Mistrzu, dzięki za bycie moją prawą ręką (zwłaszcza że jestem mańkutem);

– Pawłowi Płaczkowi (takemycake.eu) – za to, że jak zawsze nie pozwolił, abym w czasie pisania umarł z głodu tudzież zasuszył się na wiór oraz za wsparcie, którego nigdy za dużo;

– Magdzie Witkiewicz – za to, że czasem nieco nadużywane słowo „przyjaźń” przy niej nabiera nowego, cudownego znaczenia;

– Jolancie Walczak-Skorupie – za to, że pewnego dnia o północy odbyliśmy dłuuuugą rozmowę o truciznach;

– Arturowi Grabarczykowi – za to, że dzięki niemu jeszcze nie zwariowałem w moim podstawowym miejscu pracy i ciągle nieźle się tam czasem bawię;

– Rafałowi Maślakowi – za to, że dał mi carte blanche na wykorzystanie go w tej powieści z jednym tylko zastrzeżeniem („nie rób sobie ze mnie zbyt dużej beki”), które wypełniłem bez problemu, bo mam dla niego ogromny szacunek (edukuj dalej polskich facetów, Rafał, a może kiedyś polskie ulice będą tak modne i kolorowe jak berlińskie czy londyńskie!);

– Tomkowi Kamilowi Lipińskiemu – za wspaniałą współpracę;

– moim ukochanym blogerkom i blogerom: Ani Karowicz, Pauli Sieczko, Wioli Umeckiej, Marcie Matyszczak, Klaudii Pankowskiej, Tomkowi Radochońskiemu i Sebastianowi Czaplińskiemu za

trwającą już od ponad dwóch lat znakomitą współpracę;

– Ani Jeziorskiej – za to, że jest taką postrzeloną pozytywną wariatką;

– Małgosi Szeroczyńskiej, która jak zwykle czuwała nad tym, żebym nie kłócił się (za bardzo) z logiką;

– Ewie Butkiewicz-Wągiel, Dorocie Zamojskiej, Natalii Klarze Jędrzejewskiej, Jolancie Prusakowskiej, Melanii Grygoruk, Teresie Grzelak, Eleonorze Chojnowskiej, Zosi Filipiuk, Zuzie Arczyńskiej i Danusi Płachetko – za wsparcie w chwilach, kiedy go naprawdę potrzebowałem;

– Dorocie Schrammek – za propozycję zamieszkania obok niej za zachodnią granicą (na razie jeszcze nie skorzystam z tej oferty, ale w przyszłości kto wie...);

– Dawidowi Dmowskiemu, Piotrowi Targalskiemu i Maćkowi Rychlickiemu – za podtrzymanie mojej wiary w to, że czytają mnie (czasem) też i faceci;

– i wreszcie *last but not least* – Wam, Kochani Moi Czytelnicy, bo bez Was byłoby mi bardzo smutno.

Ach, i jeszcze jedno. Martin, Leśnik – przybijcie piątkę! :)

No to... do następnego razu.

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

OŚWIADCZENIE

POSTACI

PROLOG

ROZDZIAŁ I Zaproszenie na kolację

ROZDZIAŁ II Zdziwienie

ROZDZIAŁ III Narcyz

ROZDZIAŁ IV Niespodziewana wizyta

ROZDZIAŁ V Syneczku, wolałabym, żebyś był dziewczynką

ROZDZIAŁ VI Róża wkracza do akcji

ROZDZIAŁ VII Narada

ROZDZIAŁ VIII Męska rozmowa

ROZDZIAŁ IX Lala

ROZDZIAŁ X Pepe i Betty nie próżnują

ROZDZIAŁ XI Trutka na gryzonie

ROZDZIAŁ XII Rozmowy

ROZDZIAŁ XIII A może Maślak...?

ROZDZIAŁ XIV Psychoanaliza

ROZDZIAŁ XV Podróż z Misterem

ROZDZIAŁ XVI Podejrzana

ROZDZIAŁ XVII Mario

ROZDZIAŁ XVIII Poszukiwania Róży

ROZDZIAŁ XIX W drodze

ROZDZIAŁ XX Sirtaki

ROZDZIAŁ XXI Zagubiona

ROZDZIAŁ XXII Rekonstrukcja

ROZDZIAŁ XXIII Gala

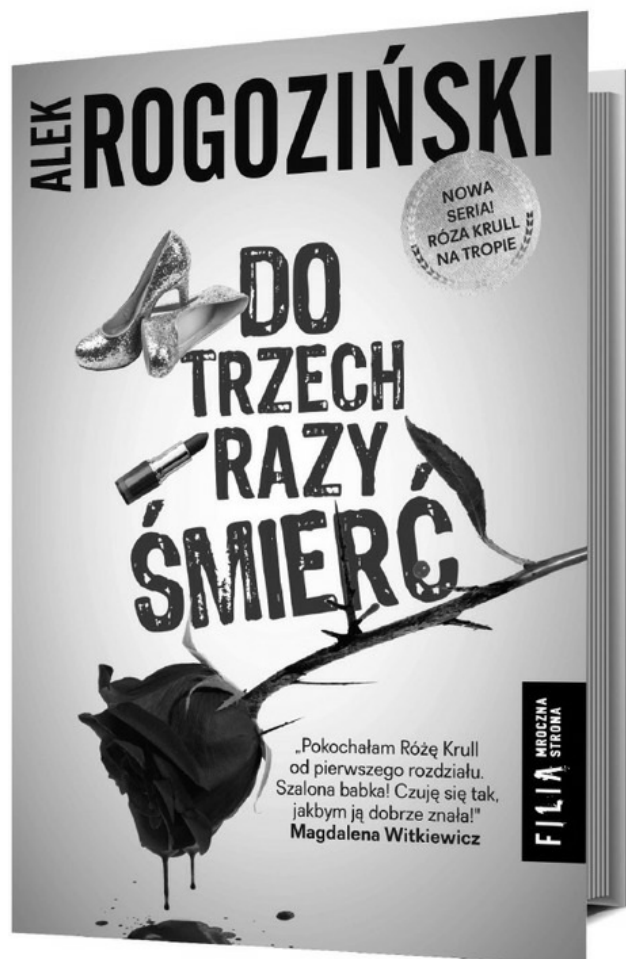
EPILOG

PODZIĘKOWANIA

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

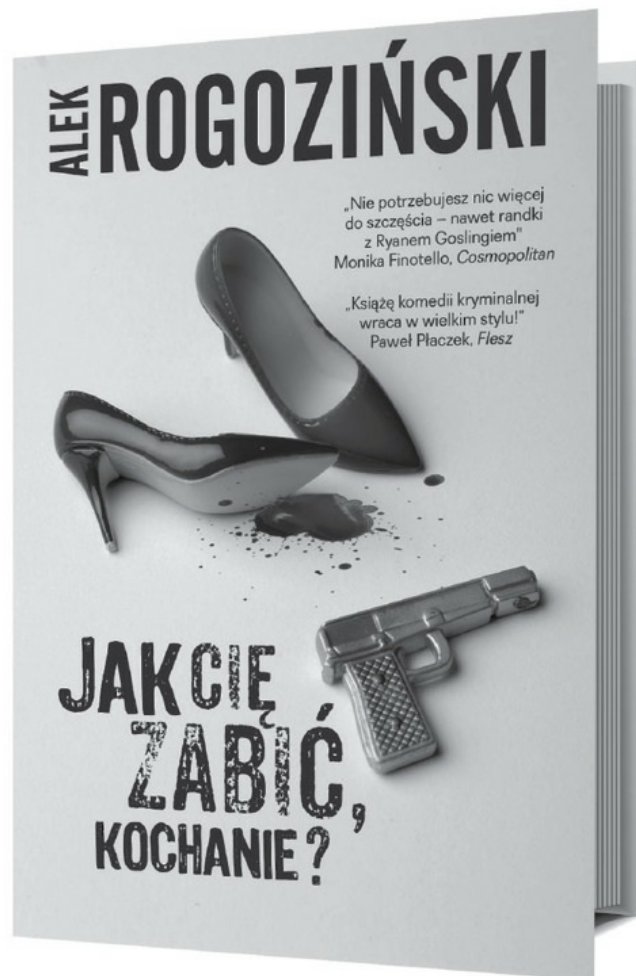
[Karta redakcyjna](#)



„Intryga godna spraw Herculesa Poirota plus humor
– jak na Księcia Komедii Kryminalnej przystało.
Wybuchowa mieszanka!”
Paweł Płaczek, *Flesz*

FILIA MROCNNA
STRONA

mrocznastrona.pl



„Księżę komedii kryminalnej
wraca w wielkim stylu!”
Paweł Płaczek, *Flesz*

FILIA MROCNNA
STRONA

mrocznastrona.pl

Copyright © by Aleksander Rogoziński, 2017
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Olga Reszelska
Zdjęcia na okładce: © Elisabeth Ansley/Arcangel (lusterko)
© Petegar/Getty Images (muchy)
© phototropic/Getty Images (spinki)

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-355-6

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl
Redaktor prowadzący serii: Adrian Tomczyk

ALEK ROGOZIŃSKI



LUSTERECZKO,
POWIEDZ
PRZECIE

„Zostać bohaterem powieści
kryminalnej? Zaskakujące
i ekscytujące! Tak jak i książka!"""
Rafał Maślak, Mister Polski



SERIA
RÓŻA KRULL
NA TROPIE



FILIA